

# Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

- ★ Raz w roku w Skirolawkach
- ★ Firmy polonijne: legenda i rzeczywistość
- ★ Wszyscy mają do mnie tylko pretensje
- ★ Nie tylko Karłowicz...
- ★ Ulice mego dzieciństwa

NUMER 46 (1337) ROK XXVI

12 LISTOPADA 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

## Przewodzą i służą, być awangardą

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Jak to pokazały nasze trudne doświadczenia blisko 40 lat budowy socjalizmu w Polsce, spełnienie postulatów zawartego w tytule nie jest sprawą ani łatwą, ani prostą — jak to się wydawało na początku, czyli u schyłku lat czterdziestych i jak to się jeszcze wydaje niektórym dzisiaj. Chociaż trzeba przyznać, iż aktualnie coraz mniej jest już takich, co to bez zastanowienia (i opamiętania) sygnalizują receptami, na każdą okazję mają „złote rady” — a na wszystkie pytania — proste, jednoznaczne odpowiedzi. Prześwadczenie to wynoszą z dyskusji jakaś toczyła się w szeregu łódzkiej organizacji partyjnej po XIII Ideologicznym Plenum Komitetu Centralnego PZPR.

kwęsti ideologicznych, uznając je za ważne również w sytuacji ostrego kryzysu ekonomicznego już w trzy lata po sierpniowej eksplozji społecznego niezadowolenia, które dało początek ostremu, najwiskszemu w dziejach PRL konfliktowi politycznemu. Przedtem problematyka ideologiczna była przedmiotem dyskusji w partii niejako przy okazji zbieżnych z nią problemów. Tak było na posiedzeniach plenarnych KC w latach: 1977, 1976, 1975 i 1974. W latach sześćdziesiątych nad problematyką ideologiczną radziło XIII Plenum KC w lipcu 1963 roku, a następnie do zadań walki ideologicznej powrócono w 1968 roku, przy okazji tzw. wydarzeń marcowych.

Podsumowując ostatnie Plenum KC, towarzyszy W. Jaruzelski powiedział m.in.: „Tematykę XIII Plenum podjęto wale życie”. Co należy rozumieć że również i potrzeby bieżącego okresu, który w sensie politycznym nadal jest „swolnym stanem wyjątkowym”. „Teraz za każdy

Węgierscy komuniści dopiero w ponad cztery lata od tragicznych wydarzeń 1956 roku, podjęli dyskusję nad ideologicznymi i aktualnymi i przyszłościowymi zadaniami walki politycznej. PZPR powróciła do

WASYL KOCZNOW

## Zapraszam na jarzębiak

Witaj czytelniku! Dopiero co przyjechałem do Iwanowa. Nie istnieje dla mnie miasto piękniejsze niż Łódź, nie ma lepszych ludzi niż łodzianie. Tam, w Iwanowie nie znam nikogo, kto nie chciałby przyjaźnić się z łodzianami. Czuję się tutaj, jakbym się w Łodzi urodził i spędził tu całe życie. W czasie 21 lat zamieszkiwania w tym mieście Polska stała się moją drugą ojczyzną. W Iwanowie przeżyłem taką nostalgię, jakbym nagle przestał być Rosjaninem. Kupiłem dobry, „mocny” odbiornik „Spidole”, aby z odległości prawie dwóch tysięcy kilometrów słuchać Warszawy, zagłuszyć uczucie tęsknoty po Polsce.

Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że w Łodzi „chorowalem” na Rosję — jakbym to nie był ja, a ktoś inny. Rozdwojenie jaźni — to straszna choroba. Nie można jednocześnie mieszkać w dwóch krajach i czuć się obywatelem dwóch państw, a warunki tak się układają, że powinieniem się rozzerwać, rozdzielić, by jedna połowa mogła przebywać tam, a druga — tutaj. Organicznie zrosło się we mnie dwóch ludzi, dwa nieba, dwa języki. Trudno ich pogodzić ze sobą. I wszystko mi się opłatało. Szukam w Iwanowskim mieszkaniu na półce tej książki, którą znajduję się w łódzkim domu i w ogóle nie istnieje po rosyjsku. Tam, na ulicy, mogę zapomniałszy się powiedzieć: „przepraszam”, a tu: „izwinitie”. Tam śni się Polska, tutaj — Rosja.

Łódzcy przyjaciele pytają

mnie o Iwanowo. Czuję się łodzianinem i trudno mi opowiadać o mieście, w którym mieszkam dopiero od trzech lat. Iwanowcy mówią o nim z wielką miłością, choć czasami z humorem określają, że Iwanowo — to duża wieś z tramwajami i trolejbusami. Znam kilku łodzian, którzy tak samo ironizują na temat swojego miasta, a przecież nie zamieniliby go na żadne inne, ani w Polsce, ani za granicą.

Stare Iwanowo powoli znika. Wielopiętrowe bloki ze wszystkich stron atakują i wypierają drewniane domki z ogrodami i brzoškami pod oknem. Z mojego balkonu widać Iwanowo jak na dłoni. Tam gdzie archipelag drewnianych zabudowań przecięty jest wieżowcami zaczynają się nowe dzielnice, ładnie i wygodnie rozplanowane. Monotonne pudła bloków są tak rozstawione wzdłuż ulic, że nie przypominają nudnych, jednakowych koszar. Jedne stoją bokiem, inne fasadą, a jeszcze inne skośnie i przez to tworzą ciekawą perspektywę ulicy, tworzą „dół” miasta, a jednocześnie łamią szablon i monotonię. Dodatkowym walorem miasta jest fakt, że Iwanowo rozpostarło się na wzgórzach po obu stronach rzeki, sama więc natura wzbogaca jego pejzaż. W centrum zachowało się trochę starych, zabytkowych budowli, kilkadziesiąt cerkwi.

Łódź w porównaniu z Iwanowem — to zupełnie inne miasto, choćby ze względu na swą niepow-

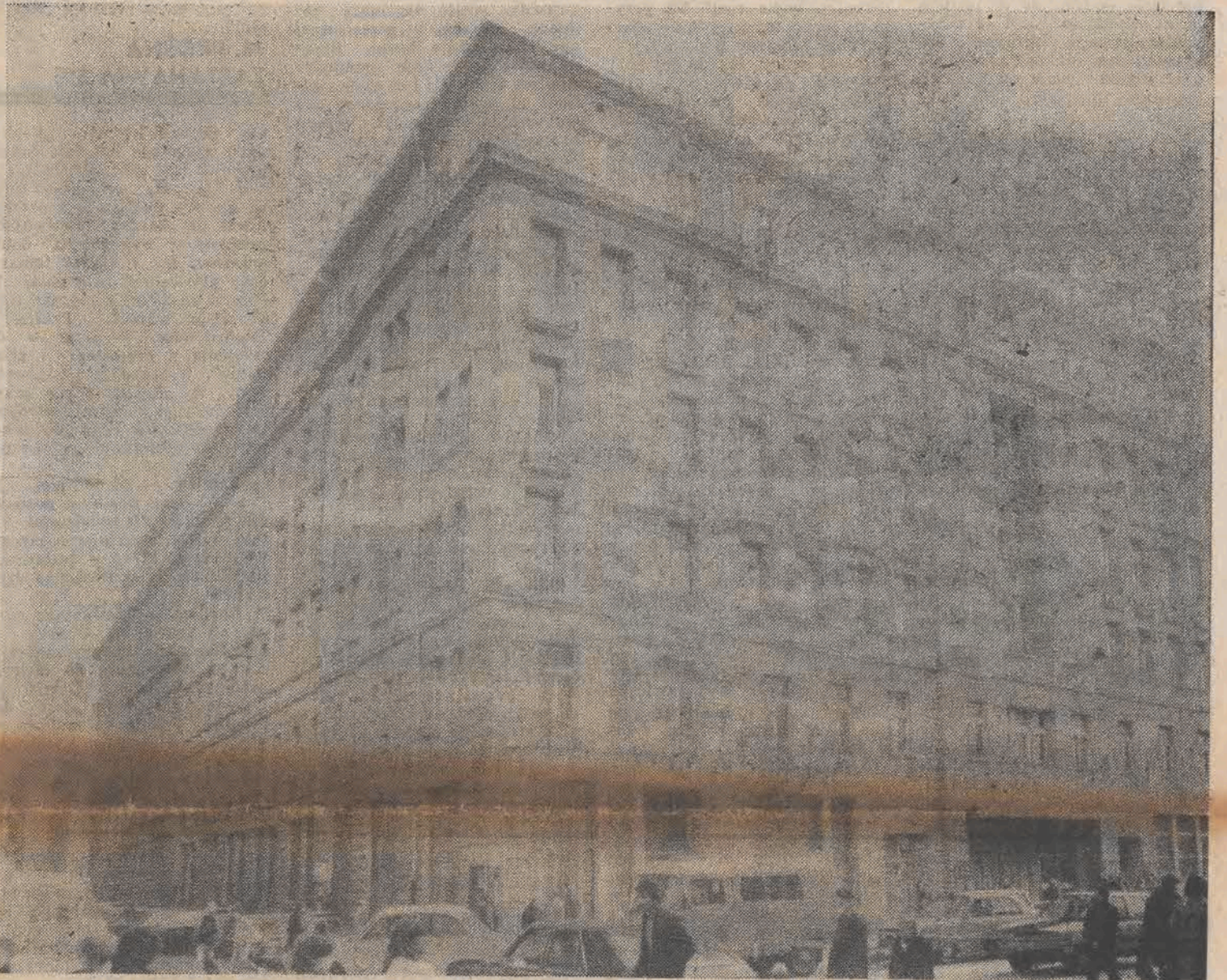


Foto: Miroslaw Zajdel

## O windach, kornikach i gwiazdkach przypowieść

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Tematy podobno leżą na ulicy. Trzeba tylko umieć je podnieść. Identyfikacja jest z pieniędzmi. Tylko, że fachowców, którzy umieją w efektywnym stylu zbierać jedno i drugie niewieleu jakoś. Ale próbować trzeba...

Dzień jak na koniec października wyjątkowo był ciepły. Rozleniwiony wokółem się noga za nogą łódzka „Pietryna”, rozglądając za dobrym pomysłem na „bombę” i, niestety, odrzucając jedną po drugiej takie sobie propozycje. Skwaszony minąłem „Grandkę”, gdy przyjemnie polaskotał nozdrza zapach dobrej, mocnej kawy. „Raz kozie śmierć” — zdecydowałem szybko, nim zdezorientowany umysł zdążył włączyć ostrzegawcze światełko z ceną. Wszedłem. Nie było mnie tu parę ładnych lat, od pamiętnej randki z uroczą brunetką, która — ta uroczą męską ambicją — nie wierzyła w słowki i pierwsze wejście i dość szybko przesiadła się do jakiegoś Araba, kręcącego w palcach kluczyki od „mercedesa”. Eh, stare dzieje...

Hall jakiś był inny. Większy, bardziej przestronny, zmieniono usytuowanie recepcji, kiosku „Pewexu”, zniknęły potężne ściany działowe.

— A może byś tak o mnie napisał? — dobiegło gdzieś z góry Rozejrzałem się niepewnie. Nikogo w pobliżu nie było. Dwóch panów z walizkami rozliczało się w recepcji, portierzy w służbowych uniformach zajęci byli swoimi sprawami. „To już starość, jednak kawa dobrze ci zrobi” — ruszyłem w stronę wejścia do kawiarni.

— Zastanów się, temat jest atrakcyjny... — znów ten głos nie wiedzieć skąd. Zastopowałem mnie w wejściu.

— Jaki temat? Kto to mówi?! — bąknąłem przerażony.

— To ja, hotel „Grand”. Wkrótce kończą sto lat! — podkreślił z dumą tubalny głos. Sądził się do ucha wyraźnie, choć nie nosem zorientować się skąd u licha, dobiega. — Siadź, młodzieńcze w kawiarni, a ja ci trochę popowiadam...

Jak zauroczony, posłusznie zająłem miejsce przy pierwszym wolnym stoliku. Trzęsącymi rękoma dłuższą chwilę zapalałem papierosa. „Dopadło i mnie” — przelatowały mi przez przerażony umysł obrazy z „Obłądu” Krzysztonia.

— Zaczynamy? Zapamiętasz czy będziesz trochę notował? — doleciało znów spod sufitu. — Nie rozglądaj się, jak małe dziecko, tylko słuchaj...

— Stare to dzieje, Łódź, która bezpowrotnie odeszła. W końcu lat sześćdziesiątych, rzecz jasna mówię o ubiegłym stuleciu, na

tym miejscu stały dwa drewniane domy. Chyba w 1872 roku — też mnie już czasem pamięć zawodzi — zbudowano w ich miejsce dwupiętrowy dom, porządny, murowany, z attyką, ozdobiony gipsowymi płaskorzeźbami. Początkowo usytuowana tu fabryka wyrobów wełnianych została zlikwidowana, a frontową kamienicę przy ulicy Piotrkowskiej 72 przebudował w 1888 roku Ludwik Meyer na hotel. Takie były moje lata niemowlęce; 45 pokoi numerowych, parę lat później — już 70. Bodaż w 1904 roku Meyer sprzedał mnie Towarzystwu Akcyjnemu „Grand Hotel”, tania, bo za 475 tysięcy rubli. No, ale konsorcjum bogatych fabrykantów i kupców, które nabyło w 1911 roku akcje przebudowało wnętrze na prawdziwe cacko. Roboty, według projektu Dawida Landego, trwały dwa lata, ale byłem już czteropiętrowym hotelem pierwszej klasy...

Notowałem zawzięcie, wciąż trochę przerażony całą historią. Zasiadłem w płynącej „z góry” opowieść nie zauważyłem kelnerki.

— Zie się pan czuje? Trzy razy się pytam co podać, a pan nieprzytomnie zerka w sufit i zapisuje te kartki — była wyraźnie poirytowana.

— Nie, nie, wszystko w porządku, trochę się zamyśliłem, dużą kawę proszę...

„Głos” dyskretnie odczekał chwilę, po czym kontynuował i wyzywającym zadowoleniem swe wspomnienia.

— Miałem wówczas 150 pokoi z bieżącą ciepłą wodą i telefonami. Funkcjonowała kanalizacja, wodociąg, biologiczne filtry, oświetlenie elektryczne i gazowe. Oferowałem gościom doskonałą wentylację we wszystkich pomieszczeniach, elegancką restaurację, wiedeńską kawiarnię i koncerty w ogrodzie. Jako ciekawostkę mogę ci zdradzić, że działało siedem wind. Większość starych szybów windowych dzisiejsi fachowcy nie umieją nawet zlokalizować. Teraz, jak mi prują te stropy, to dopiero natrafiają na stare kanały wentylacyjne, zamurwane, a przecież doskonale by i dziś zdawały egzamin.

Chciałem o parę spraw zapytać, ale nie wiedziałem, jak się zwracać, per „pan”? Głośno mówić czy pisać na kartce? Ale bezbłędnie wyczuł moje zainteresowanie.

— Pytasz co to za historia z tymi stropami. A wstyd mi się przyznać. Widzisz, w najstarszej części stropy są drewniane. Tak, tak, mają prawie sto lat i są w doskonałym stanie. Ja to wiem, ale te niedowiarki. Była w tym roku kontrola z... czekaj, czekaj, z tymi nazwami

3

8

6



# Przegląd prasy

Każdy, kto decyduje się publicznie prezentować swoje poglądy musi jednocześnie zrozumieć, że nie uzyskuje one powszechnej aprobaty, że będą tacy, którzy je przyjmą, tacy, którzy przejdą koło nich obojętnie, i tacy, którzy je zaatakują, gdyż się z nimi nie tylko nie będą godzić, ale też uznają je za szkodliwe. Jest to oczywiście sytuacja skrajna, ale przecież tak też zdarza się. Na ogół jednak wiele różnorodnych poglądów przechodzi bez większego echa, gdyż albo odbiorcy są czym innym zajęci, albo też poglądy te są miłkie i nikogo ani grzeją, ani ziębia. Wielką więc sztuką jest dla publicysty, dla pisarza, krytyka utrafić w społeczne zapotrzebowanie, czyli albo zyskać aprobatę, gdy jego poglądy są zbieżne z poglądami odbiorcy, albo znaleźć się też w ogniu krytyki i polemiki, kiedy poglądami swymi stanie w poprzek poglądów innych.

Paweł Bożyk w latach 1977-1980 kierował zespołem doradców ówczesnego i sekretarza KC PZPR - Edwarda Gierka. W tym roku PIW wydał jego książkę pod tytułem: „Marzenia i rzeczywistość czyli anatomia polskiego kryzysu”. Nie więc dziwnego, że książka wywołała powszechne zainteresowanie i zniknęła z księgarskiej lacy nim się jeszcze na niej znalazła. W krytyce polityki lat siedemdziesiątych swój udział otrzymali też doradcy ówczesnego kierownictwa politycznego i państwowego, a wśród nich Paweł Bożyk. Niektórzy byli nawet skłonni sądzić, że winę za ten kryzys ponoszą przede wszystkim właśnie doradcy.

O książce Pawła Bożyka pisano już w różny sposób, między innymi w „Szpilkach”, „Rzeczywistości”, wpadła na niebylewały oryginalny pomysł i zaproponowała napisanie recenzji z tej książki biurom członkowi Biura Politycznego KC PZPR i sekretarzowi KC, Bolesławowi Jaszczukowi, który w latach sześćdziesiątych, w okresie, kiedy i sekretarzem był Władysław Gomułka, odpowiadał za sprawy gospodarcze, kierował nimi i był uważany za autora i inspiratora różnych gospodarczych przedsięwzięć, jak chociażby system bodźców ekonomicznych. Warto tu może przypomnieć, że system ten nie spotkał się z społeczną aprobatą i został odrzucony, choć racjonalizacja systemu plac, stworzenie systemu motorycznego dla podnoszenia wydajności pracy już wówczas były niezbędne.

## BOLESŁAW JASZCZUK NAPISAŁ RECENZJĘ

z książki Pawła Bożyka „Marzenia i rzeczywistość, czyli anatomia polskiego kryzysu”. Pomysł - wydawałoby się znakomity - okazał się chyba jednak niewypałem. Bolesław Jaszczuk, zamiast rzetelnej oceny materii zawartej w książce, zajął się obroną polityki ekonomicznej lat sześćdziesiątych. A przy tym stosuje chwytliwy dość wątpliwej jakości.

Bolesław Jaszczuk pisze na przykład, że Paweł Bożyk „na samym wstępie (...) prezentuje dyskusyjną tezę, że „kryzys był kontynuacją kryzysu drugiej połowy lat sześćdziesiątych” - cytując zdanie wyrwane z kontekstu. A tymczasem Paweł Bożyk napisał:

„Kryzys rozpoczął się długo przed rokiem osiemdziesiątym; z pewnością był kontynuacją kryzysu drugiej połowy lat sześćdziesiątych, choć objawy ich były różne. Wtedy objawem kryzysu było gwałtowne tempo rozwoju gospodarczego i słabe tempo poprawy warunków życia.

W latach siedemdziesiątych tempo rozwoju było wprawdzie duże, a stopa życiowa się podniosła. Jednak podstawowa przyczyna kryzysu - niewłaściwy system funkcjonowania gospodarki - nie ulegał zmianie. Pojawili się musieli w związku z tym nowe znamiona

kryzysu, tym razem w postaci zadłużenia za granicą i inflacji”.

Tak więc P. Bożyk nie stawia tezy, raczej zakłada, że po pozytywnych zmianach, jakie przyniósł rok 1956, pod koniec lat sześćdziesiątych zaczęły narastać przyczyny nowego kryzysu, inaczej nie potrzeba byłoby zmian z roku 1970 i nie byłoby wówczas kryzysu. To przypuszczenie zakłada - i słusznie zresztą - że zarówno po roku 1956, jak i po 1968, jak też i po 1970 nie wprowadzono takich zmian, które niwelowałyby skutecznie przyczyny i sprzeczności rodzące kryzysy oraz nie uruchomiły takich mechanizmów, które konfliktem tym mogłyby zapobiegać. Stąd niejako kryzysy poprzednie kumulowały się i w rezultacie, przy błędnej polityce lat siedemdziesiątych, doły sierpień 1980 roku i to wszystko, co po nim nastąpiło.

Bolesław Jaszczuk ma oczywiście w swoich krytycznych uwagach wiele racji. Na przykład, że do tej pory nie udało się nam osiągnąć poprawy wydajności pracy, że do tej pory nie udało się stworzyć i uruchomić takich mechanizmów, które by tę wydajność pracy „wymuszały”. A bez rosnącej wydajności pracy daleko nie ujedziemy i szybko z kryzysu nie wyjdziemy.

Stosuje Bolesław Jaszczuk jeszcze inny chwyt. Oto robi zarzut, że P. Bożyk, choć zapewne wie o tym, to nie wykorzystał w książce listu Władysława Gomułki skierowanego w lutym 1971 roku do VIII Plenum KC PZPR. Mnie też wiadomo o tym liście, ale nie znam jego treści. List ten nigdzie nie był publikowany i przez to nie może stanowić argumentu w sporze i polemice, a tym bardziej dopóki nie stanie się przedmiotem badań historycznych, tak jak musi nim być każdy dokument udostępniany w archiwach. Trudno więc powoływać się na zawarte tam treści, nawet wtedy, gdy są one tym czy innym ludziorozumne.

Wszystkich, którzy chcieliby się bliżej zainteresować recenzją Bolesława Jaszczuka z książki Pawła Bożyka odsyłam do 44 numeru „RZECZYWISTOŚCI” (z 30 października 1983 r.). Tytuł recenzji: „Nie sprawdzili na ziemi...”. Przygotowania do XIII Plenum KC PZPR, jego przebieg, publikacja materiałów tego posiedzenia plenarnego, wszystko to razem budzi coraz większe zainteresowanie w sferach ideologicznej, problematyki pracy ideologicznej partii, a także marksizmu. Na ten temat „TYGODNIK WSPÓŁCZESNY ARGUMENTY” (nr 45 z 6 listopada 1983 r.) publikuje rozmowę Wiesława Rogowskiego, w której

## MARIAN ORZECZOWSKI WYPOWIADA SIĘ

o intelektualnej hegemonii marksizmu. Oto dwa istotne fragmenty wypowiedzi:

„W sferze społeczno-politycznej - mówi sekretarz KC PZPR, prof. Marian Orzechowski - ekspansja socjalizmu naukowego jest ogromna. Siły antykomunistyczne po to, aby zwalczać socjalizm w Polsce, musiały odwoływać się właśnie do podstawowych założeń socjalistycznych. Świadczy to jak głęboko idee te są u nas zakorzenione. Na Zachodzie można zaobserwować analogiczne w pewnej mierze zjawisko, tam najwięksi antykomuniści aby zwalczać socjalizm w Polsce, na przykład, tak zwanym młodym Marksem, wykorzystując hasła powrotu do Marksa. Siega się do jego tez z okresu przed 1845 rokiem, aby młodym Marksem walczyć dziś z rewolucyjnym marksizmem...”

I drugi fragment wypowiedzi: „Jesteśmy często skłonni mówić o kryzysie marksizmu, o zawężeniu się pola jego oddziaływania. A trzeba sobie uświadomić tę oczywistą prawdę, że wszystko, co wielkiego powstało po 1945 roku w Polsce w naukach humanistycznych, że wszystkie wielkie, bardzo znaczące osiągnięcia w sferze kultury, wiążą się jednak z socjalizmem i marksizmem...”

Markszm jako metodologię nauk społecznych, jako pewien sposób analizy, oceny zjawisk społecznych, wszedł na stałe do naszej polskiej humanistyki”.

O podobnych sprawach, bliskich ideologii, ale bardziej dotyczących polityki, pisze w „TU I TERAZ” (nr 44 z 3 listopada 1983 r.) Adam Rostowski w artykule „Akceptacja i wątpliwości”. Jest to polemika z artykułem Stanisława Kwiatkowskiego „Zagrożenia i szanse”,

który „Tu i Teraz” opublikowało w nr 35 z 31 sierpnia 1983 r.

## ADAM ROSTOWSKI NIE ZGADZA SIĘ

z tezą postawioną przez Stanisława Kwiatkowskiego, że obecnie nadchodzi okres, kiedy nie trzeba szczególnie obawiać się zagrożenia ze strony opozycji, choć nie przestała ona stanowić poważnego zagrożenia dla stabilizacji w Polsce, dla procesu wychodzenia z kryzysu, ale przede wszystkim trzeba obecnie zmagać się z „sektorskimi politykami konserwatywnych kręgów”, którzy często „samą nazywają się prawdziwą lewicą proletariacką lub marksistowsko-leninowską”. Jego zdaniem nie można lekceważyć zagrożenia ze strony opozycyjnego podziemia, gdyż „amerykański imperializm, zachodni stratedzy wcale nie mają zamiaru zaprzestać przewrotnej gry tzw. polską kartą, licząc na nowe niepokoję pomiędzy Bugiem i Odrą”. Tak więc żadnego z niebezpieczeństw nie wolno nam lekceważyć. Walkę ideologiczną - sugeruje A. Rostowski - należy prowadzić mądrze, umiejętnie „na argumenty poparte racjonalnym i zgodnym z socjalistyczną racją stanu działaniem”. Najważniejsze wszakże jest to, aby umieć ocenić zjawiska zachodzące w Polsce i na świecie z punktu widzenia klasowej interpretacji i dążyć do zwycięstwa prorobotniczej orientacji. Adam Rostowski w wielu sprawach jest zgodny z uwagami i poglądami Stanisława Kwiatkowskiego, ale też nie ukrywa rozbieżności. Uważa na przykład, że ocena pracowników aparatu partyjnego jako bezdusznych urzędników, nie umiających nawiązywać kontaktu z ludźmi nie jest całkowicie sprawiedliwa i jest zbyt uogólniająca. Nie wszyscy są tacy. Wielu z nich nie można nazwać partyjnymi biurokratami.

Polemiki są potrzebne, dzięki nim rozwija się myśl społeczna, dokonują się różne teoretyczne przewartościowania. Ostatnio - można nawet zauważyć z żalem - jakby powoli zmniejszała się ilość dyskusji, polemik, różniących się między sobą w poglądach publicystów. Byłoby to ze wszelkich miar szkodliwe, gdyby zaczęły zanikać publiczne dyskusje, a przynajmniej tylko do gabinetów ludzi zajmujących się naukami społecznymi. Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.

Tymczasem życie toczy się dalej, ludzie interesują się różnymi sprawami i pisma tygodniowe o różnych sprawach też donoszą. Oto

## JACEK WILANOWSKI PRZEDSTAWIA

na łamach „PERSPEKTYW” (nr 43 z 28 października 1983 r.) „Fiasco planów Fuhrwaffe”. Okazuje się, że jeszcze przed wybuchem II wojny światowej fabryki samolotów, konstruktorzy myśleli o zastosowaniu silników odrzutowych do samolotów wojskowych, a przede wszystkim do myśliwców. Niemcy już w 1938 r. testowali pierwszy silnik odrzutowy, a lot pierwszego samolotu z takim silnikiem He-178 odbył się 24 sierpnia 1939 roku w okolicach Rostocku. Anglicy rozpoczęli prace nad samolotami odrzutowymi w 1941 roku i pod koniec wojny mieli już gotowy samolot Gloster P-9 „Meteor”, który też wszedł do wyposażenia RAF. W 1945 roku również w ZSRR gotowy był Jak-15, a biuro Artiomija Mikołajowa pracowało nad nowoczesniejszym odrzutowcem.

Właściwie jednak dopiero koniec wojny przyniósł zainteresowanie się odrzutowcami. Adolf Hitler pokładał w odrzutowcach wielką nadzieję, licząc, że stana się one tak pożądaną „cudowną bronią”. Niemcy też byli najbardziej zaawansowani w produkcji odrzutowców. W 1944 roku wyprodukowali 1041 takich samolotów, co stanowiło 2 proc. całej ówczesnej produkcji lotniczej, w 1945 - 947 takich samolotów, co stanowiło już około 10 procent tej produkcji. Samoloty te były jednak niedoskonałe, początkowo wybuchaly w powietrzu, później udoskonalone, nie zawsze były porwane dobrze do tego przygotowanym pilotom. Stawiali się też łatwym łupem myśliwców alianckich.

Nim do tego jednak doszło, początki były trudne i niebezpieczne. Pierwszy lot odrzutowca na świecie - a było to, jak wspominałem, 24 sierpnia 1939

roku - trwał tylko 50 sekund. Lot Me-163 trwał od 8 do 10 minut i nie przekraczał zasięgu 100 km. Samoloty te wybuchaly w powietrzu lub przy lądowaniu. Dopiero Me-262 „Schwalbe” stał się osiągnięciem niemieckiego przemysłu lotniczego. Rozwijał prędkość 840 km/godzinę i miał zasięg do tysiąca km. Mógł też zabierać dwie bomby po 250 kg każda. Uzbrojony mógł być w 4 działa 30 mm lub 24 pociski rakietowe. Był to już groźny przeciwnik dla lotniczego sprzymierzonec. Niemcy szukali różnych rozwiązań, ale nie ich nie mogło już uchronić przed ostateczną klęską. Warto i dziś o tym pamiętać, że nie cudowna broń decyduje o zwycięstwie czy klęsce, ale wola ludu, aby żyć według własnych praw i własnej tradycji. A taka była wola ludów sprzymierzonych w walce z faszyzmem.

Wspomniane już w dziesiątym przeglądzie prasy „ARGUMENTY” w dziale „Plastyka” przyniosła recenzję „Realizmu”.

## M. PROSNA ZASTANAWIA SIĘ

nie tyle nad I tomem „Realizmu”, wydanego już dość dawno przez łódzki oddział KAW, ile nad formułą realizmu. Jego zdaniem „Realizm” zaprzeczał się „bardzo interesująco, zarówno ze względu na dobór autorów, jak i zakres tematyczny artykułów”. Ale dalej M. Proсна zastanawia się nad tym, co znaczy tytuł „Realizm”? „Mamy więc - pisze - do czynienia z protestem i afirmacją”. Wszakże jest rozczarowany, że „Realizm” nie przynosi żadnego manifestu wydawców i autorów poza słownikiem wyjaśnieniem samego pojęcia: „realizm”.

„Realizm - pisze dalej M. Proсна - to postawa poznawcza wobec rzeczywistości, to taki opis i wyjaśnienie rzeczywistości, które dostarczają przesłanek do skutecznego działania”. „Realizm - kontynuuje swoje rozumowanie M. Proсна - jest kategorią historyczną; wynika z odniesienia do historycznie określonej rzeczywistości. I takie odniesienie jest (...) również i postulatem moralnym. Postawa realistyczna zobowiązuje przeto do, po pierwsze - „pisania prawdy”, po drugie - „dochodzenia do prawdy na drodze dialogu, po trzecie - działania zgodnie z prawdą, choćby owo „prawdę zaangażowaną” i postawę kreatywną. Realizm tak pojęty zobowiązuje inteligencję twórczą do odpowiedzialności poznawczej i moralnej za współkształtowanie historycznie określonej rzeczywistości polskiej”.

A tak, po prostu: co się M. Prośnie i dlaczego w „Realizmie” podobało, a co i dlaczego nie? Tego jednak z recenzji „Realizm” w dziale „Plastyka” nie dowiemy się żadną miarą. Podejrzewam, że M. Proсна nie miał o czym pisać i wrócił jego padł na poruczeniu niedoświadczony „Realizm”. Ot i wszystko.

## MYŚL Z „PRZEKROJU”

której nie należy nikomu powtarzać: „Jeśli czekasz na odkrycie się chwala, to pamiętaj, że zanim się nią odkryjesz, możesz się bardzo poważnie zaziębić”. Patrz „PRZEKROJ” nr 2003 z 30 października 1983 roku.

## LUCJAN BOGUSZ

## SPROSTOWANIE

Z przykrością (i wstydem) informujemy, że w numerze 45 „Odgłosów” z 5 listopada br. w artykule Mariana Wilka „Radziecka strategia pokoju” z winy redakcji przedstawione zostały podpisy pod zdjęciami. I tak: podpis pod zdjęciem z lewej strony winien brzmieć: „Przewodniczący Rady Najwyższej - M. Kalinin przyjmuje ambasadora japońskiego”, natomiast podpis pod zdjęciem z prawej strony winien brzmieć: „W. W. Worowski, M.M. Litwinow i G. W. Cziczerin w Genul”. Podpis pod zdjęciem środkowym został mylnie sformułowany, a prawidłowo winien brzmieć: „Wręczenie listów uwiarytelniających przez posła francuskiego w Moskwie”. Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy.

# Minał tydzień

## PRZYWRÓCONO REGLAMENTACJĘ TŁUSZCZÓW

- uprzednio tylko zawieszoną - co spotkało się z bardzo krytycznym przyjęciem przez ludź prasy. Krytykowano szczególnie sposób ogłoszenia powrotu do reglamentacji masła i innych tłuszczów. W poniedziałek, 31 października 1983 roku w sklepach spożywczych i przed nimi rozgrywały się dantejskie sceny. Kolejki formowały się już wczesnym rankiem, a niekiedy późną nocą z niedzieli na poniedziałek. Rząd PRL - na swym specjalnym posiedzeniu - ponownie rozpatrzył podjętą decyzję i uznając wszelkie jej uzasadnienia za istotne, skrytykował sposób jej ogłoszenia. Minister handlu wewnętrznego i usług - Zygmunt Łakomicz otrzymał upomnienie.

## W BELGRADZIE

- jak doniósł korespondent PAP, Tadeusz Sapociński - władze miasta uchylily reglamentację cukru, którego do tej pory sprzedawano po 2 kg na osobę miesięcznie. Uprzednio znieśli również reglamentację kawy, oleju jadalnego i środków piorących. Utrzymano jedynie reglamentację benzyny, której sprzedaje się po 40 litrów na jeden samochód miesięcznie.

W Jugosławii system kartkowy prowadzony jest decentralistycznie. O jego wprowadzeniu, uchyleniu czy zniesieniu i na jakie produkty decydują bądź poszczególne republiki, bądź okręgi autonomiczne, bądź większe miasta. Tak więc zniesienie sprzedaży cukru i innych artykułów na kartki w Belgradzie nie oznacza, że nie ma jej w innych miastach czy częściach SFRJ. W niektórych miastach i rejonach Jugosławii już zniesiono sprzedaż reglamentowaną, ale w innych nadal ona obowiązuje.

## W NOWOSYBIRSKU

wypróbowano działanie systemu sprzedaży benzyny i innych paliw na magnetyczne bony kredytowe. Karta kredytowa stanowiła benzynowy dokument samochodu. Na karcie tej za pomocą kodu magnetycznego albo perforacji zakodowane są informacje o przedsiębiorstwie, do którego należy samochód oraz o paliwie, z jakiego korzysta. Kierowca na stacji benzynowej wkłada kartę kredytową do specjalnego przyrządu i na cyfrowej klawiaturze wybiera tylko temu znany kod. Jeżeli wszystko jest w porządku, aparatura zezwala na tankowanie. Paliwo wlewa się tylko do zbiornika.

Z karty kredytowej nie może skorzystać nikt inny poza uoważonymi pracownikami danego przedsiębiorstwa. Aparatura każdorazowo sprawdza i weryfikuje kartę i dane, gdyby coś się nie zgadzało, aparatura karty nie zwraca.

Systemem tym pracowało w Nowosybirsku 17 przedsiębiorstw transportowych, co przyczyniło się do zmniejszenia zużycia paliw i stacje benzynowe mogły obsłużyć więcej samochodów. Myśli się w ZSRR o szerszym zastosowaniu tego systemu sprzedaży paliw płynnych.

## SUGESTIA JERZEGO URBANA

powtórzona przez warszawskiego korespondenta pism z REN Gerda Baumgartena w „Der Tagesspiegel” wywołała duże zainteresowanie. W związku z tym Jerzy Urban złożył ponowne oświadczenie, tym razem dziennikarzowi PAP, w którym potwierdził, że istnieje możliwość wyjazdu 11 osób przebywających obecnie w areszcie śledczym „na jakimś czas” za granicę, jeśliby mocodawcy byłych działaczy KSS KOR i „Solidarności” nakłonili ich do tego. Choć Jerzy Urban zbytnio w możliwość takiego nakłonienia nie wierzy. Rząd polski stwarzając taką możliwość osobom z antysocjalistycznej opozycji przebywającym ostatnio w areszcie śledczym, kieruje się potrzebą dalszej stabilizacji w kraju w czasie wyprawowania go z kryzysu. Gdyby owe jedenaście osób zdecydowało się na czasowe opuszczenie kraju wówczas rozszerzono by na nich działanie ustawy o amnestii.

## TAJEMNICA DZIENNIKARSKA

w przyszłym prawie prasowym - napisał w „Trybunie Ludu” Witold Juchniewicz - zostanie zagwarantowana ustawowo. Dziś dziennikarz nie może zdradzić swego informatora - jeśli ten tego sobie nie życzy - na zasadach kodeksu obyczajowego dziennikarstwa, w myśl etyki dziennikarskiej. Według nowego prawa prasowego ujawnienie informatora, autora listu będzie przestępstwem. Dziennikarz może być zwolniony z obowiązku dochowania tajemnicy tylko w przypadku, kiedy chodzi o przestępstwa przeciw życiu i zdrowiu ludzi, przeciw bezpieczeństwu państwa.

## 75 LAT ŁÓDZKIEGO KLUBU SPORTOWEGO

uroczyście obchodzone na akademii w Hali Sportowej, gdzie spotkały się różne pokolenia działaczy i sportowców tego klubu. W Muzeum Sportu przy ul. Worcella 21 otwarto wystawę okolicznościową. Zasłużeni działacze otrzymali medale i odznaczenia. Leszek Jezierski - były piłkarz i wieloletni już trener zespołu reprezentacyjnego piłkarzy ŁKS - otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Były też Honorowe Odznaki Miasta Łodzi, Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej i Odznaki im. Janka Krasickiego.

## PRZYLECI KOMETA I MACHNIE OGONEM

- mówiło się niedługo, ale kometa nie przyleciała. Teraz się okazuje, że znacznie gorszym niebezpieczeństwem jest... czarna dziura. W sąsiedniej galaktyce, oddalonej od naszej zaledwie o 50 milionów lat świetlnych, czarna dziura połknęła połowę gwiazd galaktyki. Co będzie, jak połknie wszystkie?

## A. B. SEKATOR

## W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- \* KSZTAŁT PRZYSZŁOŚCI ZAWARTY W MINIONYM
- \* KRONIKARZ WIELKIEJ REWOLUCJI
- \* SKANDAL W OŚRODKU ZDROWIA
- \* NIE MAM KOMPLEKSU WIEKU - ROZMOWA Z IRENĄ SANTOR
- \* Z UŚMIECHEM DO KLIENTA
- \* KALEJDOSKOP - REPORTAŻ Z KONKURSU O „CZŁENKO TKACKIE'83” - MYŚLI I MARZENIA ŁÓDZKICH WŁÓKNIAREK



## Dokończenie ze str. 1

biał piaci się podwójnie, a każdy krok prawidłowy jest o połowę mniej dostrzegany". Na tym etapie jednoznaczność i klarowność w kwestiach ideologicznych, a więc podstawowych dla naszego ruchu, nabiera znaczenia szczególnego. Ideologia marksistowsko-leninowska może być interpretowana raz jako swoisty drogowskaz, jeśli chodzi o jej dorobek intelektualny, bogactwo przemysłów teoretycznych, dwa — jako metoda w praktycznej realizacji naszej doktryny, a więc również i jako motto dla taktyki i strategii.

W przeszłości dialog o ideologii podejmowano w partii albo w patosie odświętnej, albo równie często — niejako na marginesie innych, ważnych, przede wszystkim bieżących spraw. Zdawano się przy tym zapominać, iż walka ideologiczna toczy się każdego dnia. Toczy się wszędzie. Jest to walka o świadomość, której wyrazem są takie a nie inne poglądy i postawy społeczne. „Partynym obowiązkiem — jak powiedział I sekretarz KC — jest w tej walce uczestniczyć, bronić w niej socjalistycznych, robotniczych racji, przeciwstawiać się wrogim argumentom, przekonywać i zjednywać”. Jest to obowiązek wszystkich, nie tylko partyjnych intelektualistów oraz „tych od propagandy”. Nie jest to jednak zadanie łatwe. Wymaga intelektualnego wysiłku, rzetelnej znajomości tego, co tak często określa się mianem pryncy-

dia burżuazyjnej zasady konkurencyjności, czyli usankcjonowania opozycyjnych partii politycznych. Socjalistyczne partie sojusznice nie rywalizują z komunistami o władzę. Z innym typem systemu partyjnego mieliśmy do czynienia jedynie przejściowo, do 1948 roku.

Sądzę, że jak w każdej kwestii ideologicznej, tak i w tym przypadku w interpretacji stanowiska KC nie powinno się stwarzać pożywek dla dwuznaczności i nieścisłości, dla mylenia taktyki ze strategią.

3.

Wiele miejsca zarówno w referacie, jak i dyskusji plenarnej, ale już mniej na konferencjach ideologicznych, na zebraniach w POP, zajęły kwestie związane z jednością ideowo-polityczną partii.

W referacie Biura Politycznego w równym stopniu uznano za niebezpieczne dla partii rewizjonizm i dogmatyzm. Stwierdzając słusznie, iż „jedno i drugie choć z różnych stron i pod różnymi sztykami, sięga do demagogii, wywołuje te same skutki: osłabienie partii, jej oddziaływanie, jej więzi z ludźmi pracy”. Już zaraz potem dodaje się, że w sytuacji ostrej walki politycznej, a z taką mamy dziś do czynienia „oportunistom (czytaj: rewizjonizm) stanowią dla nas szczególnie niebezpieczeństwo”. A więc jednak nie ustrzeżono się przy remisie na wskazanie gorszego. Sądzę, iż słusznie ar-

W przeszłości bywało, że z myślą o wianach społeczeństwa z zadaniami partii budziliśmy w nim pożądanie rzeczy i warunków życia, które mogliśmy zaspokoić dopiero w bardzo odległej przyszłości. Powodowało to rozgorączczenie lub nawet wrazenie naszej nieudolności. Nie możemy co krok odwoływać się jedynie do motywacji utylitarnych, choć naszym zadaniem jest stała troska o znośne dziś, a lepsze jutro; coraz lepsze warunki życia. Tylko, że wyższość socjalizmu nad kapitalizmem nie polega jedynie na doganianiu w statystykach, przelicznikach na głowę jednego mieszkańca wysoko rozwiniętych krajów burżuazyjnych, na budowaniu miast 10 czy innej potęgi, ale na tworzeniu realnych i stabilnych warunków tzw. nowej jakości życia, warunków dla pełnego i wszechstronnego rozwoju jednostki. Nie idziemy z kapitalizmem tą samą drogą, tylko że dużo w tyle, ale po różnych drogach do innych celów.

Jak w tej sytuacji, w trudnych, skomplikowanych warunkach kryzysu i niedostatku pozyskać dla naszego ruchu młode pokolenie, jak sprawić, aby nasza ideologia i doktryna stały się dla młodych atrakcyjne, rozdziły poczucie szansy na przyszłość? — pytano niejednokrotnie w dyskusji na konferencjach.

Tak, przyznano to na XIII Plenum, iż nie udało się dotychczas partii rozwiązać kompleksowo rozumianej problematyki młodego pokolenia, podobnie też „pod ciężarem problemów codziennych nie potrafiliśmy poświęcić dostatecznej uwagi zadaniom perspektywowym”. Nie uda nam się uporać z tymi zadaniami zastępując uporczywą, żmudną pracę ideologiczną i wychowawczą hasłami: „młodzież obiektem wychowania i podmiotem samowychowania”, jak to zaproponowano na śródmiejskiej konferencji.

Trzeba zerwać z praktyką traktowania ideologii i procesu wychowania instrumentalnie i okazjonalnie, a młodego pokolenia w sposób przedmiotowy, manipulacyjny. Wydarzenia po roku 1980 spowodowały zarówno w młodym pokoleniu, jak i w klasie robotniczej, całym społeczeństwie określenie zmiany w świadomości, nie zawsze pożądane, zależne przy tym zarówno od indywidualnych doświadczeń, jak i wpływu środowiska. Czy wiemy już dziś naprawdę jakie są to zmiany, jaki ślad na świadomości społecznej odcisnęły wydarzenia ostatnich kilku lat? Co w postawach i poglądach poszczególnych grup społecznych jest skutkiem tych doświadczeń, a co efektem błędów minionego dekady? Czy to już wiemy? Czy potrafimy to trafnie określić, nazwać? Myślę, że na tę wiedzę przyjdzie nam jeszcze poczekać. Niczego nie zmienia tu zwalanie wyłącznej winy za stan tej niewiedzy jedynie na nauczycieli, na tych od ideologii, na tzw. środowiska opinotwórcze. Za sytuację, która nas bulwersuje odpowiadamy po części — mniejszej lub większej — wszyscy.

Aby chcieć realnie wpłynąć na postawy młodych, należy: po pierwsze — zdobyć się na odrobinę samokrytycyzmu (a nie zwalać całą winę na duszpasterstwo i przeciwników ideologicznych), po drugie — zarzucić w metodzie wychowawczej nawyki instrumentalnego, przedmiotowego traktowania młodych, zastępując w rozmowie z nimi dotychczasowe hasła i frazezy językiem konkretnym, po trzecie — wyzbyć się arogancji i grożenia palcem, po czwarte — zanim wyda się diagnozę lub osąd, wyrok, należy najpierw spróbować wysłuchać rozmówców, próbować ich zrozumieć, zauważyć ich racje, i po piąte — mieć niezbędną wiedzę, opór i cierpliwość.

5.

Wł. Sokorski pisał kiedyś: „Mamy wszystkie dane, żeby po starcie wygrać. Po naszej stronie są prawa historii, interes człowieka i narodu, racjonalne myślenie, pozabawione tradycyjnych nawyków. Mamy jednak szereg słabych punktów. Zbyt długo przyzwyczajaliśmy się do rozmów tylko między sobą, stępiiliśmy ostrze dialektycznej polemiki...”

Potwierdzenie aktualności, słuszności tej tezy znalazłem w materiale z dyskusji, którą toczono na niedawnym plenarnym posiedzeniu IX Zjazdu. Wśród tych mas nierzadkie są postawy nijakie. Zdarza się także, że pozycja w tzw. centrum bywa utożsamiana z centryzmem, czyli zamaskowaną formą oportunistów, tylko deklaracyjnie wiernym marksizmowi. Centrum nie może oznaczać poglądu i postawy nijakich, chwilowych, lawirantów. W kontekście dotychczasowych rozważań trzeba powiedzieć jednoznacznie, iż tak jak zważnione z ideologią marksizmu skrzydła partii nie pozwolą wnieść się naszymu ruchowi, tak nijakie, bezideowe centrumbędzie zawsze jego balastem. Bówiem, jak powiedział W. Jaruzelski: „naszym groźnym przeciwnikiem jest również ignorancja, brak wiedzy, powierzchowność, pomieszanie pojęć”.

4.

Nową praktyką w zakresie popularyzacji materiałów plenarnych były odbywane po XIII Plenum KC dzielnicowe i miejskie konferencje ideologiczne. Sądzę, iż te fora dyskusji spełniły pokładane w nich cele. Dostarczyły materiałów do dalszych, głębszych przemysłów, wielu refleksji, spowodowały, że bogaty dorobek XIII Plenum KC stał się przesłanką dla ożywionego, a co najważniejsze konstruktywnego nurtu dyskusji w całej partii. Trzeba jednak stwierdzić, iż nie wszędzie konferencje te były jednakowo starannie przygotowane, stąd też i ich dorobek jest — pod względem wartości — zróżnicowany. Bywało, że dyskusanci toczyli polemiki obok problematyki podstawowej; bywało, iż przebieg dyskusji ujawniał poważne braki w zakresie wiedzy ogólnoteoretycznej. Słyszałem także głosy, że nie czas na ideologiczne dywagacje, kiedy życie codzienne rodzi problemy, z którymi POP nie mogą sobie poradzić. „I co tu mówić o ideologii?”... Tego typu wypowiedzi, jak ta ostatnia, to uświadomione (lub też nie) ciągły do spychania partii w zaulek jedynie problematyki bieżącej, kłopotów codziennych, biadolenia i bezpłodnego krytykantwa.

Powtórzmy w tym miejscu raz jeszcze: „Partia nie musi być przyniła (...). Jej powinnością jest uświadomienie klasie robotniczej, całemu narodowi tego, co możliwe, ale i tego, co konieczne”. A jak to uczynić bez orężnego, silnego wsparcia ideowego?

KAROL JÓZEF STRYJSKI

## Przypomnijmy Lunaczarskiego

Wśród postępowych myślicieli nowszej doby, których dorobek poszedł u nas ostatnimi czasy w znacznej mierze w zapomnienie (a nigdy nie był dość dobrze znany), znalazł się także wybitny prekursor estetyki marksistowskiej, wnikliwy krytyk literatury, wielki miłośnik teatru, a przy tym doświadczony działacz na polu oświaty i kultury, Anatol Lunaczarski, którego pięćdziesiąta rocznica śmierci minęła w tym roku.

Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, o bardzo rozległych zainteresowaniach, odznaczającym się umysłem twórczym, wiecznie poszukującym, poddającym rewizji utarte szablony myślowe, stąd też popełniającym nieraz pomyłki i błędy, do których przyczyniał się z dużą otwartością, reprezentował bowiem pogląd, iż: „Rzadko się zdarza we wszystkim mieć rację, zwykle wśród wiodących spór jeden ma ją w większym stopniu, inny zaś w mniejszym; prawda dialektyczna nie jest bowiem prawdą metafizyczną i nie można jej osiągnąć w jednym akcie poznawczym (...). Błądzenie w czasie jej poszukiwania jest nieuniknioną ceną postępu”. Stąd też widoczna u Lunaczarskiego chęć zrozumienia argumentów polemistów i adwersarzy, stąd niepoddawanie się zacietrzewieniu w najzaciętszych nawet sporach i to mimo zjadliwego dowcipu i wielkiej ostrości pióra, stąd dostrzeganie w argumentacji przeciwników tego, co godne uwagi i uznania.

Urodzony w 1875 r. w radykalnej politycznie rodzinie urzędniczej, już jako 17-latek wstąpił do organizacji socjaldemokratycznej, a w późniejszych latach był aktywnym uczestnikiem partyjnych zjazdów i międzynarodowych kongresów, redagował przez jakiś czas pismo rewolucyjne w Genewie.

W okresie rewolucyjnych wypadków 1905 roku i w latach następnym pozostawał pod wpływem filozofii Macha, przeszedł też na pozycje krytyczne wobec niektórych założeń marksizmu i został wtedy imiennie skrytykowany przez Lenina w jego słynnej pracy „Materializm a empirio-krytycyzm”.

Po przewrocie Kiereńskiego Lunaczarski wrócił do Rosji, a następnie wstąpił do partii bolszewickiej. Wkrótce potem Lenin, jako szef pierwszego rządu radzieckiego, powierzył Lunaczarskiemu tekę Ludowego Komisarza Oświaty, a więc kierownictwo resortu obejmującego zarówno system szkolno-oświatowy, jak i całość życia kulturalno-artystycznego. Kierował tym resortem przez 12 lat, stając się jednym z twórców linii partii w dziedzinie oświaty i kultury oraz jednym z autorów koncepcji polityki kulturalnej państwa radzieckiego.

Dał się w tej swojej roli poznać jako zagorzały rewolucjonista, propagator twórczości, która służyłaby jak najskuteczniej potrzebom nowych czasów, kształtując socjalistyczną świadomość społeczeństwa, ale uznawał też odrębność praw rządzących polityką i sztuką, zdawał sobie sprawę, że twórczości socjalistycznej nie można zadekretować.

Lunaczarski reprezentował Związek Radziecki na wielu konferencjach międzynarodowych, występował niejednokrotnie w ówczesnej Lidze Narodów, a w 1933 r. w parę miesięcy po przewrocie hitlerowskim w Niemczech został mianowany pierwszym pełnomocnym przedstawicielem swojego państwa w Hiszpanii, zmarł jednak w drodze, przed objęciem swego wysokiego urzędu.

Pozostawił po sobie różnorodny i cenny dorobek, zarówno oryginalnej twórczości teatralnej, mającej dziś raczej historyczne znaczenie, jak i publikacji z zakresu literatury, prac o teatrze i dramaturgii, rozproszonych po różnych pismach i do dziś będąc nie mających pełnego wydania, w tym, zachowywanych do dziś swą żywotność, rozpraw o twórczości Puszkina, Gogola, Dostojewskiego, Gorkiego, Małakowskiego, ale także Szekspira, Ibsena, Prousta...

Był Lunaczarski jednym z najwybitniejszych teoretyków i praktycznych reformatorów życia kulturalnego, a dane mu było konfrontować swoje pionierskie zamierzenia z nie zawsze zadowolającą go praktyką, ale starał się analizować przyczyny swoich niepowodzeń, wyciągać z nich wnioski.

Pragniemy zapoznać Czytelników z bardzo wrywkowym wyborem myśli i uwag Anatola Lunaczarskiego w sprawach kultury i sztuki, tych zwłaszcza, które zachowały do dziś swój uogólniający walor, mogą więc pobudzać do refleksji na temat obecnego stanu polityki kulturalnej w naszym państwie.

J. K.

# Przewodzić i służyć, być awangardą

piów, wymaga wiedzy, umiejętności i zaangażowania w wysiłku nad poznaniem społecznej rzeczywistości i wypracowaniem racjonalnych sposobów jej przekształcania.

To zadanie postawiła partia na XIII Plenum głównie przed swoim teoretycznym zapleczem. W dyskusji plenarnej, w dyskusjach na niedawnych konferencjach ideologicznych, a także w wypowiedziach na plenum Instancji Łódzkiej podkreślano, iż działacz partyjny, a już szczególnie funkcyjny członek władz, pracownik aparatu nie może braku w wiedzy o ideologii tłumaczyć tym, że „od teorii to jest jego kolega, jego zastępca, ktoś inny”. Wąski pragmatyzm, powierzchowna znajomość ideologii, lub wręcz jej nieznajomość nieraz już partii zaszkodziły. Nie chodzi oczywiście o wpadanie z jednej skrajności na drugą. Marksizm-leninizm, jego istota, wypowiedzia się słowami, ale jego znajomość i jego racje potwierdzają się w działaniu, w rozumnym zmienianiu rzeczywistości.

2.

Już sam fakt, iż w przeszłości nieczęsto podejmowano w partii tak kompleksowo, jak to uczyniono na XIII Plenum, problematykę ideologiczną, spowodował, że forum to nie mogło odpowiedzieć na wszystkie pytania, które podsuwa praktyka. Na część z nich plenum mogło jedynie udzielić odpowiedzi ogólnej. Uszczegółowienie i pogłębienie stanowiska XIII Plenum to zadanie dla partyjnego zapleczka intelektualnego i naukowego.

Odpowiedzi, których potrzebę pełniejszego udzielenia w przyszłości zasygnalizowało XIII Plenum to m.in.:

— Budząca wiele dyskusji, a także kontrowersji na etapie konsultacji przed obradami kwestia określenia etapu rozwojowego budowy socjalizmu w naszym kraju.

W referacie Biura Politycznego stwierdzono, iż „zrealizowaliśmy w Polsce większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu”. Taka konstatacja, jak to potwierdziły konferencje ideologiczne, okazuje się być niepełną, niewystarczającą dla udzielenia odpowiedzi na często zadawane w środowisku robotniczym pytania o spóki polonijne o drobnokapitałistyczny sektor rodzimy o istotę zapisu konstytucyjnego w kwestii gwarancji chłopskiej własności ziemi, itp.

— Rozmaicie interpretowana i rozumiana była konkluzja zamieszczona w referacie mówiąca o tym, iż „w naszej rzeczywistości istnieje poważna sprzeczność antynomistycznych sprzeczności klasowych”. Jak to pogodzić ze stwierdzeniem, że zrealizowaliśmy podstawowe zadania okresu przejściowego, skoro sprzeczności klasowe o charakterze antynomistycznym (a więc nie dające się rozwijać pozytywnie w obrębie tej samej formacji), to dominanta ustroju poprzedniego, to cecha kapitalizmu? — zapytywano w dyskusjach.

— W referacie Biura Politycznego nasz ustrój polityczny określony jest jako „wielopartyjny system polityczny i koalicyjny sposób sprawowania władzy”. Równocześnie zastrzeżono, iż „tak zwany pluralizm polityczny czy wolna gra sił to nie innego jak postulat porzucenia busoli i steru na pełnym morzu”. To ostatnie stwierdzenie wydaje się być nader oczywiste. Aby i pierwsza część cytowanej wypowiedzi była również oczywista trzeba dodać, iż system polityczny to nie tylko partie, i że musi on — aby nasz postulat o porozumieniu był wiarygodny — ulec ewolucji, doskonaleniu. Ale równocześnie, abyśmy zachowali swoją tożsamość, system partyjny musi pozostać hegemonicznym, a nie „wielopartyjnym” jedynie dla piękna ornamentyki słów. Tak zwany koalicyjny system sprawowania władzy jest obowiązującą dziś wytyczną dla określenia kierunków ewolucji systemu politycznego. Dla hegemonicznego systemu partyjnego alternatywą jest jedynie system monopartyjny. Istnienie więcej niż jednej partii nie oznacza potwierdzenia



# Przypomnijmy Lunaczarskiego

## Dokończenie ze strony 3

„Zawsze twierdziłem i nadal jestem zdania, że regulowanie spraw sztuki przez państwo jest rzeczą szkodliwą. Rozumie się samo przez się, że w społeczeństwie socjalistycznym sztuka będzie zupełnie wolna, aczkolwiek różnorodnie naciśnięta będąc na najrozmaitszymi kierunkami społecznymi i organizacyjnymi, oczywiście bez jakiegokolwiek nacisku ze strony władz. Całkowicie uształtowane społeczeństwo socjalistyczne w ogóle nie wymaga istnienia państwa i dla takiego społeczeństwa wolność sztuki jest czymś całkowicie zrozumiałym. Jednakże w przeżywanym przez nas obecnie epoce przejściowej państwo nie może ustosunkować się do sztuki obojętnie (...)

Socjaliści, zmierzający ostatecznie do całkowitej wolności sztuki, jednocześnie zaś zmuszeni do walki z wrogą agitacją występującą w artystycznej formie, starają się z natury rzeczy znaleźć złoty środek między pałką cenzury a obojętnością estetyczną. Starają się znaleźć złoty środek między pałką cenzury, która wnosi ducha nienawiści i uciśku do literatury, kojącą razem z trującymi kwiatami wrogiej agitacji także wiele dzieł neutralnych i względnie pożytecznych — a owa obojętnością estetyczną, dla których święte jest wszystko co nosi znamię artysty, choćby pod jego sztandarem przemycano najbardziej czarnosęciną kontrabandę (...)

Do dziedzictwa przekazanego przez historię proletariatu odnosi się z największą troską i powagą. Proletariat zdaje sobie sprawę, że w dziedzinie kultury i techniki socjalizm wyrasta organicznie z przeszłości, chociaż przejście do nowego ustroju dokonuje się pod względem politycznym w formach burzliwych, często katastroficznych (...)

Sztuka stanowi nader poważny oręż agitacji. Zarówno państwo, w postaci swoich instytucji oświatowych, jak i partia nie mogą traktować obojętnie tego oręża i powinny uczynić wszystko, aby wykorzystać sztukę w celach agitacyjno-propagandowych (...)

Marksiści interesujący się sprawami sztuki musi zająć się także szeregiem innych problemów. Dotyczyć one powinny nie tylko obiektywnego, teoretycznego badania faktycznego przebiegu procesów artystycznych, lecz także krytyki zaangażowanej, aprobującej pewne zjawiska, walczącej z innymi, starającej się czasem ograniczyć albo sparaliżować wpływ jakiegokolwiek artystycznego utworu czy kierunku, który nie będąc zresztą wcale przejawem kontrrewolucji i nie wymagając ingerencji cenzury, może jednak krytykowi marksistom wydawać się nieślusny. Zawsze starałem się (...) oddzielić w sobie krytyka-marksiście od działacza państwa proletariackiego. Nie ma nic bardziej szkodliwego niż kierowanie się swoimi osobistymi upodobaniami czy choćby nawet partyjnymi tendencjami (z wyjątkiem naprawdę doniosłej sprawy); jaką jest przeciwstawianie tego, co rewolucyjne, temu, co kontrrewolucyjne) w dziele urzędowego regulowania zjawiska tak bezwzględnie wymagającego wolności, jak sztuka (...)

Uchylać się od spraw ze sztuką związanych państwo absolutnie nie ma prawa, ale nie powinno też wyolbrzymiać ani zakresu swoich obowiązków, ani też swych możliwości.

W państwie rewolucyjnym, a takim jest państwo radzieckie, problem stosunku do sztuki można sformułować w sposób następujący: czy rewolucja może coś dać sztuce i czy sztuka może coś dać rewolucji. Państwo nie zamierza oczywiście narzucać artystom rewolucyjnych idei i gustów. Narzucanie takie może zrodzić tylko fałszyki rewolucyjnej sztuki, najistotniejszą bowiem cechą prawdziwej sztuki jest szczerść artysty. Ale oprócz form przymusu istnieją także inne: przekonywanie, zachęta, odpowiednie wychowywanie nowych kadr twórczych. Wszystkie te środki powinny być stosowane, aby dać sztuce rewolucyjną inspirację (...). Liczę bardzo na wpływ rewolucji na sztukę, czyli — mówiąc po prostu — ufam, że uratuje ona sztukę od najgorszego gatunku dekadencji, od czystego formalizmu, po to, by skierować ją, zgodnie z prawdziwym jej przeznaczeniem, ku potężnemu i zapładnia-

jącemu wyrażaniu wielkich myśli i wielkich przeżyć. Ale poza tym działalność kulturalna państwa ma jeszcze inny stały cel, a mianowicie upowszechnianie rewolucyjnego sposobu myślenia, odczuwania i działania w całym kraju. I dlatego państwo zadaje sobie pytanie: czy do tego celu może mu się przydać sztuka. I wprost narzuca się następująca odpowiedź: jeżeli rewolucja może dać sztuce duszę — to sztuka może dać rewolucji jej mowę (...)

Towarzysz Tatlin stworzył paradoksalną konstrukcję, którą jeszcze teraz można oglądać w jednej z sal gmachu Związków Zawodowych. Może popełniał błąd w subiektywnej ocenie tego dzieła, ale jeśli Maupassant gotów był uciec z Paryża, byle nie widzieć żelaznego dzwonnika, wieża Eiffla, to, moim zdaniem, wieża Eiffla jest uosobieniem piękna w porównaniu z koślawym tworem towarzysza Tatlina. Sądzę, że nie tylko ja bylibym szczerze smutni, gdyby Moskwę albo Piotrogród ozdobiło tym plodem twórczości jednego z najwybitniejszych przedstawicieli artystycznej lewicy. Jak już wspominałem, artystyczna lewica obecnej doby tak samo właściwie niezdolna jest do twórczości rewolucyjnej w sensie ideowym, jak niemożliwa do wygłaszania rewolucyjnych przemówień. Odrzuca ona z zasady ideową i wizualną treść obrazów, rzeźb itd. Ponadto tak daleko posunęła się w deformacji materiału zaczerpniętego z natury, że proletariusze i chłopcy (...) wciąż tylko ręce rozkładają nad tymi produktami zachodnioeuropejskiego zmierzchu kultury. Muszę zaznaczyć, że państwo absolutnie nie może wpłynąć na pojawienie się naprawdę znakomitych dzieł o treści „ideowej”. Nikt nie potrafi sztucznie wyprodukować geniuszy czy choćby tylko artystów naprawdę utalentowanych. Należy więc tylko stwierdzić, że gdyby taki geniusz czy talent się zjawiał, to państwo powinno mu udzielić wszechstronnej poparcia. I państwo oczywiście uczyniło to. Jeśli by ktoś wystawił obraz choćby tylko w małej części tak wybitny, jak na przykład „Objawienie się Chrystusa” Iwanowa (...) ale za to odpowiadający nową treścią naszym czasom, to wwołałbym go, jak by się wszyscy cieszyli, z jaką radością i partia i władza radziecka zareagowałyby na takie wydarzenie.

Bezpośrednio po objęciu władzy Lenin polecił mi zająć się przyozdobieniem Moskwy i Piotrogradu popiersiami wielkich myślicieli. W Piotrogradzie wypadło to nie najgorzej. (...) W Mos-

kwie skończyło się to całkowitym niepowodzeniem i nie wiem, czy choć jedna rzeźba miała odpowiedni poziom. Wręcz kiepskich natomiast było aż nadto, takich na przykład, jak Marks i Engels kaplący się w jakiejś wannie albo Bakunin — pomnik jego był tak rewolucyjny w formie, że nawet anarchiści, których nikt w rewolucyjności nie pociągał, chcieli go wysadzić w powietrze, ponieważ uważali go za ozywistą drwinę z pamięci ich wodza (...)

Jeśli nawet gołym okiem można dojrzeć, że sztuka świadomie burżuazyjna wypierała — rekoma mężów pokroju Diderota i Davida oraz ich szkół — sztukę typowo dworską, to czyż można wątpić o tym, że proletariatu, który przeciwko do wielu bardziej różni się od burżuazji, niż ta ostatnia od warstw uprzywilejowanych, nie wyłoni w sposób naturalny własnej sztuki? (...)

Łatwo tu o błąd, gdyby przyjąć, że zaznajamianie mas ze sztuką niesocjalistyczną jest bezużyteczne albo nawet szkodliwe. Grzech tego rozmyślnego barbarzyństwa, jakkolwiek dziwny się on wydaje przy obecnym doświadczeniu proletariatu, popełniają jeszcze teraz — acz bardzo rzadko — nawet proletariusze i chłopcy, przeważnie jednak gwałtem idący z proletariatem odszczepieńcy ze sfery inteligenckich. Zresztą ilość istniejących dzieł sztuki socjalistycznej jest jak dotąd znikoma, toteż wychowanie estetyczne mas oparte byłoby na niezmiernie kruchych podstawach, gdybyśmy całą sztukę ograniczyli do tego minimum (...)

Cała sztuka minionych epok powinna być dostępna dla robotników i chłopów (...), nie ma takiego dzieła prawdziwej sztuki, tj. dzieła rzeczywistie oddzierającego w odpowiedniej formie także czy inne przeżycia człowieka, które mogłoby być wyrzucone za nawias ludzkiej pamięci i zakazane dla człowieka pracy, spadkobiercy dawnej kultury (...) tymczasem owo dziedzictwo przeszłości stanowi zaiste obrzydliwy skarb, toteż mimo woli ogarnia człowieka oburzenie, kiedy jakiś — taki czy inny — niedouczony czy nawet świadomy demagog chce zasłonić tę wielką snuścinę przed okiem robotnika i chłopca, usiłując przekonać go o konieczności przykuca wroku tylko do tego skąpego kaganca, który zapalono w dziedzinie sztuki w ostatnim okresie (...)

## Polityka kulturalna: tylko zakręt czy nowe oblicze?

BOHDAN JACHOWICZ

L

Minione dziesięciolecie, a szczególnie jego lata ostatnie, przyniosły kulturze polskiej szereg zmian. Zaistniałe w owym czasie wybitne fakty kulturalne generalnej opinii bynajmniej nie zmieniają. Potwierdzają jedynie powszechną opinię o tym, iż naród polski — zawsze wyłaniał szczególnie utalentowanych twórców. Okres do połowy roku osiemdziesiątego charakteryzował się w sferze kultury przede wszystkim dotkliwym niedoinwestowaniem z budżetu państwowego. Towarzyszył temu postępujący proces zburzenia i upadku „prze-administracji” kultury.

Szarżowany hasłem mecenatu państwowego w swojej istocie kryło niejednokrotnie koncentrację środków państwowych w kasach i portfelach wybranych ludzi z określonych kręgów twórczości. W ten sposób stworzona została enklawa personalnych przywilejów wywołująca ludowi, kiedy i za ile ten ma być czczony w poklonie lub padać na kolana. Jest rzeczą charakterystyczną, że często te same grupy osób „po sierpniu” objawiły się na forum publicznym w roli proroków moralnych i najbardziej potępiały niepodważalne orzeczeń dokonania kulturalne społeczeństwa na przestrzeni całego okresu Polski Ludowej.

Ciężar świadczeń w sferze kultury masowej przerzucano na barki społeczne. Jednocześnie proponowano społeczeństwu wyniszczający, pusty i bezideowy model życia z małego ekranu, fonu i dyskoteki preferujący błędną materialną grę z ich całą gamą skrzywień moralnych. Brł to model skutecznie odhumanizowanych zjawisk cywilizacyjnych, szczególnie obecny teorii i praktyce socjalistycznej kultury. Polityka ta najbardziej dotknęła młode pokolenie Polaków, stopniowo przetożowała glebę tym wszystkim procesom, które skutecznie anarchizowały nasze życie przed 13 grudnia 1981 roku.

Równoległe nastąpiły zjawiska „nieoficjalnego życia kulturalnego”. Z rak do rak przemycaliby produkty „niezależnych witrzyn” i „drukarni walkowo-hebnowych”, szerzące wroga socjalistycznej ideologii.

W tym samym czasie zastraszająca spadła w kraju produkcja książek.

Coraz częściej, pozostawiana sama sobie, młodzież literacka grupowała się wokół „dobrodusznym papieży” — ludzi, którzy posiadli tajemnicę „owocu zakazanego”. Nic dziwnego. Polityka oficjalnych wydawnictw pozwalała starzeć się przed debiutem nawet najzdolniejszym. Literatura bez nazwiska uznająca pryncypia, utracana była natychmiast. Aby zaistnieć, należało zatem „ugryźć zakazany owoc”, albo polecić duszę miejscowym „papieżom”. O „groźny Demoralizacja zaczynała się przed programem do świątyni sztuki. Po tem... Potem można było wejść na tamy „Kultury”... paryskiej. Podobne zjawiska drażyły środowiska młodych filmowców, plastyków, muzyków.

Między sierpniem 80 a grudniem 81 problemy kultury zepchnięto na margines. Na zjawiskach kultury „profesjonalnej” zaczęły elementy szowinizmu i dominacja ideowo obcej propagandy. Estrada, film, teatr, telewizja, radio, plastyka, łączyły do mózgow i kumulowały w społecznych warstwach emocjonalnych stan gotowości do przewrotu. Szykowało naród do lotu... w samounicestwienie. Nastąpiło pogłębienie formalnych przywilejów wybranych grup twórców. Jaskrawym tego przykładem był „układ” byłego ministra kultury i sztuki z prezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich, oddający temu drugiemu we wszechwładny zarząd całokształt spraw związanych z polską kinematografią. Kto nie złożył holdu wodzom SFP — pozostawał praktycznie poza problemami filmu.

Podobnie rozprawiano się z opornymi w byłym Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Tutaj znaczna część publicystów i reporterów gotliwie rozładowywała kompleksy nabyte w okresie „propagandy sukcesu”, a może jeszcze wcześniej.

Widmo „Ciemnozirodu” pojawiło się w kulturze masowej. Człowiek stał się wielkim, bezbożny — „pobożnym”, odważny — tchórzem, tchórz i szalbierz — bohaterem. Zalał się system norm i wartości moralnych stanowiących

kanwę wychowania najmłodszych pokoleń.

Skutecznie rozbijano społeczny ruch artystyczny i wiele innych elementów wieloletniego dorobku w środowiskach pracy — a więc te formy działalności, które tak pieczołowicie budowane były i pielęgnowane przez załogi zakładów pracy w trosce o ciągłość narodowej kultury i rozwój procesów jej demokratyzacji. Szczególnie dotkliwie uderzono zatem w coś, co winno podlegać troskliwej opiece i ochronie — w sferze działań wprowadzających setki tysięcy dzieci i młodzieży w piękny i skomplikowany świat kultury, w progi humanizmu.

Doprawdy, był to już najwyższy czas, aby zadrało ludzkie sumienie — aby ta najbliższa i ta bardziej odległa praktyka naszego życia zaczęła na nowo cierpliwie wypełniać szczyby w podwalinach dziedzictwa, jakie zechcemy przekazać pokoleniom, które po nas nadejdą. Przede wszystkim nie wolno traktować kultury w sposób instrumentalny. Należy zrozumieć, że kultura nie jest fenomenem wycinka czasu, ale jawi się i kształtuje w swoich warstwach materialnych, umysłowych i emocjonalnych jako fenomen wszechogarniającego humanizmu, szeroko rozkorzoniony na przestrzeni dzieł w przebiegających barwach i odcieniach.

Myśl marksistowska szczególnie eksponuje głęboką wiarę w możliwości umysłu człowieka, w jego krytyczny stosunek do zastanych obszarów rzeczywistości, doskonalszych w ciągłych procesach twórczych. Człowiek tworząc doskonalszy świat — praca tworzy i doskonali człowieka. Owo sprzężenie odciśca swoje kształtujące piętno w ludzkiej świadomości, a więc w tej sferze ludzkiej psychiki, która jest jednym z głównych elementów i wyznaczników kultury. Dlatego tak obecna kultura próby manipulowania jej substancją. Warto o tym pamiętać i dobrze dbać o to, aby nie wyszło jej bijące źródło.

II.

Polska wkroczyła na trudną, ale konieczną drogę socjalistycznej i narodowego odrodze-

nia. Proces ten nie może w żadnym przypadku omijać sfer życia kulturalnego, ani tolerować zjawisk i działań pozornych. Zanim więc realizowany będzie wszechstronny i perspektywiczny program rozwoju i upowszechniania kultury, warto i należy już dzisiaj, zaraz, troszczyć się o zabezpieczenie tych wszystkich wartości, które udało się ocalić z minionego okresu i czasu społecznej burzy.

Niezbędne jest również podjęcie działań warunkujących dalszy rozwój kultury, tym bardziej, że wprowadzana w życie reforma gospodarcza nie może z sobą szereg zjawisk towarzyszących, w tym groźnych kulturze komercjalizacji, ograniczeniem swobodnego rozwoju twórczości oraz zawężeniem obszarów i funkcji upowszechnienia. Uciążliwa sytuacja ekonomiczna mogłaby przynieść również szczególne zagrożenie degradacji kulturalnej dzieci i młodzieży, głównie zaś młodej rodziny dysponującej skromnym budżetem domowym. Obserwować już przecież mogliśmy niepokojące zjawisko pozbywania się przez część zakładów pracy niektórych placówek socjalnych i kulturalnych, a także likwidowania wielu form działalności kulturalnej w środowiskach pracy.

Niezależnie więc od trudu związanego z wyprowadzaniem kraju z kryzysowej sytuacji gospodarczej, należy czynić wysiłki, aby w niezbędnym stopniu wzrastały coroczne realne nakłady na kulturę. Chodzi tutaj przede wszystkim o zapewnienie koniecznych podstaw bytu funkcjonującym instytucjom i placówkom kultury, pomimo znacznego przyrostu kosztów. Można i należy tworzyć system preferencji dla kultury zarówno w środowiskach miejskich, jak i na wsi — chociaż-

by poprzez zmniejszenie w pewnym stopniu podatku obrotowego przedsiębiorstwom prowadzącym działalność kulturalną, a także poprzez odpis na kulturę z podatku gruntowego i funduszu rozwoju rolnictwa.

Istnieje również pilna potrzeba stworzenia „stref ochronnych” dla szczególnie ważnych dziedzin twórczości i upowszechniania, w tym: ochrony wybitnych dzieł klasyki narodowej, ochrony i konserwacji zabytków, produkcji książki i rozwoju wydawnictwa, opieki nad wartościami kultury ludowej — chłopskiej i robotniczej, szerokiego uwzględniania edukacji kulturoznawczej w programach oświatowych, zabezpieczenia materialnej struktury kin i teatrów, pomocy dla szkolnictwa artystycznego i ognisk artystycznych. Niezmiernie ważną sprawą jest zabezpieczenie wszelkich niezbędnych warunków umożliwiających działalność twórczą ludziom sztuki, a także określenie statusu zawodowego pracowników upowszechniania i animacji kulturalnej. Jest to jeden z istotnych postulatów zmierzających do stabilizacji i pozytywnej selekcji kadr pracowników kultury. Powołanie postulatowa jest również potrzeba dokonania analizy systemu i kierunków kształcenia kadr dla kultury, a zwłaszcza szersze uwzględnianie potrzeb występujących w tym zakresie w środowisku wiejskim.

Zapady decyzje dotyczące stopniowego porządkowania i poprawy stanu kultury w naszym kraju. Mam na uwadze m. in. realizację zobowiązań nałożonych przez premiera Wojciecha Jaruzelskiego na resort kultury do zwiększenia o 25 proc. wielkości produkcji książek. Można być wdzięcznym, że proces przywracania kulturze polskiej jej pełnego

blasku w pierwszym rządzie skierowany został w stronę literatury, a więc objął tę sferę kultury, bez której nie można realnie myśleć o tworzeniu szerokiego społecznego uczestnictwa kulturalnego.

Należy mieć nadzieję, że w najbliższym czasie zapadną również decyzje obejmujące szerszą ochroną działalność bibliotek i czytelników — publicznych i zakładowych. Dyktuje to bowiem znaczny wzrost cen książek, wynikający m. in. z podwyżki cen papieru oraz z nowych zasad gospodarowania przedsiębiorstw wydawniczych. Droga książka nie zawsze jest dostępna indywidualnemu nabywcy. Stąd przewidzieć należy wzrost znaczenia bibliotek i wypożyczalni książek.

Powolana została Narodowa Rada Kultury, która zrzeszając naukowców, twórców, praktyków i społeczników życia kulturalnego, społecznego i politycznego, spełnić może istotną rolę w wypracowywaniu kierunków i metod polityki kulturalnej państwa, służąc w tym zakresie swoim głosem doradczym i wiarygodną społecznie opinią.

Podjęte zostały już także pierwsze kroki w stronę zmian w strukturze organizacyjnej kinematografii. Tematyka kulturalna wróciła na łamy codziennej prasy.

Osobiście uważam, iż niezależnie od szeregu rozwiązań systemowych, niezbędna jest już teraz społeczna, środowiskowa inicjatywa, umożliwiająca bieżące rozwiązywanie różnych, nieraz drobnych ale dokuczliwych dla spraw kultury problemów.



Foto: Mirosław Zajdler



W okół tamtych czasów sprzed 40 lat, tamtych wydarzeń, wokół ich bohaterów — żołnierzy i Dywizji im. T. Kościuszki, których czyny otworzyły nową kartę historii Polski, narasta dziś jakby atmosfera legendy. Co niedawno jeszcze dla wielu było wieżym przeżyciem, z biegiem lat stawało się tylko wspomnieniem.

W bezpośrednią atmosferę tamtych pamiętnych dni wprowadza frontowa gazeta „Głos Żołnierza” („G.Z.”), wydawana w czasie wojny na terenie Związku Radzieckiego: w Sumach na Ukrainie, a później w Zytomierzu. Niewiele kompletów tej gazety zachowało się — kilka zaledwie. Składana ręcznie przez żołnierzy-drukarzy i drukowana cześć w ogniu walki, nie miała charakteru pisma codziennego. Początkowo w kwietniu 1944 r. wychodziła 3-4 razy na tydzień, zaś od 20 maja do 17 sierpnia tegoż roku ukazywała się codziennie z wyjątkiem poniedziałków w objętości dwóch stron małego i dużego formatu, w nakładzie około dwóch tysięcy egzemplarzy.

Byłem jednym z korespondentów wojennych — dziennikarzy wojskowych „G.Z.”. To, że trafiłem właśnie do redakcji tej gazety, zawdzięczam szefowi Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego W.P., podpułkownikowi Wiktorowi Groszowi.

Gdy zgłosiłem się w sprawie przydziału, wywiązała się między nami serdeczna bezpośrednia rozmowa. Najpierw na temat mego pochodzenia, wykształcenia, pracy zawodowej przed wojną i w czasie okupacji, udziału w kampanii wrześniowej.

— Jako nauczyciel gimnazjalny z wyższym wykształceniem — zaproponował Grosz — moglibyście pójść do oficerskiej szkoły piechoty w Riazaniu. Co wy na to?

Zapanowała chwila cisza.

— Jak widzę, nie przedpadacie za szkołą oficerską. A może chcecie wstąpić do wojskowego teatru kukielki i Dywizji Moglibyście tam pisać scenariusze, występować jako aktor lub grać na jakimś instrumencie w zespole muzycznym.

— Niestety, obywatelu pułkowniku — odpowiedziałem — nie posiadam w tym kierunku żadnych uzdolnień.

— A czy przed wojną utrzymywaliście jakieś kontakty z dziennikarstwem? Czy pisaliście artykuły do gazet?

— Tak, pisałem artykuły do gazet!

— Jakich?

— Do „Gazety Grudziądzkiej”, wydawanej przez działacza ludowego Wiktora Kulerskiego.

— Znam to pismo. Znałe było z tradycji postępowych, zwłaszcza z walki z zaborcą pruskim o polskość ziem Wielkopolski.

— Ponadto pisałem do tygodnika ludowego „Rola”, „Gazety Polskiej” w Kościanie, „Kuriera Literacko-Naukowego”, dodatku „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w Krakowie i dorwycho do wielu innych pism.

— A więc, jak z tego wynika, znacie się na robocie dziennikarskiej. Takich jak wy potrzeba nam teraz w wojsku. Właśnie w tej chwili organizuje się zespół redakcyjny, który będzie wydawał gazetę frontową i Armii W.P. „Głos Żołnierza”. Zamierzam was tam skierować jako korespondenta wojennego.

— Nie wiem, obywatelu pułkowniku, czy w zmienionych warunkach — na froncie, potrafię sprostać swemu zadaniu.

— Na pewno potrafić. Wielu takich jak wy z profesji nauczycielskiej para się pracą dziennikarską z wynikiem dodatnim. Trzeba tylko chcieć i wierzyć, że to co się robi, jest dobre i pozytywne. No jak, decydujecie się?

— Spróbuję, obywatelu pułkowniku!

Spróbowałem i pozostałem raz na zawsze w dziennikarstwie: od 1944 do 1950 r. w „Głosie Żołnierza”, „Polsce Zbrojnej”, „Żołnierzu Wolności”, a od 1950 r. do czasu przejścia w stan spoczynku — w dziennikarstwie radiowym.

Wkrótce po rozmowie z Groszem zostałem skierowany przez chorążego Świętlikowa do redakcji „G.Z.”. Poznałem zespół redakcyjny: naczelnego redaktora por. Stanisława Nadźina, sekretarza ppor. Henryka Bochenka, kierownika politycznego chorążego Tadeusza Habera, kierownika działu korespondentów Henryka Sperbera, korektora Annę Jakubiszyn i innych.

Ze wzruszeniem dziś przeglądam rocznik „G.Z.” z 1944 r., składający się z 87 numerów dwustronicowych. Rocznik ten przewodził w mym plecaku żołnierskim daleką drogę ze Związku Radzieckiego — z Sum na Ukrainie — przez Zytomierz, Lublin, Warszawę — do Łodzi. Ożywiają w nich — choć papier połódkły — wydarzenia — zdarzenia i nastroje dawnych czasów wojennych. Stanowią one historię nie tylko formującej się podówczas i Armii W.P., ale także są początkiem dziejów Rzeczypospolitej Ludowej.

W pierwszym numerze „G.Z.” z 27 kwietnia 1944 r. w artykule redakcyjnym pt. „Nasz dowódca” dowiadujemy się wielu szczegółów o dowódcy i Dywizji im. T. Kościuszki gen. Zygmunt Berlingu:

„Gdy czytamy w nim znakomitego, doświadczonego żołnierza — nie myli nas instynkt. Zaprawiał się przecież w sztuce wojennej od dzieciństwa. Ma 16 lat, kiedy ładuje karabin w szeregach Związku Strzeleckiego — to było w roku 1912, ma 18 lat, kiedy walczył w szeregach Legionów, gdzie uzyskuje pierwsze odznaczenie bojowe: srebrny Medal Waleczności I klasy. Odnosił ranę w roku 1915, jest ranny w roku 1916, jest ranny w nogę, w bok, trzy razy w pierś.

I tak już — z niewielką przerwą na studia prawnicze, które kończy na Uniwersytecie Jagiellońskim — całe życie Zygmunt Berlinga jest służbą w zbrojnych szeregach Rzeczypospolitej. Kończy Wyższą Szkołę Wojenną, jest szefem sztabu 15 dywizji, potem szefem Wydziału Organizacyjnego M.S. Wojsk., potem szefem sztabu D.O.K. V w Krakowie.

Posiada liczne odznaczenia wojskowe: order Virtuti Militari, uzyskany w 1920 roku, czterokrotny Krzyż Walecznych, zdobyty w tymże samym roku, Krzyż Niepodległości, uzyskany w 1931 roku, Złoty Krzyż Zasługi, otrzymany w 1932 roku, order Lenina, którym rząd radziecki nagrodił go za zwycięską bitwę pod Lenino i mnożność medali.

Był zupełnie zorganizowany, że kiedy ten wytracony żołnierz zorganizował 5-tą dywizję armii gen. Andersa i objął w niej stanowisko

szefa sztabu — ta właśnie dywizja była najlepsza w całej armii!

Kiedy armia gen. Andersa wyjeżdża do Iranu — Zygmunt Berling zostaje, uważając, że miejsce żołnierza polskiego jest dziś w ogniu walki, a najkrótsza droga do Polski wiedzie przez front wschodni...”

W tym samym numerze mjr Edward Ochab zrelacjonował przebieg bitwy pod Lenino z 12 października 1943 r.

„Na lewo od nas widać grupę żołnierzy z pierwszego batalionu — czytamy między innymi — rozrzuconą w tyralierę wokół cekaemu, który bije długimi seriami, spokojnie i miarowo.

W krzakach przed nami migoczą brudnozielone drelichy — to Niemcy więżą z okopów. W ślad za nimi biegają nasze kule. Przedzieramy się przez płatynię zasieków kolczastych. Jeszcze kilka skoków i jesteśmy w niemieckim okopie. Chwila zamieszania, bo część naszych młodych żołnierzy zaczyna myszковать po niemieckich blindażach, wyciągając stamtąd nie tylko porzucone automaty, ale puszki konserw, paczki papierosów, butelki wina i wódki.

## Wspomnienia korespondenta wojennego

# W drodze do kraju

— Janek, ta jój, cała paczka czekulady — krzyczy śpiewnie po lwowsku jakiś żołtódz, który na widok ersatzczekolady, jak gdyby zapomniał, że tuż obok nas rwą się pociski i w każdej chwili Niemcy mogą przejść do kontrataku.

— A żeby was cholera cista — żółdkuje się wpatry plutonowy — Rzućcie to „barachto” i pilnujcie, żeby Niemiec z was kaszy nie zrobił.

— Chłopcy, naprzód! Naprzód!

Przed nami szeroki wąwóz zryty lejami, wybitymi przez pociski. Powoli posuwamy się pod górę. Raz po raz wybuchają miny, ale żołnierze idą naprzód, wyprostowani z żelaznym uporem, z niewarygodną pogardą śmierci.

Z prawego skrzydła prowadzą pierwszą grupkę jeńców hitlerowskich...

Nasza artyleria zaczyna ponownie „obrabić” niemieckie stanowiska. Ogień hitlerowski słabnie, możemy teraz nieco swobodnie posuwać się naprzód.

Posuwamy się skokami pod przykryciem ognia własnych rusznic i cekaemów. Niemcy znowu opuszczają okopy, próbują przez chwilę bronić się i ostrzelują, wykorzystując polskie krzaki, ale wylaszczamy ich stamtąd ogniem automatów. Szybko „związujemy” okop, posuwając się na prawo w stronę wsi...”

W dniu 2 maja t.r. przybył do obozu formującej się Armii P. w Sumach znany działacz Polonii Amerykańskiej ks. Orleński. Był prezesem honorowym Ligi im. T. Kościuszki w Stanach Zjednoczonych, której celem było popieranie polskich formacji wojskowych w ZSRR.

„W dniu wczorajszym — czytamy w bezimiennym relacji „G.Z.” z 2 maja, — na zebraniu oficerów, podoficerów, żołnierzy i rekrutów Armii Polskiej w ZSRR wystąpił ks. Orleński.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rozpoczął katechizm natchnione przemówienie. — Na samym wstępie biorę was wszystkich, jak tu jesteście, w objęcia i daję wam serdecznego całusa.

— Jesteście wolnymi Polakami. Macie wszystko czego wam trzeba dla walki o wolność Ojczyzny. Podczas mego pobytu w Moskwie zostałem przyjęty przez marsz. Stalina i min. spr. agr. ZSRR Molotowa. I zaprawdę, powiadam wam: oby tak wszyscy myśleli i oby wszyscy tak się starali, jak marsz. Stalin, aby Polska była zwyciężona silna i niepodległa.

— Mówię w imieniu 5 milionów Polaków w Ameryce. My chcemy, by nowa Polska, odradzona z waszego trudu żołnierskiego i krwi, oddana była we władanie nie jednostkom, nie klicie i nie partii — lecz narodowi. Wy, żołnierze, którzy krew przeluliście, i — co wam Bóg dał najdroższego — życie kładziecie w ofierze za Kraj, wy macie doń prawo najpiękniejsze.”

W numerze 9 z 11 maja „G.Z.” przytoczył ogłoszone w Moskwie przemówienie przybyłego z USA jednego z czołowych przedstawicieli Polonii Amerykańskiej prof. uniwersytetu w Michigan — Oskara Langego:

„Jako obywatel amerykański polskiego pochodzenia — mówił Lange — interesujący się losem narodu polskiego, przyjechałem do Związku Radzieckiego, aby zapoznać się z losem Polaków tutaj żyjących. Zawsze chcę się poznać z Armią Polską, która walczy z najeźdźcą niemieckim przy boku sojuszniczej Armii Czerwonej. Przyjechałem też po to, aby rozmawiać z ludźmi, którzy dopiero niedawno tutaj przybyli spod Niemca, dowiedzieć się co myślą i czuje ludność w Polsce, jakie są jej dążenia i aspiracje. Całe społeczeństwo amerykańskie, a zwłaszcza Polonia amerykańska, interesuje się żywo losem narodu polskiego i chce mu pomóc w wypędzeniu okupanta. Chcę mu też pomóc w odbudowie Polski jako państwa niepodległego i demokratycznego.

Droga do wyzwolenia Polski prowadzi poprzez zespolenie wysiłków walczącego pod okupacją narodu polskiego z wysiłkiem wojennym potężnych jego sojuszników: Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Czym silniejsze i lepsze to zespolenie, tym szybciej wróg zostanie pokonany i tym prędzej Polska odzyska wolność, tym prędzej nastaną w was w kraju normalne warunki pokojowego życia. Dlatego też zespolenie wysiłków jest najważniejszym zadaniem nas wszystkich...”

W zamieszczonym w numerze 13 „G.Z.” z 18 maja artykule pt. „Oficerowie przed Sądem Wojennym w Jerzolimie”, redaktor oddziału zagranicznego gazety „Chicago Daily News” Binder przytacza relację z procesu polskich oficerów i żołnierzy, oskarżonych o zdradę stanu:

„Obwinieni — pisze Binder — należą do

liczby 90 polskich oficerów i żołnierzy, aresztowanych na Bliiskim Wschodzie na 1-6 miesięcy przed procesem i trzymany w polskim obozie koncentracyjnym Latrun w Palestynie za sympatie dla ZSRR, dla patriotów polskich i Berlinga...”

Oskarżeni przyznali się do tego, że wysłali do Berlinga depesze, w której wyrazili chęć wstąpienia do Armii Polskiej na Froncie Wschodnim i sympatię dla polskich patriotów. Oświadczyli oni, że działalność ich nie była zdradziecka — lecz patriotyczna. Sąd uznał wszystkich oskarżonych winnymi.

Pułkownika Morawskiego skazano na dożywotnie więzienie, a wszystkich pozostałych — wśród nich majora Zawadzkiego, poruczników Imacha, Godlewskiego i Hodowskiego — na 20 lat więzienia. Jedyną kobietą — kapral Zaleska — została skazana na 15 lat pozbawienia wolności...”

Dnia 20 maja „G.Z.” zamieścił apel do narodu polskiego członka Rady Narodowej w Londynie m.in. Lucjana Żeligowskiego. Czytamy w nim m.in.:

„Rodacy:

Zaufanie, jakie okazawaliście mi jeszcze w czasie Wojny Światowej, gdy wraz z wami tworzył armię polską, a później walczył o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej, a także w 1920 roku, gdyśmy wypędzili Niemców z Wilna, Niemców, którzy wykorzystując matę, bałtycki naród zmuszali, dażyli do zaboru tych starodawnych ziem słowińskich; następnie, gdyśmy pracowali w wiejskich samorządach gminnych, w których staraliśmy się rozwiązać kwestię praw człowieka do ziemi, w końcu, gdyście wbrew woli ówczesnego rządu, stali wybrali mnie do Sejmu w Warszawie, w którym walczyliśmy o prawa narodu i sprawiedliwość powszechną; — wszystko to nakłada na mnie obowiązek, bym w tej historycznej chwili, wystąpił z wezwaniem do was...”

Dzisiaj, w przedmiotu swojej zagłady, Niemcy zawzięcie się nienawidzą wiodzą polskim i rosyjskim narodem...”

Pamiętajcie, że armia radziecka, razem z armiami wszystkich sprzymierzonych narodów, nie tylko walczy o wolność świata, ale prócz tego jest armią słowińską, to znaczy armią naszych braci.

Wyciągnijcie do nich rękę przyjaźni i wiarygodnej zgody.

Ten szczerzy uścisk bratniej dionij będzie największą groźbą dla Niemców i nadzieją na długotrwały, a może i na wieczysty pokój na ziemi.

A gdy wróg ostatecznie padnie, wtedy narody słowińskie znajdą wspólny język, aby uregulować między sobą wszystkie sporne kwestie, a więc i sprawę wspólnych granic...”

Dnia 7 czerwca rano odbyła się na dziedzińcu koszarowym w Sumach uroczystość powitania przybywających z kraju przedstawicieli Krajowej Rady Narodowej, Armii Ludowej i Związku Patriotów Polskich — Edwarda Osóbki-Morawskiego, majora K. Hardego i Andrzeja Witosa, brata Wincentego.

Po kilkudniowym pobycie w dniu 10 czerwca goście opuszczają Sumy, wystosowali do dowódcy organizującej się Armii Polskiej list, pisząc w nim m.in.:

„Opuszczając Was po paradnym pobycie, pragniemy wyrazić nasz podziw dla Waszego wysiłku w kierunku najszybszego formowania nowych jednostek wojskowych, dla Waszego zapału i chęci służenia Ojczyźnie.

Przekonaliśmy się, że najgorętszym pragnieniem każdego z Was jest jak najszybsze udzielenie na wroga — Niemca, aby przedrzeć go z naszego kraju i uwolnić umęczoną Ojczyznę. Życzymy Wam powodzenia w pracy, rychłego wejścia do Kraju, połączenia się z Armią Ludową i z całym narodem, życzymy Wam zwycięstwa w walce z odwiecznym wrogiem naszym — Niemcem...”

Dnia 9 czerwca na odprawie zespołu „G.Z.” redaktorzy zobowiązali się do napisania po jednym artykule na temat, wybrane z życzeniami Osóbki-Morawskiego, Hardego i A. Witosa, uczestniczących w konferencji oficerów polskich. Wybrałem temat: „Najważniejsza potrzeba chwili”.

Dnia 12 czerwca jako korespondent wojenny udałem się po raz pierwszy do jednostki saperów, stacjonującej w miejscowości Basy. Z odwiedzin tych napisałem reportaż:

„Nasz dzienny taser — pisałem m.in. — w stosunkowo krótkim czasie uprzętnął gruz i wytrwała pracę zmienił ruinę w koszarę wojskową. W poszczególnych budynkach zbudował kamery dezynfekcyjne, warsztaty — tartaczny i stolarski, oraz cały szereg innych pomieszczeń...”

„Wziewdamy fortyfikacje, wznieśliśmy przez saperów w rejonie miejsca ich postoju. Wśród drzew i krzaków ciągnę się uszczel i wzdłuż aż do rzeki, wszelkiego rodzaju punkty obserwacyjne, okopy, przeszkody itp. Oto kilka z nich:

Z oddali widać stóg siana, taki jaki spotyka się zwykle na łące po sianokosach. Gromadkę ludzi — obok niego stojących, bierzemy „za kosiarzy, co ten stóg złożyli. Nawet eakim z bliska ma się wrażenie, iż jest to najprawdziwszy w świecie stóg. Dopiero ledwo dostrzegalne otwory w nim i rozdzaj drewnianego 2-piętrowego rusztowania, znajdującego się wewnątrz, przekonywuje nas, iż mamy do czynienia z punktem obserwacyjnym.

Inny, nie mniej pomysłowy punkt obserwacyjny, mieścił się w wydrążonym pniu, ukrytym wśród drzew. Wyjście zeń prowadziło w zarośla. Na „przynętę” dla nieprzyjacielskiego lotnika, w oddaleniu od rzeczywistych celów, wystawiona są wszelkiego rodzaju makiety broni, jak czołg, armata itd. Czołg jest zbudowany z darni, a gruba kłoda imituje gróźnie wyciągniętą łufę działa...”

Szeregowiec Anna Jakubiszyn (obscenie Tatar-

kiewicz), przyszła znana publicystka i krytyk literacki w Lublinie, została skierowana do redakcji „G.Z.” jako korektorka. W zamieszczonym w gazecie 19 lipca liście do matki w kraju tak pisze:

„...Jestem niezadowolona do służby liniowej: — Czy mam powrócić znowu do szarego życia, w tej chwili, gdy rozgrywa się zdarzenia o historycznym znaczeniu i nie brać czynnego udziału w tym wielkim dziele?

— Ale wojsku potrzebne są nie tylko siły fizyczne. — Ojczyźnie mogą ofiarować, co otrzymaliśmy od Niej — moje zesłanie.

Chwila wahania: w domu pozostała matka, bolejąca nad nieobecnością jedynej córki, której powrót byłby ogromną, nieoczekiwaną radością.

A jednak, mamo, zrozum: Ty wiesz, że studia były dla mnie wszystkim, a od trzech lat ręka niemieckiego żołdaka zamknęła przede mną, podobnie jak przed tysiącami mych rówieśników, wrota uczelni, aresztowała i mordowała profesorów (we Lwowie — przyp. F. L.), wzbudziła Polakom, jako „narodowi parobków” dostępu do wyższego wykształcenia, zmuszając nas do ciężkiej, fizycznej pracy w fabrykach i na polach — dla „Reichu”.

Niel Chęć i zostanę w Armii Polskiej; w miarę sił przyczynię się do tego, by znowu nasze polskie gimnazja i uniwersytety przysięły w swe mury zastępy młodzieży, żądnej wiedzy, by orzeł rozpostarł skrzydła na frontach szkół i bibliotek, by żołnierz niepodległej i demokratycznej Polski stanął na straży naszej wolności i kultury”.

W przeddzień ogłoszenia manifestu PKWN nasza gazetka zamieszcza „List oficerów i żołnierzy Armii Krajowej” do Rady Wojennej i Armii W.P. w ZSRR:

„...Odrodzenie linii frontu i wroga propagand, mieliśmy skąpe wiadomości, a co gorsza — fałszywe, o istnieniu i zadaniach Armii Polskiej w ZSRR. Dzięki serdecznej opiece i przyjaźni, jakiej doznaliśmy w obozie ze strony naszych braci, zapoznaliśmy się dokładnie z celami i postulatami ZPP (Związku Patriotów Polskich — przyp. F. L.) i Armii Polskiej w ZSRR, która stawia sobie za zadanie zjednoczenie całego narodu w walce z Niemcami. W zrozumieniu, że jednostka narodowa wykonuje się w ogniu walki z najeźdźcą, z całą stanowczością potępiamy tych, którzy przeszkadzają zjednoczeniu się wszystkich sił narodu do walki o wolność i niepodległość naszej Ojczyzny. Z wielką radością i niepodległością naszej Ojczyzny Z wielką radością wstępujemy w szeregi i Armii Polskiej w ZSRR, jednoczymy swoje wysiłki z wysiłkami tych, którzy już na polach pod Lenino w bohaterkiej walce, złożyli dowody swojej wielkiej miłości do Ojczyzny i nienawiści do w.o.g.a...”

List podpisał 349 oficerów, podoficerów i żołnierzy Armii Krajowej.

29 lipca „G.Z.” w redakcyjnym artykule wstępnym wita w imieniu formującej się Armii Polskiej gen. broni Michała Rola-Zymierskiego: „...Na uwolnionych ziemiach, w pierwszym uwolnionym mieście polskim — Chelmie — powstał Komitet Wyzwolenia Narodowego, w skład którego wchodzi członkowie Krajowej Rady Narodowej i przedstawiciele emigracji w Związku Radzieckim. To pierwsze władze nowej, demokratycznej Polski. W Komitecie Wyzwolenia Narodowego kierownictwo Obroną Narodową obejmują generał Rola-Zymierski.

Dlatego generał Rola-Zymierski jest dla nas symbolem organizatora sił zbrojnych i obrony kraju.

Pod Jego dowództwem pójdziemy do ostatecznej walki z najeźdźcą i osiągniemy ostateczne zwycięstwo...”

Od 3 sierpnia ukazują się w „G.Z.” rysunki znanego karykaturzysty przedwojennych „Wróbi na dachu” i lwowskiego „Pociągla”, a w latach powojennych popularnej „Karuzeli” — Karola Baranieckiego. W numerze 74 rysunek karykaturzysty przedstawia groby przykryte hełmami hitlerowskimi, a pod nim napis: Nur für Deutscher W numerze 74 czterej rekruci „Dostali srogi rozkaz — myć się do połowy, i jeden z nich w kłopotcie: od nóg czy od głowy?”. Ostatni rysunek Baranieckiego, który się ukazał w „G.Z.” 8 sierpnia, przedstawia na tle zburzonego od bomb alianckich miasta niemieckiego Hitlera nawołującego: Deutschland strwachel — Zbudujcie Niemcy!

W dniu 8 sierpnia „G.Z.” przytacza przemówienie premiera Churchilla, wygłoszone w Izbie Gmin w sprawie Polski:

„...Rosyjskie armie stoją u bram Warszawy. Niosa one Polskę wyzwolenie. Gwarantują Polakom wolność, niezależność i suwerenność. Chęć, by Polska była przyjaźnie usposobiona wobec Rosji. Wydaje mi się to bardzo rozumne. Jest to zupełności zrozumiałe, że Rosjanie chcą mieć sojuszniczą Polskę, biorąc pod uwagę straty, zadane Rosji przez Niemcy, którzy przeszli przez Polskę, by napasać na Rosję...”

Dni 17 sierpnia zespół redakcji „G.Z.” wyjeżdża do wyzwolonego pod okupacji hitlerowskiej Lublina. W tym dniu ukazuje się ostatni numer gazety. W artykule p.t. „Wracamy do kraju” czytamy m.in.:

„...Wiemy do Kraju cenny skarb — jedną z naszych szeregów. Z godnością będziemy mogli spojrzeć w oczy tym, co żyli i walczyli pod Niemcem: wszystkie swoje wysiłki kładliśmy na to, aby się zjednoczyć w obliczu strasznego wroga. Niemiec siedzi jeszcze nad Wisłą! Krzyżak rozpiera się jeszcze na Wawelsu! Z tą myślą kładziemy się do snu, z tą myślą wstajemy. Nie ma u nas miejsca na swary i waśnie, nie kłóćmy się o to, kto czym ma być, a tylko walki i pracy pragniemy.

Wieleśmy przeżyli w ciągu lat rozłąki, ale Kraj przeżył po stokroć, po tysiąckroć więcej. I kiedy ucałujemy najświętsze dla nas ruiny i zpliszczona, na których nie oblesła jeszcze krew naszych bohaterów i męczenników, słubować będziemy walkę ofiarną do ostatecznego zwycięstwa, słubować będziemy pracę zapamiętając do zablizlenia wszystkich ran. Tak jak walczy nasza Polska, tak jak będzie pracował cały nasz naród. Inaczej niegodni byśmy byli szczęścia powrotu do Ojczyzny”.

Franciszek Lewandowski

ODGŁOSY 5



mam kłopoty, o Okręgowej Inspekcji Pracy i zalecili ekspertyzę stropów. Na wszystkich piętrach, ponad 200 odkrywek. No i prują ściany i sufity. A przecież to z półmetrowej grubości bali zrobione, znakomicie impregnowane, ani śladu kornika w całym gmachu. To i ekspertyzy wychodzą pomyślnie, bo inne być nie mogą, ale co poniszczą... Nawiasem mówiąc, jak parę lat temu u kolegi w Sopocie, też Grand się zwie, wymieniali fragmenty starych, drewnianych tuneli wentylacyjnych to — opowiadał mi — te resztki usiłowali spalić. I co powiesz — nawet drobne wióry nie chciały się zająć...

— No, konkurencja była wtedy duża. W 1913 roku przy samej Piotrkowskiej oprócz mnie działało jeszcze pięć innych ho-

telów, jak ja lub zespołów hotelowych z etykietką „Orbis”.

— Już masz dość historii, teraz garść szczegółów technicznych? Proszę bardzo. 230 pokoi, w tym 10 apartamentów, ale i 100 pokoi, niestety, bez łazienek. Gdybym miał wszystkie pokoje zajęte, to mógłbym przyjąć maksimum 310 osób. I prawie dokładnie tyle samo osób jest u mnie zatrudnionych, bo 309, no ale w tej liczbie mieści się i cała gastronomia, i ekipy malarzy, i stolarzy również.

— Obłożenie, jak się to w naszym stangu mawia, mam cały czas właściwie maksymalne, to znaczy w granicach 65 proc. możliwości. Nie, nie, powyżej to już byłaby rabunkowa gospodarka obiektu, a pamiętaj, że ja jestem od ładnych kilkunastu lat zabytkowycem i te nieszczęśliwe, wręcz permanentne remonty. No człowieku: pokoje przecież odnawiać trzeba, w gastronomii najlepsza wykładzina wytrzymuje dwa

— Te zmiany w hallu? Musieliśmy przeprowadzić, zażądała ich komisja kategorizacyjna przy tym Głównym Komitecie Turystyki. Niestety, oni ustalają jaki ma być standard w zależności od ilości posiadanych gwiazdek, a w praktyce — jakże meble i kiedy wymienić ręczniki nawet. I właśnie przebudowa hallu była w moim przypadku warunkiem utrzymania czterech gwiazdek, a nie muszę ci tłumaczyć, jakie to ma znaczenie. Zmiany są, jak widział, spore, a jeszcze przybędzie mała szatnia w barze kawowym i zaplecze z prawdziwego zdarzenia. Kłopot tylko z fryzjerami, dla których może wspomniane już adaptacje pozwolą wygospodarować duży lokal. Na razie egzystują — i to całkiem nieźle — na pierwszym piętrze.

Trochę w nieodpowiednim kierunku biegła ta rozmowa, a właściwie monolog. On mi opowiadał o przesuwaniu filarów, przeróbkach i wykładzinie, a ja liczyłem na bardziej smako-

## Firmy polonijne: legenda i rzeczywistość

TERESA JERZYKOWSKA

W części pierwszej zajmowałam się rozważaniami stosunku Przedsiębiorstwa Polonijno-Zagraniczne do opinia społeczna. Druga, nie mniej ważna strona zagadnienia stanowią relacje między PPZ a państwem. Oficjalne stanowisko władz nie uległo zmianie: przedsiębiorstwa te są nadal uważane za pożądany element gospodarki, a niedawno przecież — w lipcu ubiegłego roku — uchwalona ustawa sejmowa powinna stanowić swego rodzaju rekompensację niezmienności tego stanowiska przez dłuższy okres. Tymczasem „legislacyjny galop”, jaki panuje w Polsce w ostatnich latach, nie ominął również i tej sfery działalności gospodarczej.

W lipcu 1983 roku — a więc zaledwie 12 miesięcy po uchwaleniu ustawy regulującej działalność zagranicznych przedsiębiorstw drobnej wytwórczości — uchwalone zostały dwie kolejne ustawy: o podatku dochodowym i obrotowym. Mimo iż były to akty prawne o doniosłym znaczeniu, zmieniające gruntownie obowiązujący dotychczas system podatkowy, weszły w życie niemal natychmiast — bo zaledwie w trzy dni po uchwaleniu. Tym sposobem wiele kontraktów, umów, zamówień, będących w toku realizacji niemal z dnia na dzień straciło opłacalność. Pomijając jednak bezprecedensowy tryb wdrażania nowego aktu prawnego — ustawy te w sposób zasadniczy zmieniły dotychczasowe warunki działania PPZ, czyniąc przy tym znaczny wyłom w ustawie z 6 lipca 1982 r. Warunki obecne są po prostu gorsze, mniej opłacalne dla zagranicznych inwestorów, których losem ostatecznie martwić się nie musimy, jeżeli okaże się to korzystne dla nas. Czy tak właśnie będzie, czy też, chcąc zyskać więcej, stracimy wszystko, doprowadzając do likwidacji przedsiębiorstw czyli wraz z kapłem wylejemy przyszłościowe dziecko?

Jedną z podstawowych zmian, jakie wprowadzono w nowych przepisach, jest kolosalny wzrost podatku obrotowego. Skutki tego posunięcia w najbliższej przyszłości nie są specjalnie groźne dla PPZ, jednak w dalszych latach, przy założeniu, że w sektorze społecznym nastąpi odpowiedni wzrost produkcji, a więc i znacznej poprawie ulegnie sytuacja rynkowa, firmy zagraniczne staną się, w porównaniu z innymi sektorami gospodarki, znacznie mniej konkurencyjne. Tym samym spadnie ich dochodowość i dalsze kontynuowanie działalności w Polsce po prostu przestanie się opłacać. Wiąże się to z faktem, iż główne elementy kosztów tych przedsiębiorstw są relatywnie wysokie (ponieważ większość maszyn i urządzeń, a także sporo surowców i materiałów pochodzi z importu, z II obszaru płatniczego) i takie też pozostaną. Przedsiębiorstwa te nie korzystają i nie będą korzystały z różnego rodzaju udogodnień, przysługujących zakładom państwowym, jak subsydia, dotacje itp. Wysokie koszty plus związany z nimi, a więc również wysoki podatek obrotowy dadzą w efekcie wysoką cenę. Przy dostawie towarów na rynku i możliwościach wyboru klient zdecyduje się oczywiście na wyrob o identycznym bądź podobnym zastosowaniu, ale o niższej cenie — PPZ stracą odbiorców.

W tym przypadku wydaje się jednak, że niepokój o dalsze losy firm zagranicznych jest nieco przedwczesny — do stabilizacji rynkowej jeszcze bowiem u nas daleko, a nim ona nastąpi, przepisy prawne, w tym także dotyczące podatku obrotowego, mogą zmienić się jeszcze wielokrotnie.

Jest jednak i druga strona tego zagadnienia, mianowicie niekorzystne skutki zwiększenia podatku obrotowego, jakie odczuja przede wszystkim klienci, a w sposób pośredni także firmy. Podatek obrotowy jest, jak wiadomo, elementem cenotwórczym, a więc jego wzrost uderzy bezpośrednio w nas, klientów. Wyroby firm zagranicznych będą po prostu droższe. Przy czym jego stawki ustawiono w ten sposób, że by korzyść z nich odnieśli przede wszystkim nabywcy towarów luksusowych, czyli stosunkowo wąska grupa klientów. Dla przykładu — w przypadku futer (artykułu, którego z pewnością nie można zaliczyć do dóbr pierwszej potrzeby) wynosi on niespełna 10 proc., natomiast w przypadku rajstop i innych wyrobów półcodziennych aż 60 proc. Po uwzględnieniu kosztów, poniesionych przez producenta, jego zysku oraz podatku obrotowego cena rajstop powinna kształtować się w granicach... 850 zł. Trudno liczyć na to, aby znalazł się nabywca tak drogiego rajstop, nie więc dziwnego, że firmy zagraniczne nie chcą podejmować takiej, bardzo przecież potrzebnej, produkcji. Podobnym przykładem są akumulatory, przeznaczone dla rolnictwa, także do niektórych typów samochodów osobowych. Po doliczeniu nowej stawki podatku obrotowego cena akumulatora musiałaby „skoczyć” z około 8 tys. zł na ponad 12 tys. zł. W tym przypadku nabywcy jeszcze się znajdują, ale z pewnością powiększą grupę ludzi narzekających na zbyt wysokie ceny produktów PPZ i przekonanych, iż firmy te osiągają zbyt wysokie, nieuzasadnione zyski. Faktycznie zaś część przychodów ze sprzedaży — i to w wielu przypadkach bardzo znaczną — przejmować będzie budżet państwa. Czy faktycznie uzyskane w ten sposób wpływy budżetowe będą — ze społecznego punktu widzenia — korzystniejsze, niż zapewnienie obrotów sklepów niektórymi, brakującymi obecnie towarami, które mogłyby produkować po względnie przystępnych cenach PPZ — odpowiedź na to pytanie wymagałaby odrębnej analizy. Podnato — czy tak wysokie stawki podatkowe nie przyczynią się do zmiany asortymentu przez producentów, ukierunkowywania go nie pod potrzeby rynku, ale pod własne korzyści? Tu odpowiedzieć łatwiej. Na pewno wiele przedsiębiorstw podejmie takie decyzje, czemu dziwić się nie należy.

Drugim czynnikiem, w sposób istotny i w szybszym czasie, niż podatek obrotowy wpływającym na dalszą działalność PPZ jest zwyczaj podatku dochodowego. Granica opodatkowania progresywnego wynosi w tym przypadku 85 proc. i jest znacznie wyższa niż w większości krajów macierzystych przedsiębiorców. Co prawda istnieją państwa, gdzie opodatkowanie jest jeszcze wyższe i sięga do 90 proc. zysków, istnieje jednak „drobna” różnica: otóż 10 proc. pozostające do dyspozycji przedsiębiorcy na Zachodzie stanowi jego czysty zysk, kwotę, którą może dysponować w sposób zupełnie dowolny. Natomiast 15 proc., które pozostaje mu u nas musi być rozdzielone między potrzeby własne a inwestycje. Jeżeli nawet przyjmujemy, że wzrost podatków nie spowoduje osiągnięcia przez firmy zagraniczne zysków niższych od przedsiębiorstw uspołecznionych, czy też mniejszych niż uzyskiwałyby w krajach macierzystych (co w ciągu kilku najbliższych lat będzie z pewnością prawdą), to jednak — zgodnie z opiniami wielu teoretyków problemu — podstawą działalności i rozwoju firm zagranicznych nie tylko u nas, lecz na całym świecie, jest właśnie możliwość osiągnięcia przez nie większego niż w kraju macierzystym zysku i jeśli nie większej, to przynajmniej takiej samej konkurencyjności w porównaniu z przedsiębiorstwami kraju goszczącego. I właśnie takie korzyści, obowiązujące dotychczas warunki spowodowały w ostatnim okresie szybki wzrost liczby przedsiębiorstw zagranicznych zakładanych w Polsce. Po opublikowaniu nowych zasad zapadł do inwestowania w naszym kraju osłabił znacznie.

Kolejną innowacją, znacznie pogarszającą warunki działania PPZ w Polsce jest przepis, który zobowiązuje przedsiębiorcę do odprowadzenia polskiemu bankowi dewizowemu 50 proc. dewiz, pochodzących z wpływów eksportowych, oczywiście po oficjalnie obowiązujących cenach (96 zł za 1 dolar USA). Cel tego przepisu jest oczywisty — zwiększenie naszego, dość ubożego, stanu posiadania środków dewizowych — i byłby również słuszny, gdyby przepis dotyczył sumy zysku z kontraktu eksportowego. Tymczasem odnosi się on do wartości kontraktu. Dla przykładu: jeśli firma wysyła za granicę spółnie za 100 tys. dolarów — aby je wyprodukować musi kupić, także za granicą, materiał za 65 tys. dolarów. Tak przeciętnie kształtują się proporcje kosztów materiałowych w branży konfekcyjnej. Nie licząc dewizowych kosztów transakcyjnych oraz kosztów związanym z realizacją zamówienia, ponoszonych w złotych — przedsiębiorca zyskuje na tym kontrakcie 35 tys. dolarów. Gdyby połowę z tego — a więc 17,5 tys. dolarów — musiał sprzedać państwu, wszystkie byłoby w porządku. Tymczasem musi sprzedać połowę wartości kontraktu, czyli 50 tys. dolarów. A więc 15 tys. trzeba do interesu dolożyć z własnej kieszeni. Przykład taki ma miejsce w odniesieniu do kontraktów będących w trakcie realizacji w chwili ukazania się przepisu. Jednak żaden rozsądny przedsiębiorca więcej niż raz nie da się na taki „numer” złapać. Problem dotyczy zwłaszcza branży konfekcyjnej i dziewiarskiej, gdzie koszty materiałowe są bardzo wysokie. Firmy pozyskiwały więc zawarte na rok bieżący kontrakty eksportowe. Niektóre zapowiadają na koniec roku zgłoszenie likwidacji. Tym sposobem — chcąc zdobyć jak największą ilość dolarów — nie zyskamy ich wcale. Inne przedsiębiorstwa zaniechały lub w poważnym stopniu ograniczyły import (środki na ten cel pochodziły właśnie z eksportu), zmieniając asortyment wyrobów na artykuły produkowane w oparciu o krajowe surowce. Odczuje to bezpośrednio nie tylko rynek, ale także przedsiębiorstwa państwowe, które nawiązywały współpracę kooperacyjną z przedsiębiorstwami zagranicznymi. Te ostatnie, w zamian za sprzedaż niezbędnych surowców bądź też części mocy produkcyjnych dostarczały pozbawionym dewiz jednostkom gospodarki uspołecznionej m.in. części do maszyn, niektóre komponenty itp. Współpraca ta rozwijała się z korzyścią dla obu stron, obecnie została zahamowana. Zapowiada się więc sytuacja, w której chcąc zyskać zbyt wiele — możemy również dużo stracić.

Czy większość PPZ zdecyduje się na działalność w gorszych niż dotychczas warunkach, czy też przeniosą swoje kapitały np. do Hongkongu — pokażą najbliższe miesiące. W równie krótkim czasie powinna zostać sformułowana odpowiedź na zasadnicze pytanie: czy faktycznie, zgodnie z deklaracjami, PPZ mają stać się trwałym — a więc istniejącym co najmniej przez 20 lat — elementem gospodarki, należy zatem stworzyć im warunki zachęcające do rozwijania tej działalności, czy też przyniosą one korzyści mniejsze od zakładanych (a może nawet szkody w dziedzinie pozagospodarczej?) i bez wielkiego żalu przedsiębiorców można przeprosić i... wyprosić. Ostatecznie, nie podlegające dalszej dyskusji, rozstrzygnięcie tej kwestii jest sprawą tym ważniejszą, że podejmuje się rozważania nad możliwością zaangażowania w Polsce nie tylko drobnych, lecz także wielkiego kapitału zagranicznego. W przypadku pozytywnej decyzji — jej efekt będzie w ogromnej mierze zależał od doświadczeń już działających drobnych przedsiębiorców.

Od redakcji: Tekst o legendach i rzeczywistości firm polonijnych zawiera, z czego zdajemy sobie sprawę, sporo też i opinii co najmniej dyskusyjnych. Wywołaj on zresztą kontrowersje wśród czytających go członków naszego zespołu. Publikujemy go w nadziei, że czytelnicy zechcą własnymi opiniami uzupełnić nasze wrażenia i wspólną wiedzę na ten temat.

## O windach, kornikach i gwiazdkach przypowieść

teli: „Polski” — pod trzecim, „Centralny” — pod ósmym, „Imperial” — pod siedemnastym, zaraz obok, ale numeru już nie wspomnę — „Metro-pol”, no i słynna „Victoria” pod sześćdziesiątym siódmym. Ale jednak ja prym wiodłem, u mnie stawali najlepsi, najbardziej znani goście. Ale cóż: doskonałe warunki, uprzejma obsługa, świetna kuchnia — przebiłem innych już na starcie. Wspomina mnie, możesz sprawdzić, bardzo sympatycznie pani Anna Rynkowska w swej książce „Ulica Piotrkowska”.

„Grand”, jak nazywałem w myślach mojego niesamowitego rozmówcę, zamiłki. Jakby rozmarzyły go wspomnienia ziołowych lat, bujnej młodości. Pociągnął mi kawę. Nim jednak wróciła mi świadomość, że dobiegło z góry znaczące chrząknięcie.

— Dobra, nie ma się co rozkładać nad latami stawy i chwały. Bo później nie było już tak słodko. Pierwsza wojna, różne przeróbki wewnątrz, potem druga światowa, w czasie której przeżyłem ciężki pożar. Nawiasem mówiąc, Niemcy dobudowali mi wówczas pięte piętro. Ale ostatnie istotne modernizacje miały miejsce jeszcze w roku pięćdziesiątym: dołożono mi wtedy tę część od ulicy Hotelowej. Oszczędnie, sknery, działali, prawie wyłącznie pokoiki bez łazienek mi dobudowano. No i co tu ukrywać, nie byłem już jak w początkach wieku jednym z najnowocześniejszych hoteli w Europie.

Jakbym widział rozżalonego starszego pana — takim tonem wypowiedział te ostatnie zdania. Ale humory miał widać ziemne, bo po sekundzie niemal parsknął śmiechem.

— Czy ty wiesz chłopcze, że jeszcze parę lat temu ja wcale nie byłem „państwowym”. Sytuacja była dość zagmatwana. Faktycznie należałem bowiem do spółki akcyjnej „Grand-Hotel”, której zarząd egzystował w Stanach Zjednoczonych. W praktyce zaś podlegałem do września bodaj pięćdziesiątego roku zarządowi hoteli miejskich. Wtedy to, kolejny etap, przeleżał mnie Państwowe Biuro Podróży „Orbis”. Razem z kilkoma kolegami: warszawskim „Bristol”, poznańskim „Bazarem”, wrocławskim „Monopol” i „Pod Orłem” w Bydgoszczy. Tak czy owak, dopiero cztery lata temu, postanowieniem sądu zresztą, Skarb Państwa nabył przez zasiedzenie, no taka jest nomenklatura, własność nieruchomości przy ulicy Piotrkowskiej 72. Żeby było ciekawiej — z datą wstępną, od stycznia pięćdziesiątego szóstego. Nie, nie, to ci się pomylilo — wszystkie inne hotele w mieście należą do Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź”. Natomiast w całym kraju jest dokładnie 26 takich

lata, a w ciągach komunikacyjnych — rok. Do tego dochodzą te idiotyczne ekspertyzy zdrowych stropów, a jeszcze czekają mnie duże adaptacje po teatrze...

O tym już gdzieś słyszałem. Po wielu latach przymiarek Teatr „7.15” przeniósł się do „Lutni”, a w „Grandzie” przestało straszyć widmo pożaru. Zagrożenie było, delikatnie mówiąc, ogromne: fatalne instalacje elektryczne w teatrze i brak wyjść ewakuacyjnych, bo nie można za takowe uznać metalowych schodów wiodących na podwórze, nie do pokonania zimą i wyjścia z balkonu na... drugie piętro hotelu. No tak, pomieszczenia zostały i — co dalej?

— Widział, nie jest to taka prosta sprawa. Zlecił mi, to znaczy dyrekcja, rozwiązanie koncepcji całego skrzydła, od Piotrkowskiej do Hotelowej specjalistom z Miejskiego Biura Projektów. Przez wiele miesięcy palcem w ogóle nie ruszyli, choć — przynajmniej — funkcjonalne, bezpieczne i efektywne równocześnie rozplanowanie tej strony obiektu to trudny orzech do zgryzienia. I nie wiem, jak to będzie dalej, bo ci projektanci złapał teraz Szpital Matki-Polki, a to przecież priorytet, no i zawsze łatwiej coś nowego tworzyć niż stare przerabiać.

Zgryźliwy staruszek jakby się zasał, że złościł, bo przez chwilę trwała cisza. Ale znów odezwał się, trochę spokojniejszym tonem.

— Chcą tam prawdopodobnie zrobić dwie sale wielofunkcyjne, z przeznaczeniem na wszelkiej maści zjazdy, konferencje i inne sympozja z możliwością wykorzystania w charakterze sal gastronomicznych. O, mam pomysły, zaznacz w tych swoich notatkach: jeśli łodzianie mają lepszy pomysł dotyczący wykorzystania sal po teatrze — niech piszą do dyrekcji, może zasugerują całkiem inne rozwiązanie. A tak na marginesie, to sam kiedyś podsuwałem dyrektorowi pomysł z urządzeniem kregielni w moich podziemiach. Ale niestety, jest to niemożliwe. Za grube i za gęsto rozstawione mam na dole mury.

— O, nie, pod moim specjalnym nadzorem jest sala „Malinowa”; wymogiem — nawet bez specjalnych oporów — na dyrekcji, by wróciła do swej starej kolorystyki. No i w zeszłym roku się udało. Sporo ludzi myśli, że jej nazwa wzięła się od koloru ścian. Ja ci mogę to powiedzieć; ona nigdy nie była malinowa, tej barwy miała tylko kotary i meble. Ale z tymi zabytkami to trochę przesadzają, wyobraź sobie, że zanim zaczęto mi odnawiać zewnętrzną elewację, to o jej odcięciu parę miesięcy trwał spór między projektodawcą, wykonawcą i konserwatorem zabytków.

wite kaski z życia „Grandu”, jakiegoś opowieści o nietypowych gościach, dawnych balach i przyjęciach. Tak mi to tylko przemknęło przez głowę, ale on już ironicznie mnie skontrował.

— Dżentelmeni takich spraw nie poruszają, chyba nie sądzisz, że ci opowiem, kto tu z kim spał i na którym boku. A te dziewczęta, czy jak wolisz — panie, są nieodłącznym akcentem każdego hotelu na świecie. Są zresztą zwykle mniej uciążliwe niż niektórzy obokrajowcy, zwłaszcza ci o ciemniejszej karnacji. A ceny? Pytanie co najmniej niestosowne. Panią panienkę zapytała się sama, bo ja chyba nie jestem aż tak drogi, w każdym razie może u mnie nocować każdy Polonus w delegacji. Pod warunkiem, że będę miał wolne miejsce. Bo mam stałych, oddanych gości, wielu zagranicznych, którzy wolą stary, dobry „Grand”, od tych nowoczesnych, zimnych, bez historii...

I zamiłki. Słowo daje, chyba go uraziłem. Kręciłem się niespokojnie, pytałem jeszcze cicho o różne sprawy — nie odczekał się. Parę osób zaczęło mi się dziwnie przyglądać, włącznie z kelnerką, gdy „kasowalca” moja duża czarna. Wychoząc, zatrzymałem się jeszcze na chwilę w hallu, ale „Grand” milczał.

Dyrektor Ryszard Mrówczyński był natomiast szczerze zdziwiony, że wiem o jego hotelu aż tyle szczegółów, włącznie z listą najchętniej kradzionych elementów wyposażenia pokoi (jak giną ręczniki, to wiadomo, że jakiś gorzej sytuowany klub sportowy w „Grandzie” stacjonował i wzięli je na trening...). Popielniczek się nie liczy, bo na całym świecie, w hotelach „Hiltona” i „Sheratona” też zabierane są na pamiątkę. Taki zwyczaj.

Długo rozmawialiśmy z dyrektorem o pruciu stropów, kolorach „Malinowej” i starych szybach wiodących, które zniknęły. Spytałem wreszcie czy stuletni hotel nie ma swojego dobrego ducha, jakiejś „białej damy”?

— Nie, w „Grandzie” nie ani nikt nie straszy — mój rozmówca przyglądał mi się szczerze rozbawiony. — Chociaż wie pan, niektórzy starzy pracownicy twierdzili, że czasem, jakby ktoś z nimi rozmawiał w hotelowych zakamarkach. Ale kto by tam dał wiarę takim opowieściom...

DARIUSZ  
DOROŻYŃSKI



— Mówi się o panu że jest pan nie tylko dyrektorem szpitala w Łodzi, ale i w Libii. Czy to prawda?

— To nieprawda. Jestem tylko generalnym wykonawcą kontraktu, jaki został podpisany przez odpowiednie władze ze strony libijskiej i „Pol-service” ze strony polskiej.

— Czego ten kontrakt dotyczy?

— Początkowo dotyczył on wysyłania do szpitala w Zawiji w Libii grupy medycznej w składzie 360 osób. Mieli to być lekarze różnych specjalności, pielęgniarki oraz obsługa techniczna. Miało od razu pojechać do Libii 300 osób, ale okazało się że nie ma dla nich mieszkań. Więc pojechali w końcu 80 osób, bo dla nich były mieszkania. Tylko, że te 80 osób musiało na początku pracować za całą brakującą resztę. W końcu ustaliliśmy, że grupa polskich specjalistów będzie liczyła 160 osób.

— Czy tylko Łódź patronuje takiemu kontraktowi?

— Nie. Polska zawarła 7 albo 8 takich kontraktów. Najstarszy, z najbogatszym doświadczeniem, ma Białystok. Poza tym — jeśli dobrze pamiętam — to również Warszawa, Lublin, Wrocław, Poznań i chyba Gdańsk.

— Czy starał się pan aby taki kontrakt zawrzeć?

— Nie. To załatwia ministerstwo zdrowia. Przyjęto zasadę, że generalnym wykonawcą kontraktu musi być wojewódzki szpital zespołowy. „Pol-service” podpisuje z nami kontrakt i potem już my musimy się martwić o jego realizację. W Libii dyrektorem szpitala jest Libijczyk, ale my dajemy dyrektora polskiego zespołu medycznego, a przede wszystkim musimy znaleźć ludzi, którzy dobrze znają język angielski bo taki tam jest przede wszystkim potrzebny, są specjalistami określonej w kontrakcie dziedziny i mają predyspozycje fachowe i niefachowe, aby tam lechać.

— Jak odbywa się rekrutacja?

— Składa się ona z dwu etapów. Powołujemy polską komisję, w skład której wchodzi dyrektor szpitala, szefowa pielęgniarek, przedstawiciele organizacji polityczno-społecznych. Przeglądamy papiery złożone przez kandydatów do wyjazdu. Robimy weryfikację, ale jest to weryfikacja papierowa. Dopiero w drugim etapie, kiedy przyjeżdżają tu Libijczycy, rozmawia się z kandydatami. Robią to już oni. Ich decyzje są ostateczne.

— Jakimi kierują się kryteriami?

— Trudno powiedzieć. Na początku odrzucili dużo kandydatów. Teraz znacznie mniej. Wydaje się, że preferują przede wszystkim ludzi, którzy pracowali w szpitalu. Poza tym zwracają uwagę na wiek, no i znajomość języka angielskiego. Oczywiście zdarza się, że jadą do Libii ludzie, którzy ten język znają słabo albo oblicują, że się nauczą. Mają ogromne trudności na początku. A był nawet i taki lekarz, który uznał, że to Libijczycy powinni nauczyć się języka polskiego, skoro on już do nich przyjechał. No i musiał wrócić do Polski.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że ludzie w Łodzi mieli poważne pretensje do służby zdrowia, że zgodzili się ogolonić miasto z lekarzy i pielęgniarek?

— Wiem o tym. Wszyscy zresztą mają do mnie pretensje. Ale często bierze się to z nieznajomości rzeczy. Otóż przede wszystkim rekrutowaliśmy lekarzy i pielęgniarkę nie tylko z Łodzi, ale również z Bydgoszczy, Konina, Kutna, Piotrkowa Trybunalskiego, Sieradza, Częstochowy, a nawet z Białegostoku, choć oni — jak mówiłem — mają własny kontrakt. Poza tym jest to kontrakt tylko na dwa lata. I wieszcie — jest to tylko 160 osób, a obecnie nawet 140. Właśnie jesteśmy po pierwszym kontrakcie dwuletnim, podpisaliśmy drugi na następne dwa lata i trwa wymiana personelu polskiego w szpitalu w Zawiji.

— Wszyscy wracają po dwu latach do Polski?

— Nie. W niektórych przypadkach zostają na następny rok. Decydują o tym albo Libijczycy, albo my im to proponujemy sami, jeśli — oczywiście — są to dobrzy specjaliści i dobrze się tam czują i zachowują. Bo muszę pani powiedzieć, że w Libii jest bar-

dzo ciężki klimat, choć to nad Morzem Śródziemnym, i nie wszyscy dobrze czują się w tym klimacie.

— Czy jest pan zadowolony ze sposobu rekrutacji?

— Nie. Byłem na początku tak naiwny, że sądziłem, że taki wyjazd powinien być formą uznania dla lekarza czy pielęgniarki, wyróżnieniem dla niego czy dla niej za dobrą pracę. Sądziłem, że będę się zwracał do szpitali czy wydziałów zdrowia, żeby oni typowali kandydatów. Ale jest zupełnie inaczej. Na ogół zgłasza się każdy, kto chce. Wielu nie bardzo wie, jak tam jest i jak tam będzie, co ich tam czeka, i mają do mnie pretensje, kiedy wyjazd się opóźnia.

— A co ich w Libii czeka?

— Mogą nieźle zarobić. Oczywiście, w przeliczeniu na pieniądze w Polsce. Ale praca i warunki życia nie są tam łatwe. Teraz jest już znacznie lepiej, ale ci, którzy pojechali pierwsi mieli sporo kłopotów. Poza tym nie mieliśmy żadnego doświadczenia. Ani dyrektor polskiego zespołu medycznego, ani przedstawiciel „Pol-service” nie widzieli nigdy Libii. To nie ułatwiało pracy.

Powiedziałem, że praca jest tam ciężka. I ze względu na klimat, i ze względu na odmienne warunki obyczajowe, i ze względu na inne wymagania. Na przykład pielęgniarki nie wolno przez 8 godzin pracy usiąść, napić się herbaty. Jeśli Libijczycy coś takiego stwierdzą, odbierają dniówkę albo karzą inaczej. Są bardzo wymagający.

Jest to w ogóle kraj bardzo trudny dla kobiet. Nie ma mowy o tym, aby kobieta sama weszła do restauracji, poszła na plażę, żeby sama poruszała się po ulicy. Libijczycy nie interesuje, że są to kobiety z innych strlei obyczajowych i kulturowych, oni kierują się prawami i obyczajami ich obowiązującymi i wszyscy, którzy są u nich, muszą się do tego zastosować. Muszę powiedzieć, że nasze kobiety przystosowały się do tych trudnych warunków, choć zdarzały się nieporozumienia i konflikty.

— Czy tylko polscy specjaliści i polskie pielęgniarki pracują w szpitalu w Zawiji?

— Nie, pracują tam też Hindusi, Egipcjanie, Niemcy z NRD.

— Czy z wszystkimi są podpisane takie same kontrakty?

— Niestety, nie. I to często jest przyczyną różnych zadrżnień. Polacy, jak wiadomo, są znanymi naprawiaczami świata. Jak się ludzie poznają, to rozmawiają o różnych sprawach, a więc i o kontraktach. I wtedy okazuje się, że każdy ma inny. Więc niektórzy nasi naprawiacze świata wszystko zaraz chcieli zmienić, nawet obyczaj w Libii. A to prowadzi jedynie do niepotrzebnych zadrżnień.

— Czy te różnice w kontraktach dotyczą wysokości zarobków?

— Nie tylko, ale również. Są na przykład kontrakty przemysłowe, kiedy lekarz zarabia 5000 dolarów miesięcznie. A nasi — w zależności od specjalności — od 600 do 1000 dolarów. Różnica kolosalna.

— Z czego to się bierze?

— My jesteśmy słabym, źle zorganizowanym partnerem, ale przez to wygodnym dla strony libijskiej. Inni, szczególnie partnerzy z Europy Za-



Szpital w Zawiji

Foto: Paweł Dyktyński

## Wszyscy mają do mnie tylko pretensje

chodniej, są konsekwentni i w razie jakichś zadrżnień gotowi są w ciągu dnia wynieść się z Libii. My do tego nie jesteśmy zdolni. Nasi ludzie chcą zarobić, więc godzą się na różne niewygody, trudności, upokorzenia, aby po powrocie do kraju móc wymienić sobie walutę na zlotówki i lepiej się urządzić w życiu. Trudno im się zresztą dziwić.

— Ale opowiem pani o podpisaniu nowego kontraktu na dalsze dwa lata. Otóż, w poprzednim kontrakcie, strona libijska gwarantowała wyjeżdżającym Polakom opłatę za 40 kg bagażu i 20 kg nadwagi. Teraz nie chcą się godzić na zapłacenie nadwagi. Na to, z kolei ja nie mogłem się zgo-

dzić. Ludzie jadą w obce strony na dwa lata, muszą zabrać ze sobą wiele różnych rzeczy. Mieszkanie otrzymują na przykład umiłowane, ale garnki muszą przywieźć z sobą, albo tam kupić. Każdy woli zabrać je z Polski niż wydawać tam pieniądze, które przecież skrzętnie oszczędza. Tak więc odmówiłem podpisania kontraktu. Do tej pory z naszej strony nie było takiego przypadku. Libijczycy pomyśleli, pokalkulowali, co im się bardziej opłaca: szukać nowego partnera czy zapłacić nadwagę bagażu polskiej stronie. I podpisali kontrakt na poprzednich warunkach.

— Nie są to chyba jedyne trudności i kłopoty. Powiedział

pan przecież, że wszyscy mają do pana pretensje.

— Kłopotów jest bardzo dużo i bardzo różnych. Człowiek nie jest nawet w stanie wyobrazić sobie, z jakimi może się spotkać problemami.

W Libii obowiązuje 42 godzinny system pracy. To znaczy, że lekarz ma tylko 42 godziny pracy w tygodniu razem z dyżurami. U nas, 42 godziny w tygodniu to czas podstawowej pracy się znacznie więcej. Podobnie pielęgniarki. Wynikają z tego nieoczekiwane kłopoty.

Przepisy mówią, że jeśli pracuje się 12 godzin, to pracodawca obowiązany jest dać gorący posiłek. Pielęgniarkom, na przykład, opłaca się pracować po 12 godzin, bo wtedy mają więcej wolnego czasu. Ale pracodawca libijski odmawia im gorącego posiłku, bowiem to nie on wymaga pracy po 12 godzin, a robią to same pielęgniarki dla swej wygody. No, i nie ma siły, żeby to jakoś załatwić.

Pracując przez 42 godziny w tygodniu Polacy mają dużo wolnego czasu. I są z tym kłopoty. Nie mają co robić, więc czytają bardzo uważnie przepisy i wiedzą, co ich obowiązuje, a co powinni mieć. Tylko, że to, co powinni mieć, nie jest takie proste do załatwienia. Nie posłaliśmy w zasadzie dobrze opracowanych przepisów dla kontraktów zagranicznych. No, taki choćby przykład.

Zawija leży około 40 km od Trypolisu. W Trypolisie jest szkoła polska dla dzieci pracowników ambasady. W Zawiji jest kilka polskich rodzin z dziećmi. Libijczycy niechętnie zgadzają się na wyjazd rodzin, ale kilka ich tam jest. Dzieci powinny się uczyć w polskiej szkole, ale nie ma jak ich zawieźć do Trypolisu. Można czas odjazdu do szkoły zgrać z wyjazdem do zakupu, ale jak je przywieźć?

Mało tego. Polacy w Zawiji muszą... płacić za naukę, a w Polsce mamy naukę bezpłatną. Wyobraź pani sobie te protesty? I ci, którzy protestują mają rację. Tylko, że szkoła w Trypolisie jest pod opieką szkoły w Warszawie, a ta znowu otrzymała budżet przewidziany dla dzieci pracowników ambasady. Dodatkowi uczniowie wymagają dodatkowych wydatków. Kto ma je pokrywać? Mam w szafie pękata teczkę korespondencji w tej sprawie. Póki co, płacą Polacy w Zawiji. Ale dla nich nie jest to obojętne. Jak sobie przeliczą swoje libijskie zarobki na pieniądze i ceny w Polsce, to roczne nauka ich dziecka kosztuje potęgę małego fiata, a jeśli mają dwoje dzieci — to jest to koszt całego małego fiata.

Polski personel w Zawiji mieszka w różnych częściach miasta i są to niekiedy spore odległości. Ludzi trzeba dowozić. Jest tam samochód, ale to mało. Mam drugą teczkę z korespondencją w sprawie samochodu, ale w Zawiji nie ma drugiego samochodu. A ludzi trzeba wozić, choćby na plażę, co dla nas tu w Łodzi może się wydawać śmieszne, ale w tamtym klimacie nie jest śmieszne, bo klimat tam suchy i ludzie muszą korzystać z kąpielni.

Jak już powiedziałem, ludzie mają tam sporo wolnego czasu i trzeba im jakoś ten czas czymś wypełnić. Chcieliby

się razem spotkać, a nie ma świetlicy. Miała być, tylko strona libijska tłumaczy się brakiem mieszkań i nie może tego warunku spełnić. Ale ekipa medyczna z NRD miała świetlicę, co było przysłowiową kością niezgody. Zeby więc nie było sporu i argumentu, że inni to mają, a my nie, teraz ekipa z NRD również nie ma świetlicy, bo lokal ten okazał się być potrzebny na jakiś tam skład.

Starczy chyba tego, co?

— Czy teraz nadal uważa pan, że wyjazd na kontrakt do Libii jest — a właściwie powinien być — nagrodą?

— Zdziwi się pani, ale nadal tak uważam.

— Czy mógłby pan to uzasadnić?

— Jest to, mimo wielu kłopotów, niedogodności i trudu, wyjazd, który z jednej strony daje lekarzowi czy pielęgniarkę nowe doświadczenia, których tu nie zdobędzie, możliwość poznania języka obcego — w tym wypadku angielskiego, ale niektórzy szybko też uczą się arabskiego, jest to wreszcie możliwość poszerzenia swoich horyzontów intelektualnych. Z drugiej strony — jest to możliwość urządzenia się po powrocie, co dla człowieka ambitnego stwarza zupełnie inne warunki poszerzenia później jego wiedzy. Lekarze — jak wiadomo — nie narzekają na nadmiar czasu w kraju, bo biegają za zarobkiem. A lepsze warunki materialne stwarzają możliwość zajęcia się doskonalaniem swojej wiedzy, a nie uganianiem się za pieniędzmi. Korzyść z tego może mieć tylko medycyna.

— A jakie korzyści z tego, że jesteście, jako szpital, generalnym wykonawcą kontraktu, ma szpital Kopernika?

— Znowu pewnie zdziwi się pani, ale żadnych.

— Poważnie?

— Najzupełniej. Choćby w założeniach jest inaczej. Założenia mówią o tym, że 30 procent zysku z kontraktu powinno przypadać szpitalowi. Ale my nie widzieliśmy z tego ani grosza. A pieniądze bardzo by się nam przydały. Już nie mówię, że to musi być kościecnie to 30 procent, niechby było 15. Psują się nam na przykład rentgeny, psują się inne urządzenia. Gdybyśmy mieli — tak jak inne przedsiębiorstwa w Polsce — swój odpis dewizowy, to moglibyśmy kupić brakujące nam części do aparatury i nikogo nie prosilibyśmy o taszkę.

— A co ma z takich koniarków ministerstwo?

— Nie wiem. Trudno mi powiedzieć. Podejrzewam, że też chyba nie. Znamy naszą sytuację finansową, nasze zadłużenie, więc rozumiem, że te pieniądze są potrzebne na inne — z punktu widzenia państwa — ważniejsze cele. Ale naszemu szpitalowi przydałoby się chociaż tysiąc dolarów.

— Czy ma pan jakieś uwagi i wnioski, które wynikają z pana doświadczeń jako generalnego wykonawcy libijskiego kontraktu.

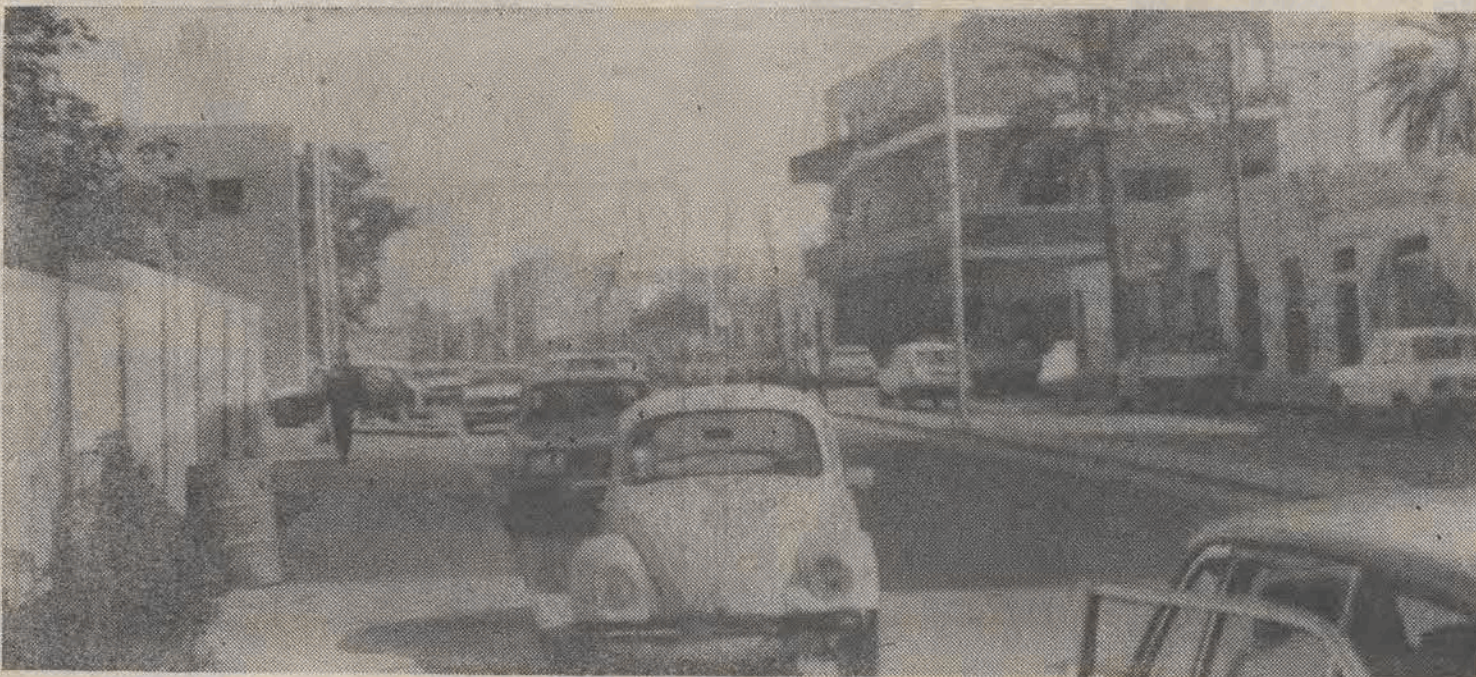
— Tak. Po pierwsze, trzeba byłoby opracować odrębne przepisy dla kontraktów medycznych, bo teraz stosuje się na ogół te przepisy, które obowiązują w kontraktach przemysłowych. Stosuje się je przez analogię, a to rodzi masę różnych utrudnień i nieporozumień.

Po drugie — trzeba byłoby zmienić zasady rekrutacji, o czym już obszernie mówiłem. Zeby to była premia dla dobrze pracujących, a nie rekrutacja przypadkowa.

I po trzecie — w jakiś rozsądny sposób uregulować korzyści jakie szpital powinien mieć z racji patronatu nad kontraktem, a których nie ma. Chodzi mi głównie o to, żeby ludzie w szpitalu widzieli, że to się nam jakos opłaca, że coś przez to zyskujemy. Niechby to były na początek drobne korzyści, ale, żeby były.

— Życzę więc panu aby te uwagi zostały poważnie potraktowane i aby zmieniła się praktyka realizacji kontraktów zagranicznych.

— Dziękuję za dobre słowo, ale nie ma wielkich na to nadziei.



Ulica w Zawiji

Foto: Paweł Dyktyński

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



# Bigos hultajski

## MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO OBYCZAJOWA

### NIEDOŚCIGŁY IDEAL

Jak to byłoby dobrze gdyby na drzwiach wiekzosci polskich mieszkań znalazł się taki oto opis o cnotach ich właścicieli. „Napis na wrota”, wybrany ze „Zbioru poetycznych zabawek” (Włocławek 1798), napisał ks. Józef Legowicz. Jaka szkoda, że złośliwe zyczenia pocziwego plebana karkożyńskiego kościoła do dzisiejszego dnia pozostają, niestety, w sferze marzeń.

Przy okazji: cytowany „braur” to XVIII-wieczny odpowiednik naszego przyswojonego chuligana (znaczeniowo wywodzi się w prostej linii z brawury). Braur nie trafił na karty słowników języka polskiego, widać nawet w mowie potocznej wyrazu tego nie stosowano wówczas zbyt często.

Dla spokojnych otworem te są zawsze wrota,  
Bo tu stąkać — gospodarz, gospodyni — cnota.  
Pić, jeść, lecz nie nad miarę dla każdego dać,  
Braurów tu nie przyjmują, za kark.

Cieszyć się tu bez grzechu każdy może śmiecie,  
Pieniądzy nie pożyczają, bo nie mają wlecie.

### TRAKTAT O... JĘZYKU

Język — najruchliwsza część ciała ludzkiego w ogóle, a kobiecego w szczególności. Najciekawszym bywa zazwyczaj to, co się zatrzymuje na „końcu języka”. Dla dodania upadającej energii językowi, najlepiej go moczyć w spirytusie. Niebezpieczną jest rzeczą „ciągnąć kogoś za język”. Kobiety używają go do obracania koła młyńskiego, jak nikt bowiem umieją „mleć językiem”, a wobec siły tego narzędzia nie dziwnego, że mogą każdego „wziąć na język”, do wspaniałych wyników doprowadzają pod tym względem przekupki i teściowe, dla których „największym bohaterstwem jest „trzymać język za zębami”.

K. Bartoszewicz: Słownik prawdy i zdrowego rozsądku. Warszawa 1905.

### ZAGADKA GEOGRAFICZNA

Znakomity poeta z XVII w. Wespazjan z Kocubowa Kochowski (1633—1700) w zbiorze „Niepróżnące próżnowanie oczystym rysem na li-ryka i epigramata polskie rozdzielone i wydane” (Kraków 1974) ogłosił frazję-zagadkę, której odgadnięcie pozostawiam domyślności czytelników „Bigosu”.

Sroda, Piątek w sieradkiem, Czwartek przy Lublinie,  
A ostatek tygodnia: w której jest krainie?

### KORESPONDENCJA LITERACKA

Ludwik Powiada! Był w latach 1866—1871 współredaktorem (obok Stanisława Tarnowskiego i Stanisława Kozłana) czołowego czasopiisma konserwatywno-galiczyńskiego „Przeglądu Polskiego”, zaś Lucjan Siemieński cenionym poetą, krytykiem literackim, tłumaczem i publicystą. Pewnego razu Siemieński, zanępowany dłuższą przerwą w penerumacie „Przeglądu” wystosował do redaktora Powiada list następującej treści:

Panie Powiada!  
„Przegląd” mi wydadł...  
„Przegląd” nie mam od maja.  
Stęga Pana Powiada!

Po jakimś czasie zamiast oczekiwanych numerów „Przeglądu” poeta otrzymał taką oto odpowiedź:

Panie Siemieński!  
Przyslij Pan reński...  
„Przegląd” kosztuje reńskiego.  
Stęga Pana Siemieńskiego!

### FIGLE STUDENTÓW MEDYCYN

Do Zbaraża przybyło dwóch młodych medycyników na wakacje, żeby sobie wytchnąć i jakieś takie robić doświadczenia. Właśnie wtedy umarli w szpitalu dziad, którego dwie baby pilnowały. Piękna myśl przebiegła młodych eskulapów, żeby dziadka wykraść i zrobić na nim doświadczenie. A jak to u młodych zawsze na wierzchu i plan, i środki onego wykonania, kupili flaszki wódki, zaprawili miodem i kilku kroplami opium i udali się do szpitala wieczorem, niby odwiedzili umarłego dziada. Nuż tedy wzdychać i oczy wytracać niby z nabożentwem, co też babom niemiernie się podobało, że tacy młodzi panicez weale nabożni, dalekie w rozmowę z nimi. Eskulapy zasiedli z babkami, dobyli wódki, częstują i rozprawiają o duchach, upiorach i diablach. Nareszcie gdy postrzegli, że babki twarzo zasnęły, dali im ogon wulowy do ręki, okno otworzyli i trupa „czelwicie wynieśli. Nazajutrz babki ocknęły się, ale patrzy, nie ma dziadka, jeno ogon w rękach, wpadły tedy na domysł, że diabl porwali dziada. Całe miasto o niczym nie mówiło, jeno o porwanym dziadku i że baby taka utarczkę miały z diabłem, aż mu ogon urwały.

Sadok Barącz: Bajki... Lwów 1886

### ODA DO KAPUSTY

Okazuje się, że pocziwa kapusta również bywała opiewana przez poetów. czego dowodem jest wart przypomnienia wiersz „Kapusta” płora Władysława Sabowskiego (1837—1888), poeta i powieściopisarza, zwiaranego podczas powstania styczniowego z radykalnym obozem „czerwonych”:

Kapusto! na polach rosnąca głowiasto  
I pilnie zjadana przez mszyce!  
Wiedz o tym, że dzisiaj i wiosnę i miasto  
Opisem twych zalet zachwyce!

Tyś cudna jarzyna; twa nazwa: „kapusta”  
Tak dobra dla rymów chaosu,  
Ze serce się nati do nazwy, jak usta  
Smakosza do jaski bigosu.

Cóż brukwie? cóż rzodkwie? cóż marchwie?  
z nich rymy  
Jak smak ich niemile i głupie,  
O, wierz mi, kapusto, na zapas tej rymy  
Nie marchwi, lecz ciebie nakupie.

Opracował:  
ANDRZEJ KEMPA

8 ODGŁOSY

## Dokończenie ze strony 1

tarzalną secesją, która wprawa w zachwyt nawet przesyconego pięknem architektury leningradczyka. Za to w Iwanowie jest więcej zieleni. Zielony kostium miasta czyni je latem pięknym, zasłania wszystkie szare i nieciekawe miejsca. Zimą bardziej rzucają się one w oczy, mimo grubych warstw śniegu leżących na wszystkim. Drewniane domki toną wówczas po dachy w biele i Iwanowo miejscami przypomina starą Ruś, śpiącą pod olbrzymimi pierzynami. Zima jest tu długa, z wilczym wyciem wiatrów i szaleństwem ślepych zamieci, z grubymi narosiami lodu na szybach. A wiosna jest nagła, słoneczna, dźwięcząca niezliczonymi strumykami roztopionych śniegów. Wtedy miasto jest jakby roznegligiowane i czeka na użycie nowego zielonego ubrania.

mi, lecz powitanie druhów mojej młodości, z którymi łączy mnie 21 lat wspólne życie, odwilży i przymrozków, kiłtni i serdeczności, wspólnych sekretów i literackich dyskusji. Polacy umieją być z przyjaciółmi — przyjaciółmi. Bez nich nie pisałbym po polsku.

Każda twórczość, w tym i twórczość poetycka, pojawia się wskutek tego, że nasze krótkotrwałe istnienie przepaja wieczność — piękno i sens życia. Poezja akumuluje zło. Zmusza nas do myślenia i rozumienia. W naszym stosunku do sztuki jest coś takiego, czego nie sposób wyrazić słowem. Instynktownie odczuwamy swoją zależność od sztuki. W obecnych czasach arystokratą jest ten, kto dobrze pracuje, lecz nie we wszystkich dziedzinach ludzkiej pracy jej wkład, straty i sukcesy są jednakowe. W literaturze ten wkład i straty są największe, gdyż zależą nie tylko od pisarza. Mimo to nie znam ani jednego autora, nawet średniej klasy, którego pra-

sluchając moich uwag powie-działa Ewa Dąbrowska, wtedy jeszcze zupełnie młoda i zdrowa kobieta. „Ja nie żartuję”, upierała się częstując wszystkich winem, bo akurat wypadła jej kolej. Poparł ten pogład Jurek Wilmański, Marek Wawrzkiwicz i inni. „Dobrze”, odrzekłem przepijając do Ewy, „w mojej głowie Twoje wino szumi jak wielkie drzewo”.

Tego wieczoru po powrocie do domu napisałem swój pierwszy po polsku wiersz „Drzewo”, opublikowany w 1964 roku, w almanachu „Osnowa”. Nie znam ani jednego miasta, a mieszkałem już w kilku, gdzie by tak prosto i łatwo pisało mi się wiersze, jak w Łodzi. Można być wydawanym lub nie, można pisać gorzej niż inni, żyć bardzo biednie i przeklinać swój nieszczęsny los, ale żeby w ogóle pisać potrzebna jest ciągła, żywa wymiana myśli. moralna podpora — to jest właśnie ten tlen, bez którego pisarz nie może żyć, nie może istnieć. Jeśli ktoś, znajdując się za granicą, pozostaje pisarzem,

# Z pólki recenzenta

## KRÓLEWSKI ROMANS

Miłośnicy powieści historycznych sięgną po tę książkę bez dodatkowej zachęty z mojej strony. „Romans królewski” Władysława Rymkiewicza okazał się po raz pierwszy kilkadziesiąt lat temu i zyskał należne mu uznanie. Powieść traktuje o czasach Jana Kazimierza, a szczególnie o znanym, choć skąpym w dowody, romansie królewskim z Elżbietą Radziwiłłówną wraz ze wszystkimi konsekwencjami tego związku intymnego. Dodajmy do tego szeroko zarysowane tło historyczne i obyczajowe tamtych czasów (połowa XVII wieku), walki dyplomatyczne, zakulisowe knowania magnatów i szlachty, intrygi dworskie, a lektura okaże się zajmująca i ciekawa.

Władysław Rymkiewicz: „Romans królewski”. Wyd. Łódzkie 1983 r. Str. 238. Cena 120 zł.

## SAMOSADY

Polecam uwadze Czytelników ważną książkę: zbiór felietonów Jerzego Urbana pt. „Samosady” publikowanych w tygodniku „Tu i Teraz” na przestrzeni od czerwca 1981 roku do lutego 1982 r. Książka jest kroniką swoich czasów, realistyczną oceną zachodzących zdarzeń i procesów naszego myślenia, wystawionego na gorzkie doświadczenia społeczeństwa. Wtajemniczeni doskonale wiedzą, dlaczego „Samosady” Jerzego Urbana przestały się ukazywać. On sam na ten temat pisze: „Ostatnio jednak znalazły się osoby i instytucje, które na felietony te reagowały protestami uzasadnianymi tym, że w wypowiedziach tu opiniach — wbrew wszystkim moim zastrzeżeniom — dopatrują się urzędowego stanowiska”. Jednym słowem Jerzy Urban poniósł konsekwencję za „szarganie świętości” w sensie przenośnym i dosłownym.

Jerzy Urban: „Samosady”. KiW 1983 r. Str. 136. Cena 70 zł.

## SALTO MORTALE

Zachodnoniemiecki pisarz, Kurt Sigel, książkę „Salto mortale do wewnątrz”, debiutuje na naszym rynku czytelniczym. Jest to książeczka niezwykła w swojej koncepcji i przebiegu narracji. 104 minirozdziały tworzą portret schizofrenika. Choroba narasta, odbywa się nieustająca proces utraty kontaktu z rzeczywistością, w końcu następuje całkowity rozpad świadomości. Jesteśmy świadkami jak powoli i konsekwentnie zatracą się to wszystko, co stanowi związek duchowy człowieka z jego otoczeniem, a budzi się, rośnie, aż przesłania wszystko, własne „ja”, świat zadziwiającej fantasmagorii, z którego już nie ma ucieczki.

Znakomity przekład Jacka Haberkę.  
Kurt Sigel: „Salto mortale do wewnątrz”. Wyd. Lit. 1983 r. Str. 118. Cena 35 zł.

## WIERSE KAROLA WOJTYŁY

W cyklu „Biblioteka poetów” ukazały się, wydane przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, wiersze Karola Wojtyły. Krytyk trafnie je określił „wierszami moralnego niepokoju”, choć swój wstęp do zbioru pisał na klekczakach.

Niewielki wybór zawiera wiersze nielata w odbiorze, wiersze powstałe w wyniku głębokich przemysłów i dociekań, są one wreszcie próbą uogólnień filozoficznych i moralnych. Na próżno jednak Czytelnik poszukiwałby w nich rozwiązań formalnych, nawet poetyki. Już raczej dojrzy w nich modlitwy, intymna rozmowa autora z Bogiem, szukanie odpowiedzi na ludzkie wątpliwości i rozterki.

Karol Wojtyła: „Poezje wybrane”. LitW 1983 r. Str. 112. Cena 48 zł.

## O GALCZYŃSKIM

Kira Galczyńska napisała książkę o ojcu etepia, chwilami sentymentalną, miejscami niemal apoteozującą. Bardzo trudno ustrec się, aby na najbliższego nam człowieka spoglądać z dystansem uzbrojony oko w szkło powiększające. Córka stawia pytanie: jak naprawdę był mistrz Konstanty? Obiektywnej odpowiedzi nie otrzymamy, bowiem nikt nie potrafi do końca powiedzieć prawdy o poecie, do tego o poecie tak niezwykłym jak Galczyński.

Książka czyta się z zainteresowaniem, są w niej szczegóły przyczynarskie do życia i dzieła poety, są ciekawe spostrzeżenia, są w końcu legendy wiążące wszystkim naturom nieprześcigniętym i oryginalnym.

Kira Galczyńska: „Konstanty syn Konstantego”. Nasza Księgarnia. 1983 r. Str. 168. Cena 95 zł.

## KOSZENIE PAWI

Osobiście mam dość krytyczny stosunek do książki Romana Bratnego. Nie można im jednak odmówić jednego: są zawsze zaangażowane w sprawy dnia dzisiejszego, choć i reguły ich treść bywa mieszaniną przeszłości z terażniejszością. Są te książki pewnym wyznaniem politycznym autora, jego stosunkiem do bieżących zdarzeń, jego ich oceną. Z reguły bywa to ocena surowa, przyprawiona dozą sceptycyzmu i szczypta humoru. I jak to u Bratnego, sporo tu seksu, żeby nie powiedzieć fascynacji kopulacyjnymi pomysłami występujących w jego prozie bohaterów. W wydanej ostatnio książce „Koszenie pawi” są cztery opowiadania: „Ryczał na Odnowy”, „Apel po kłesce”, „Chwała Bogu” i „Koszenie pawi”. Czas powstania tych opowiadań to lata 1981—1982.

Roman Bratny: „Koszenie pawi”. PIW 1983 r. Str. 244. Cena 120 zł.

# Zapraszam na jarzębiak

Z mojego balkonu widać spoza drzew rosnące nowe kwartale bloków i między nimi wysępk domostw, a wszystkie razem zlewa się w mozaikę cegły, betonu, burego drewna i czerni dachów. Jesień w Iwanowie jest najpierw zło-cisto-bursztynowa i zaraz potem czarna, z czerwonymi jak rozżarzone węgle kłami jarzębiny. Jarzębiny tu mnóstwo. To stała mieszkanka rosyjskich sadów i ogrodów — gdzie dom, tam i jarzębina pod oknem.

Iwanowska jarzębina ma słodkie, duże i soczyste jagody. Prawie jak winogrona. Zresztą tak ją właśnie tutaj nazywają — winogrona północy. Z jarzębiny robi się wspaniałe wino, lepsze niż z jabłek. Weale nie takie „patykłem pisane”, lecz naprawdę smaczne, smaczne, domowe wino, które nie wstyd jest postawić najbardziej szanowanym gościom. Jarzębinowe wino z niczym nie da się porównać, ma kolor przesiwłotnego słońcem bursztynu, a właściwie barwę przedwiośnia i smak upalnego lata. Tutejszy jarzębiak nawet najrozsądniejszą zimę czyni ciepłą i przytulną. Ciekawe, jakie wiersze napisałby Marek Wawrzkiwicz na cześć tego jarzębiaku. Jego erotyki nabrałyby wschodniego kolorytu i temperamentu, a sam autor wyznawałby miłość każdej napotkanej tutaj dziewczynie. Cóż zresztą Marek... Jeśli by w iwanowskich borach błąkał się sam Dionizjusz, wybrałby dla swych orgii napój nie z winogrona, a właśnie z jarzębiny. Przy nim nie tylko „Polak i Wegier — dwa bratanki”, ale ludzie wszystkich przekonań i narodowości stają się sobie bliżsi. Oto co może sprawić kiść jarzębiny, tajemniczo płonąca w grudniu na oszromionej gałęzi, niby pieczęć na płożnie noworocznej paczki.

Przez trzy lata oczekiwałem w Iwanowie gości z Łodzi, cieszyłem się na myśl o spotkaniu, chronilem butelkę jarzębiaku. Niestety, na próżno, choć byłoby co wspominać. Nie byłoby to zwykłe spotkanie Romanina ze znajomymi Polakami, lecz powitanie druhów mojej młodości, z którymi łączy mnie 21 lat wspólne życie, odwilży i przymrozków, kiłtni i serdeczności, wspólnych sekretów i literackich dyskusji. Polacy umieją być z przyjaciółmi — przyjaciółmi. Bez nich nie pisałbym po polsku.

to jest to zasługa nie tylko jego talentu, lecz przede wszystkim społeczności, która dała mu szansę rozwoju (abstrahujać oczywiście od wszelkich, z reguły krótkotrwałych karier polityczno-literackich). Środowisko musi posiadać kolosalne rezerwy takiego życiodajnego tlenu, choć prawdą jest równocześnie, że każdy pisarz tworzy w swym własnym mikrośrodkowisku. Mimo bardzo zadymionego powietrza w Łodzi odycha się lekko. Nie ma jednak różny bez kołców, każde miasto ma swoje specyficzne braki. Czego mi brakuje w Łodzi? Wysokości... i ciszy.

To jest wielka rzecz, gdy można zostawić za sobą hałas, kurz, spaliny, ludzi i samochody i spojrzeć na wszystko z góry. Zmęczenie, stresy, frustracje momentalnie znikają, kiedy oczom otwierają się zielone i błękitne dale. Poezji bardzo jest potrzebna taka perspektywa — ziemia i niebo na horyzoncie. A lek przestrzeni mija jak katar, gdy odczujesz jej ożywczy wpływ, pobudzający wolę życia. Otwarta przestrzeń — to skarbica ciszy. Na ziemi jest obecnie coraz więcej ludzi odbierających ciszę jak najcenniejszą muzykę. Kiedyś chciałem znajdować się w środku plus wielkiego miasta, dziś marzę o jakiejś pustelni, gdzie byłaby cisza i przestrzeń. Lecz gdzie są takie pustelnie z odwiecznymi pokładami ciszy. Z góry, z dołu, ze wszystkich stron nasze uszy miadządy technika. Mnie już chyba nic nie pomoże. Jestem skazany na rozdarcie. Wszędzie brak mi Łodzi. Dopóki mieszkam w Iwanowie, chciałbym, aby tożsamość ciszej przyjeżdżał do mnie w gości. Zapraszam na jarzębiak.

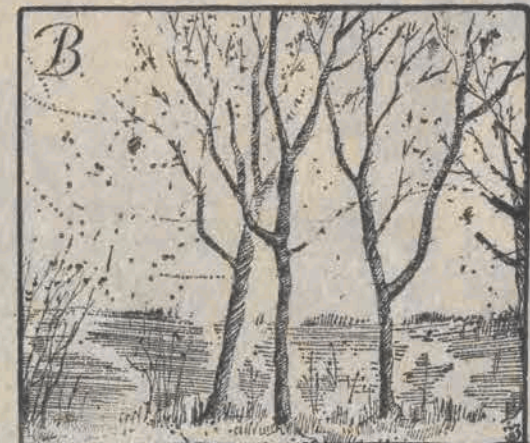
Przeżywałem w Łodzi wszystkie bóle i cierpienia, mówiłem i myślałem w języku tego kraju, pokochałem jego historię i kulturę, nie pomijając współczesnej poezji, którą zawsze uważałem za najbardziej interesującą w Europie, biorąc oczywiście pod uwagę jej najlepszych przedstawicieli. Pamiętam setki spotkań, nie tylko literackich, różnych i swój pierwszy wiersz po polsku, chociaż „to było dawno i nieprawda”.

W łódzkim Klubie Dziennikarza przy kieliszku wina młodzi wówczas adepti poezji deklamowali swoje nowe wiersze, a ja byłem tylko słuchaczem i krytykiem równocześnie. „Powinieneś sam pisać po polsku”,

W Łódzkim Klubie Dziennikarza przy kieliszku wina młodzi wówczas adepti poezji deklamowali swoje nowe wiersze, a ja byłem tylko słuchaczem i krytykiem równocześnie. „Powinieneś sam pisać po polsku”,

W Łódzkim Klubie Dziennikarza przy kieliszku wina młodzi wówczas adepti poezji deklamowali swoje nowe wiersze, a ja byłem tylko słuchaczem i krytykiem równocześnie. „Powinieneś sam pisać po polsku”,

## WASYL KOCZNOW





**W**yszło już chyba z obiegu popularne kiedyś powiedzenie o tym, że „ulubienicy bogów umierają młodo”. Do niewielu ludzi mając to słowa równie trafnie zastosowanie jak do Mieczysława Karłowicza, zmarłego przedwcześnie i tragicznie w 33 roku życia. Był to bowiem pierwszy od czasów Chopina kompozytor polski, który naszą muzykę wyprowadził po półwiekowej przerwie z rodzimego zaścianka na główną drogę rozwoju i chyba tylko nieublagany los nie pozwolił mu znaleźć się w jednym szeregu z najwybitniejszymi w Europie.

Ostatnie lata przyniosły u nas wzmoczenie zainteresowania osobą i dziełem Karłowicza, którego muzyka po przeszło siedemdziesięciu latach od jego odejścia staje się nam stopniowo coraz bliższa, co zaowocowało zwłaszcza wieloma kompozycjami choreograficznymi, inspirowanymi przez jego dzieła, nieobcymi także łódzkiemu miłośnikowi baletu, zarówno dzięki naszemu Teatrowi Wielkiemu, jak i przyjeźdnym zespołom.

Na tle dotychczasowych poczyną wydarzeń artystycznym o swoistym znaczeniu i charakterze wydaje się realizacja śmiałego zamysłu, by w programie jednego wieczoru przedstawić publiczności trzy nowe dzieła baletowe do muzyki Karłowicza, stworzone przez Adama Hanuszkiewicza, którego polskim teatromanom rekomendować nie trzeba. Nie wszyscy może jednak zdają sobie sprawę, że zainteresowanie artystycznym Hanuszkiewiczem zawsze nieobca była muzyka, jako ważny element scenicznego nastroju, a od muzyki do baletu przecież niedaleka nie jest droga, zwłaszcza może dla tych, co, jak właśnie Hanuszkiewicz, wykazywali zawsze znaczną wrażliwość na ruch i gest, na rytm i dynamikę działań scenicznych.

Na dwuczęściowy program złożyły się trzy kompozycje choreograficzne o niewątpliwie choć trudnej do uchwycenia więzi wewnętrznej. Na początek obejrzelśmy opracowanie teatralno-choreograficzne pięciu „Pieśni” Karłowicza, do których na dokładkę dołączono „Znasz li ten kraj” Moniuszki, co upoważnia do przypuszczenia, że autorowi przedstawienia nie chodziło może tak bezwzględnie o Karłowicza, jako o inspiratora i patrona programu, o to co zawiera w sobie sama jego muzyka, lecz raczej o określony tekst słowny nadający się do wywołania w widzu pożądanych skojarzeń. Przypuszczenie to umacnia się, jeśli wziąć pod uwagę, że oryginalna twórczość Karłowicza, w postaci pieśni z akompaniamentem fortepianu (Delfina Ambroziak — sopran i Antoni Duda), uzupełniona została przez aranżacje tych samych utworów, i to po części w wykonaniu innego instrumentu towarzyszącego, współczesnej interpretacji typu pianistarskiego (Anna Chodakowska — śpiew, Włodzimierz Nahorny — fortepian i Józef Skrzek — moog), co jeszcze dobitniej świadczy o tym, że powody sięgnięcia po „Pieśni” leżą także w sferze pozamuzycznej.

Sama kompozycja sceniczna odznaczała się zresztą oryginalnością i świeżością wielu pomysłów, odbiegających od rutynowych rozwiązań, na które jesteśmy dość często w baletach skazani, a także — urodą wielu scen. W założeniu nie jest to zresztą balet w utartym znaczeniu słowa, lecz według deklaracji autora „teatr tańca” i należy się zgodzić z tym znany skądinąd określeniem, biorąc tu pod uwagę udział i rolę treści dramatycznych w stosunku do zadań czysto tanecznych i sposób ich aktorskiej interpretacji. O „teatr” Hanuszkiewicza posługuję się szeroka paleta środków atakujących wyobraźnię, i to niekiedy z wielką intensywnością, a przy tym, co dało się zaobserwować w całości programu, niejednolitych stylizacyjnie — od dyskretnych aluzji do natarczywej dosłowności.

„Pieśni”, o których tu na razie mowa, rozgrywają się w oryginalnej i nastrojowej scenarii w postaci sieci rozpiętej w poprzek sceny, tonącej w półmroku, a sięgającej dokądś w górę. Tancerze to wspinają się, to bezwładnie zawisają, rozpostarli w zniechęconych pozach, to dążą do zetknięcia się z upragnioną osobą, to znów pną się ku idealowi. Metaforą ka sieć jest zresztą pojęma i niejednoznaczna, wsciek bowiem bywa się z własnej nieraz winy zaplątanym bez wyjścia, siecią łowi się dusze ludzkie, jak ryby (ryba — znak pierw-

szych chrześcijan, a więc z okresu katakumb), zarzuca się też nieraz sieci, żeby kogoś podstępnie omotać i nim zawiadnąć.

Może wszystkie te znaczenia, a może jeszcze jakieś inne dochodzą tu do głosu, na tle wspomnianej już, wielce różnorodnie podawanej muzyki Karłowicza. Ale wolno żywić obawę, czy nawet mieć pewność, że wyraz stanów wewnętrznych przez ruch jest w zastosowaniu sieci zarówno nieco ograniczony przez tę jakże chybliwą materię, jak też skazany na przypadek, bo nie sposób chyba z przedstawienia na przedstawienie powtarzać tej samej sekwencji ruchowej z identyczną zawsze płynnością i precyzją, a więc i o tym samym charakterze. A więc jakby nieunikniona i wkalkulowana improwizacja? A czy improwizacja nie oznacza uchylania się autora od odpowiedzialności za wykonanie?

Narastający nieustannie niepokój znajduje kulminację w spazmatycznym zmaganiu się wspinających się w górę tancerzy.

nionych „Pieśni” zapracowała też rzetelnie pani scenograf, ale chyba skromniej był tu współdziałaniem choreograficzny Ewy Wycichowskiej, nie czuło się tu jej indywidualności twórczej.

Drugą część programu otworzył Koncert Skrzypcowy A-dur. Po motorycznie potraktowanym wstępie, czy raczej pierwszym temacie, nastąpił najbardziej chyba udany pod względem choreograficznym i wykonawczym liryczno-humorystyczny fragment, rozbudowany wokół kadencji I części. I zdawało się, że teraz już Hanuszkiewicz zezwoli przemówić muzyce Karłowicza (jakże tu pięknej) własnym autentycznym głosem. Ale — niezupełnie! Muzyka Karłowicza uległa chwilowemu zawieszaniu, a powstały w ten sposób przezwyciężający wycieki bądź to zupełna cisza, bądź muzyka zupełnie odmiennej proveniencji, która ilustrowała drugi nurt akcji sceniczej, rozgrywający się jakby za kulisami, kiedy to ujawniały się sprawy osobiste, bez osłonek i szminki. Właściwie skomponowano tu

(wciągnięto tu cały balet plus młodzież ze „szkółki”), chciałbym zwrócić specjalną uwagę na obdarzonego młodzieńczym temperamentem i wdziękiem, dużymi także umiejętnościami tanecznymi i bodaj jeszcze większymi predyspozycjami — Henryka Minkiewicza, który dotrzymał kroku tak znakomitym solistom, jak Ewa Wycichowska, Lilliana Kowalska i Kazimierz Wrzosek.

Wydaje mi się, że w opracowaniu ściśle choreograficznym Ewa Wycichowska była tu znacznie mniej przytłoczona niż w „Pieśniach” i przynajmniej w tym utworze określenie jej udziału jako „współpracy choreograficznej” wydaje mi się zbyt kurtuazji wobec słynnego autora całości (choć, co prawda, sam taniec nie osiągnął tu takiej harmonii środków wyrazu i takiej siły ekspresji jak w „Stabat mater”). Większe zadania taneczne wykonywali również: Dobrosława Gutek, Grażyna Popławska, Małgorzata Sładysz, Wioletta Sokołowska, Bogdan Jankowski, Tomasz Łukaszyski, Wacław Niedźwiedz, Zbigniew Sobis.

Ogólnie rzecz biorąc „Koncert Skrzypcowy” łatwo sobie wyobrazić jako tę samą kompozycję choreograficzną — „nałożoną” na inny utwór muzyczny, (jak choćby „Koncert skrzypcowy” Brahmsa) i jak sądzić, balet i muzyka wykazywałyby podobny stopień artystycznej „adekwatności” jak tutaj. Więc znów Karłowicz trochę w funkcji pretekstu.

Łedwie wybrzmiał po wykonaniu Koncertu niezbyt gorące, choć z pewnością bardzo zasłużone, oklaski publiczności, zdezorientowanej bezpośrednio przejęciem do następnego utworu, bez oddzielenia od poprzedniego choćby zapaleniem świateł na sali, a już Ewa Wycichowska, jeszcze nie ostygła po poprzednim tańcu, zaczęła przechodzić na naszych oczach interesującą metamorfozę, przybierając na siebie zupełnie odmienną postać, inną sylwetkę psychiczną.

W półmroku sceny zaczęły się przesuwać płynnym korowodem siostry zakonne, a gdy znieuchomiły w blasku widać w głębi krzyża, dotychczasowa zmysłowa kochanka zaczęła się przeobrażać w pokorną obłąkanię chrystusową. Miało to swój nastrój i swoją urodę, ale przyznam się, że nie bardzo jasne jest dla mnie przesłanie tego utworu, opartego na „Rapsodii Litewskiej”, pozbawionej przecież programowych treści. Nie tłumaczy mi się tutaj symbolika krzyża, niestosowna chyba wobec faktu, że Karłowicz był ateista. A może chciał Hanuszkiewicz przywołać skojarzenia z niedaleką już okragłą rocznicą chrztu Litwy. W takim razie te dymy pożarów wokół krzyża nabrałyby niezamierzonej chyba wymowy — przypomniawszy, iż narzucanie Litwinom chrześcijaństwa odbywało się w mocno dramatycznych okolicznościach.

Wydaje mi się, że bez tego utworu, niezbyt chyba frapującego muzycznie, mogłaby się całość programu doskonale obejść.

Jaka byłaby więc moja sumaryczna ocena „Interpretacji” utworów Karłowicza, autorstwa Adama Hanuszkiewicza, przy niedookreślonym współdziałaniu Ewy Wycichowskiej? Zetknęliśmy się z udratyzowanym widowiskiem tanecznym, noszącym na sobie silne piętno osobowości artystycznej autora programu, o znacznej rozpiętości zastosowanych środków, niekiedy budzących zastrzeżenia, o nie dość klarownym przesłaniu (jak na tak silny stopień sfabularyzowania) i niezbyt jasnej symbolice, niewolne od swego rodzaju egzaltacji, wymykającej się rygorom dyscypliny artystycznej.

I nie tyle, czy może nie tylko muzyka Mieczysława Karłowicza, wolno sądzić, zainspirowała Hanuszkiewicza, lecz w dość oczywistym sensie ujawniły się także inspiracje pozamuzyczne.

## JERZY KWIECIŃSKI

Karłowicz — Interpretacje. Przedstawienie autorskie Adama Hanuszkiewicza. Współpraca choreograficzna Ewy Wycichowskiej, scenografia — Zofia de Ines Lewczuk. Prapremiera 29 października w Teatrze Wielkim w Łodzi.

# Literatura małych dvtan

1 Wielkie i małe pytania egzystencjalne żyją w literaturze bez przerwy. Przybierają różny kształt. U nas podawane są przeważnie w otoczce obyczajowej.

W problematyce obyczajowej bowiem wyraźnie odzwierciedlają się zróżnicowane przejawy świadomości jednostki czy pokolenia. Można pisać o tym zawiłe traktaty z trudem mieszczące się w kanonach literatury pięknej, można też mówić o obyczajach z lekkim przybliżeniem oka. Ta druga postawa jest w naszej literaturze tradycyjnie popularna. Niektórzy twierdzą nawet, że przejawia się w tym narodowy charakter Polaków. Ze są niby tacy dowcipni i samokrytyczni, że wychodzą na jaw ich wrodzony niejako „esprit de contradiction”, że tacy do ironii skłonni...

Proza zainteresowana obyczajami przedstawia zazwyczaj te dziedziny życia, w których współczesny obyczaj najłatwiej da się podpatrzeć: pracę, rodzinę, erotykę. Przedstawia sprawy typowe przez swoją zwyczajność, ale nie ukrywa i wynaturzeń. Refleksję poważną łączy z kpina, troszkę społeczną z dyskretnym na ogół dydaktyzmem, jakby nieustannie zobowiązywała piszących wzywaniem Stanisława Trembeckiego: „Niechaj brmsi w ustach waszych obyczajność czysta!”

Można chyba zaryzykować twierdzenie, że dzieje tego nurtu — to dzieje ustawicznych potyczek z banałem, który raz wprowadzony na karty powieści lub opowiadania w celu bezwzględnie na ogół skompromitowania go, wdiera się co i raz na te karty. Tak więc zmagania z banałem, który potrafi przybrać postać zarówno patosu, jak i tandety życiowej, wyznaczają spory obszar polskiej prozy współczesnej. Przeszły historyk literatury da świadectwo, na ile walka ta była skuteczna.

2 Trochę przesadzona wydaje się nota informacyjna, sugerująca, że życiorys bohatera-narratora nowej powieści Krzysztofa Nowickiego stanowi pretekst do scharakteryzowania szczególnych cech generacji urodzonych po wojnie. Brzmi to wzmocnienie, ale powiada więcej niż w „Wagonie z miejscami do leżenia” smądus jemy. Okazuje się bowiem — przy odrobinie krytycyzmu — iż owe domniemane cechy szczególne nie są wcale takie szczególne i dadzą się łatwo zliczyć na palcach jednej ręki. Przede wszystkim rzuca się w oczy nijakość owej generacji, wzmocniona jeszcze przez kompleks poprzedników, którzy mieli szansę określenia się wobec historii i wykazania się heroizmem w potrzebie wojennej. Bohater powieści Nowickiego odczuwa we wzmocniony sposób jałowość swojej egzystencji, determinuje ona bez reszty jego życie zawodowe i rodzinne. Wszystko wokół niego okazuje się miakkie, przeciętne, niezadawalające. Jest to stan prawie permanentny, jakaś obstrukcja, której nie są zdolni przerwać przebiegi fortuny.

Zastanawiać musi bierność, rezygnacja, obojętność, z jaką bohater „Wagonu z miejscami do leżenia” znosi swój los. Dobitnie podkreśla to tytułowa metafora: życie toczy się niejako samo, niezależnie od woli czy wysiłku, rzecz jedynie w tym, by zająć w nim wygodne w miarę miejsce. Uzupełnia ją i nadaje pewien walor wzniosłości motto zaczerpnięte z Saula Bellowa: „Panie, biegłem, by walczyć za Twą świętą sprawę, ale wciąż się potykałem, nie dotarłem na miejsce boju”. Jeśli już padła owa militarna poniekąd terminologia to pozostawmy przy niej i powiedzmy, że taki na przykład dzielny wojak Szwejk jest wzorem bojaństwa i zdecydowania w obliczu postawy bohatera powieści Krzysztofa Nowickiego. Ta postawa znajduje jednak swoje wytłumaczenie — autoszyderstwo. Jest to jedyna broń, jaką dysponuje Adam Maciejko, sztydzi z siebie, że nie wyszło z młodzieńczych snów o potęgę, sztydzi z otoczenia, że takie skarlałe i przyziemne.

3 Narrator „Wagonu z miejscami do leżenia” zastępnym w pozie niewiedzy absolutnej. Narrację tę charakteryzuje wyznaczenie: „Nie wiem, czy zdąże opowiedzieć o nas. Może zdarzy się coś, czego będę żałował. Moje serce uschnie, a usta staną się martwe. I nikt nie usłyszy tego, co chciałem powiedzieć. Słowa zgubią się między nami (...). Nie wiedziałem, kim jestem. Nie rozumiałem nawet lustra. Kiedy w nie patrzyłem, wypełniała je mgła...” I jak przez mgłę toczy się ta opowieść o losach drobnego urzędnika Adama Maciejki i jego rówieśników. Oddalają się od siebie coraz bardziej. Więc pokoleniowa sprawa staje się praktycznie do nikłych wspomnień, wstydliwie odsianianych przy okazji przypadkowych spotkań.

Refleksje na temat istoty i sensu życia, tak częste w naszej współczesnej prozie obyczajowej, schodzą tu na plan dalszy wobec pismożnie dokuczliwych spraw powszednich. Ow zacinający się mechanizm codziennego bytowania rzuca tu na postawy życiowe występujących w „Wagonie z miejscami do leżenia” postaci. On również określa rodzaj pytań egzystencjalnych, z jakimi mamy do czynienia w powieści Krzysztofa Nowickiego. W jej bohaterze wywołują te pytania chęć przewartościowania, wywołują potrzebę krytycznego spojrzenia nie tylko na postępowanie innych, ale przede wszystkim własne. Każdy przecież przeżywa niepowodzenia i tragedie, nie w każdym jednak wywołują one taką dozę melancholii, jak w Adamie Maciejce. Taką dozę bezradności, która powoduje, iż nawet nie usiłuje on szukać odpowiedzi na nekające go pytania o swoich najbliższych choćby. Stać go jedynie na sentymentalną spowiedź dzieciecego wieku, nie może zdobyć się na wysiłek racjonalnej analizy swojego położenia. Dlatego też powieść kończy się jakby zawieszonym relacji, na dobrą sprawę nie się w niej nie wyjaśnia. Wręcz przeciwnie — w życiu narratora występuje niby-powrót do sytuacji sprzed lat, zapowiadający pewną cykliczność życiowych prób i błędów. W każdym razie nie jest to powrót do Itaki.

4 Zacinający się mechanizm codziennego życia jest chwytem w prozie obyczajowej niezwykle rozpowszechnionym. Przeważnie jednak wykorzystywany jest on w taki sposób, że zacięcie owo pozwala na ukazanie innej perspektywy, na odejście od pytań małych, od spraw codziennych, ku problemom zasadniczym. W powieści Krzysztofa Nowickiego jest inaczej — mechanizm codziennego bytowania zaciną się bez przerwy, co nie zezwala narratorowi na oderwanie się od swoich kłopotów i dolegliwości, na przewyżczenie czającego się w jego życiu strachu, paralizującego wszelkie plany.

Nie są mu potrzebne wielkie dylematy w rodzaju: czy żyje życiem prawdziwym, czy też namiastką, ponieważ w tym akurat względzie odczuca jego pozostają jednoznaczne. Nie stara się nawet odbanalizować kolejnych scen swojej relacji. Banał jest mu potrzebny — podkreśla monotonię. Tajną jego bronią pozostaje świadomość, że prawdziwa przyczyna wszystkiego tkwi wyraźnie poza literaturą. I tam też należy szukać odpowiedzi na wielkie i małe pytania polskiego jedermanna.

**TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI**

Krzysztof Nowicki: „Wagon z miejscami do leżenia”, „Czytelnik”, Warszawa 1988, s. 149, nakład 10.320 egz., cena zł 40,—.

## Nie tylko Karłowicz...



Foto: Chwałostaw Zieliński

rzy z walącymi się na ich głowy, wśród zgiełku i dymu, jakimiś tobołami, wśród których fruwają strzępy nadpalonych gazet czy ulotek, a wreszcie i ludzkich oderwanych członków. A oprócz tego to zbliża się ziołowego, to oddala, żelazna konstrukcja maszynierii teatralnej, mająca swoją funkcję scenograficzną. Na upartej można powiedzieć, że tego tu zadął wicher historii i stracił w dół tych, którzy w emocjonalnym i irracjonalnym podnieceniu nie potrafili odczytać jej nieublaganych praw. Ale rzecz komplikuje (a może i rozjaśnia), wyniesienie z zapadnię na powierzchnię grupy nieszczęślików, jakby pierwszych chrześcijan, dzielących się chlebem jak komuniją i przekazujących go sobie z ust do ust, jak pocieszenie, a może jak nadzieję przetrwania do ponowienia się beznadziejnej sytuacji, wspinania się i spadania.

Zapewne puszczam wodzę fantazji, ale tak mnie pobudził ten swoisty cierpiętniczy masochizm, być może rozmiłujący się z intencjami autora. Zresztą innym uchem słucham Karłowicza niż Hanuszkiewicza...

Na niewątpliwą atrakcyjność tych utancznych i uteatral-

przemysłnie „teatr w teatrze” i to niejako o „podwójnym dnie”. Przy całej oryginalności pomysłu, w którym istotną rolę odgrywała grupa dziewcząt ćwiczących przy drążku, nie wszystkie zastosowane sposoby czy chwytły teatralnie można by zaakceptować z czystym artystycznym sumieniem. Dość szokującą i dezorientującą dla części widowni wypadła reżyma-konstytucja jednej z tancerek, niezbyt wybrednym dowcipem było też rzucenie pod nogi tancerki paczki herbaty przez załotnika (to bodaj w III cz. koncertu).

W części II zwracali uwagę śmiało erotycznie sceny z zastosowaniem umownego „neglitu” i rozbierania się do porowanej nagoci, pozwoliło to spojrzeć na funkcję sceniczną tych spraw trochę nowym okiem. W części III świetnie kontrastowało z wielce lirycznym duetem kochanków zabawne trio dziewcząt w tle, doskonale rozegrano także bójkę prawowitego amanta i „posiadacza” z romantycznym załotnikiem herojny odgrywanego romansu, mającego wprowadzić posmak kabaretowo-buwarowy, ale swój smak również.

Wśród grona wykonawców wymienionych utworów



**O** PAWLE PITERZE, reżyserze filmowym, absolwencie łódzkiej PWSFTviT, dużo się ostatnio pisało i mówiło, chociaż jego dyplomowy film nie ukazał się jeszcze na ekranach kin. Przyczyną zainteresowania i pewnej otoczki sensacji była bohaterka jego filmu — Violetta Villas. Film Pawła Pitera „Sen o Violetcie” jest pierwszą nowelą filmu fabularnego „Sny i marzenia”, który oczekuje kinowej premiery, a którego kulisy powstania prezentowałem na łamach „Odgłosów”. Po kolaudacji i w oczekiwaniu na premierę telewizyjną jest jego drugi film „Szkmatulka z Hongkongu”. Z młodym, ciekawie zapowiadającym się reżyserem filmowym rozmawiamy nie tylko o sukcesach i blaskach jego atrakcyjnego zawodu.

— Kiedy wychodzi się ze szkoły filmowej, chce się jakoś wyróżnić, pokazać, narzucić ludziom ze swoją teorią na robienie filmów, ze swoimi zdolnościami?

— Tak.

— Czy łatwo jest zadebiutować w filmie i co należy uznać za pana właściwy debiut reżyserski?

— Zadebiutować jest bardzo trudno, szczególnie teraz. Osób zajmujących się oceną scenariuszy filmowych do realizacji jest tak wiele i są to ludzie tak różni, z tak odmiennymi interpretacjami filmu, że gotowy produkt jest bardzo trudno obronić. Na studiach w PWSFTviT w Łodzi, zrobiłem kilka filmów: „Jan K.” (opowieść o urzędniku stemplującym papiery pieczęcią „anulowano”), „Zawód” (o striptizerce), „Spotkałem kiedyś szczęśliwych Tatarów” (o polskich Tatarach), „Wizyta” (spektakl TV o upadłym pisarzu-alkoholiku), „Cereemonia” (ostra tragifarsa polityczno-obyczajowa). Moim filmem dyplomowym (kinowym) jest „Sen o Violetcie” (senne marzenia hydraulika o kiczowatej gwiazdce), nowela o obrazie „Sny i marzenia”. Pozostaje na etapie reżyserskim w Zespole Filmowym „Zodiak”.

— Jakimi drogami trafił pan do szkoły filmowej?

— Pracę w filmie zaczynałem jako pomocnik rekwizytora przy „Motylach” Janusza Nasfetera. W tym czasie studiowałem filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Później byłem scriptem planu przy kolejnym filmie Janusza Nasfetera „Nie będę cię kochać” i asystentem Jerzego Stawińskiego przy filmie „Urodziny Matyldy”. Po obronie pracy magisterskiej na polonistyce pt. „Mit i psychoanaliza w filmach Pier Paolo Pasoliniego” rozpocząłem studia na Wydziale Reżyserii PWSFTviT w Łodzi.

— Był pan na studiach reżyserskich wyróżniającym się studentem?

— Zawsze miałem oceny dostateczne, poza jedną (bardzo dobrą) od Wojciecha Hasa, ale absolutorium mam na ocenę bardzo dobrą. Nie mniej przy ocenie absolutorium filmu widuje uwagę: „ocena nie została wydana; potrzebne są poprawki merytoryczne, które zostaną naniesione przez opiekuna wyznaczonego przez komisję”.

— I co, naniósł już swoje uwagi?

— Chciał nanieść, ale nie zgadzamy się.

— Jakich umiejętności wymaga zrobienie samodzielnego filmu?

— Wszystkich, jakie może posiadać człowiek. Poczynając od znajomości stosunków międzyludzkich, poprzez umiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi, posiadanie wyobraźni i świadomości tego, co chce się zrobić, w połączeniu z przeświadczeniem, że film jest sztuką wyboru i selekcji aż po własny intelekt i parę innych rzeczy, które umieścimy w tzw. nadbudowie.

— Pan te cechy posiada?

— Próbuje się ich uczyć.

— Na jak długo przewiduje pan tę edukację?

— To trudno powiedzieć, chyba nikt nie jest w stanie tego określić. Będzie to chyba widoczne w moich filmach.

— Co składa się na warsztat filmowy?

— Moim zdaniem, jako początkującego filmowca: umiejętność inscenizowania, prowadzenia aktora i praca z nim, widzenie obiektywem kamery, myślenie w kategoriach montażowych, znajomość podstawowych elementów związanych z rejestracją dźwięku.

— A przed przystąpieniem do pracy nad filmem — wytyczenie celu i wybór odbiorcy tego, co powstanie?

— To pytanie może mi pan zadać za 10 lat, obecnie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Moim marzeniem jest, aby każdy widz śmiał się w tym miejscu, w którym ja sobie ten śmiech założę i aby zrozumiał z czego się śmieje.

— A jeżeli dzieje się odwrotnie?

— To znaczy, że reżyser pomylił się lub też widz poszedł na niewłaściwy film.

— W trakcie realizacji filmu prowadzi pan dialog z samym sobą?

— Nie, jeżeli już, to przed kręceniem i po zakończeniu pracy. W każdym razie tak mi się zdawało przy ostatnim filmie. Nastrojam się na częstotliwość tego, co mam zrobić.

— Jakie filmy chciałby pan realizować?

— Czy pamięta pan serię takich filmów, jak: „Wszyscy ludzie prezydenta”, „Ten najlepszy”, „Zasady domina”? Są to bajki, zdające się wykorzystywać elementy rzeczywistości. Cała konstrukcja od początku do końca jest kreacją. Taki gatunek powinien być uprawiany u nas. W szkole filmowej uczą nas, że możemy takie filmy robić. W ten sposób pomyślałem o swo-



Paweł Pitera i Piotr Fronczewski na planie filmu „Sen o Violetcie”

## Wolę widzieć czarno...

Z PAWŁEM PITERĄ, rozmawia BOHDAN GADOMSKI

im filmie „Placówka 70”. Takim wydawał mi się film Krzysztofa Kieślowskiego „Przypadek”.

— I takie filmy najchętniej ogląda pan w kinie?

— Tak, bo jak każdy widz najłatwiej jest mi utożsamiać się z ludźmi, którzy wywodzą się z mojego otoczenia i własnych doświadczeń.

— Co sądzi pan o robieniu filmów dla tzw. szerokiego odbiorcy?

— Szeroki odbiorca filmów musi istnieć, bo inaczej kinematografia zbankrutowałaby. Tylko czy niedobre filmy zrobione z metryką dla szerokiego odbiorcy będą pamiętane za rok czy pięć lat? A może w ogóle o nich się zapomni.

— Scenariusze do swoich filmów pisze pan sam?

— Sam, bo twierdzą, że poza 4-5 nazwiskami scenarzystów filmowych, ich autorzy nie mają poczucia medium, nie czują czasu filmowego. Wolę mieć dobrą maszynistkę, wtedy będę mógł pisać scenariusz.

— Skąd czerpie pan temat?

— Z prasy i reportaży. Chciałbym np. zrealizować film o losie najnowszej emigracji polskiej. Ale póki co — mogę te plany włożyć do teczeki z napisem „Marzenia po polsku”.

— Zostaniemy więc przy „Marzeniach po polsku”, bo taki pierwotny tytuł nosił dyplomowy film w pana reżyserii. Jak narodził się pomysł realizacji filmu „Sen o Violetcie”, o którym dużo pisano i mówiono, nie tylko z uwagi na udział legendarnej gwiazdy?

— Początkowo pomysłem na ten film było minipowiadanie młodego robotnika pt. „List do Beaty Tyszkiewicz”, opublikowane w „Literaturze”. Myślałem o zrobieniu takiego filmu o Beatce Tyszkiewicz i o tym jak by to było, gdyby filmowa gwiazda zamieszkała z wielbicielem-robotnikiem. Poznałem w międzyczasie kilka samorodnych talentów aktorskich, wśród nich Janusza Kłosińskiego (nie mylić z aktorem), elektryka z Warszawskich Zakładów Eksploatacji Kruszywa, który miał talent literacki, był autorem kilku monodramów, za które zebrał nagrody. Kłosiński jest idealnym przykładem przeciętnego Polaka. A jeżeli szczytem jego marzeń jest willa i Villas, to obraz tych marzeń jest już dość wyraźnie określony.

— Skąd wybrał pan życiorys bohatera filmu?

— Z autentycznego życiorysu odtwórcy roli Jana Karolska oraz z naszej rzeczywistości i tego, co sam sobie dopowiedział oraz z mojej wyobraźni.

— Świat marzeń hydraulika Karolaka zdaje się pan znać wyjątkowo dobrze. Skąd?

— No właśnie. Ponadto ten świat sam wykreowałem. Pozostaje tylko pytanie — czy ja przekonam widza czy nie. Specjaliści od marzeń prostych ludzi akurat nie robią filmów.

— Ale w pana filmie będzie to wszystko pokazane w krzywym zwierciadle?

— Tak, bo inaczej nakręciłbym niezwykle ponury film.

— Lubi pan pokazywać takie skrzywienia naszej rzeczywistości?

— Bardzo.

— Pozostaje teraz przyczyna wyboru drugiego bohatera filmu — idola z polskich mass-medów. Idolem Jana Karolaka była Violetta Villas. A pana?

— Wie pan, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale nie była nim na pewno Violetta Villas.

— Ale wybrał pan właśnie Villas?

— Tak, zrobiłem to z premedytacją i na zimno.

— Angaż Violetty Villas do filmu i wydobycie jej z zakratowanej willi w Magdalence można nazwać wyczynem. Znając krewką artystkę i będąc jej najwierniejszym biografem, przyszedł panu medal za odwagę. Naprawdę nie bał się pan tego — co może go spotkać w Magdalence?

— Nie. Nie interesowało mnie wewnątrz duszy pani Violetty Villas i to, jaka jest dziś. Zainspirowała mnie taka, jaką zna przeciętny



„Sen o Violetcie”

Foto: Janusz Zachwajewski

Polak. Uważam, że Villas jest jedyną z polskich gwiazd, której udało się stworzyć wokół siebie autentyczny mit. W wyobraźni widziałem scenę, w której Villas w wieczorowej sukni, brokatowych rękawiczkach i futrze z norek mieszka wapno. Ta scena weszła do filmu.

— Jaką okazała się Villas we współpracy na planie?

— Wykonywała to, o co ją prosiłem, nie miała trudności z aktorstwem, bo grała przeciw siebie samą siebie. Inaczej miała się rzecz z jej zachowaniem poza planem, ale o tym mógłby opowiedzieć kierownik produkcji filmu, który wspomina spotkanie z Villas jak koszmarny sen.

— Pomysł ubrania-przebrania, umalowania-charakteryzacji, uczesania — miliony pukli, należy do pana?

— Nie, Villas pokaże się taka, jaka chciała być.

— A co by było, gdyby mimo tego niesłychanie „wykwintnego” opakowania pokazała się bez dwóch zębów na przódzie, które akurat się wykruszyły?

— Namówiliśmy ją, aby czym prędzej te zęby wstawiła.

— Co śpiewa na ekranie?

— W początkowej sekwencji filmu wokalizą z przeboju „Spójrz prosto w oczy”, w scenie finałowej (show telewizyjnej) jeden ze swoich najbardziej kiczowatych przebojów „Pucybuta z Rio”. W międzyczasie „To mówią marakasy” i autorską piosenkę (fragmenty) „Mechaniczna lalka”.

— Sądzi pan, że wciąż Hożni wielbiciele gwiazdy będą i dziś usatysfakcjonowani jej obecnym wizerunkiem?

— Domyślam się, że jednak tak.

— Jaki naprawdę jest pana stosunek do Villas?

— Zawodowo in plus. Prywatnie nie mam zdania.

— Bol się pan głośno powiedzieć, więc nie będę na siłę wyciągał opinii reżysera o swojej aktorce. Później przystąpił pan do pracy nad nowym filmem „Szkmatulka z Hongkongu”. O czym będzie opowiadał?

— Film „Szkmatulka z Hongkongu” nakręciłem w oparciu o opowiadanie kryminalne Sławomira Sierackiego, które opowiada historię walki dwóch przyjaciół — gdańszczanina: Polaka — celnika i Niemca — reportera z gangiem przemytników narkotyków. Grają te role: Piotr Garlicki i Piotr Fronczewski. W trakcie pisania fabuły do filmu narodziła się postać trzeciego bohatera — prywatnego detektywa, którego zagrał Stefan Friedman.

— Zrobił pan kolorowy komiks, takie ładne, stylowe obrazy z sensacyjną fabulką. Skąd taki dysonans między tym, co pan robił w szkole i na dyplomie, a tym, co serwuje teraz, jako profesjonalista?

— Akurat miałem gotowy ten scenariusz, a że byłem rozgrywany po pierwszym filmie, postanowiłem zrobić drugi film — w odmiennym konwencji, w odmiennym stylu, aby sprawdzić — czy również mogę zrealizować film robiony wg klasycznych reguł reżyserii, tak różnych od filmu parodokumentalnego.

— „Szkmatulka z Hongkongu” zapowiadana jest jako serial TV. Przed panem więc co najmniej rok czasu spędzony w towarzystwie komiksowych historii. Czy trochę nie za długo jak na ambicje w dążeniach do robienia zupełnie innego kina?

— Miejmy nadzieję, że po roku będę mógł robić inne kino. Myślę o filmach politycznych, parodokumentalnych, prawdziwych, społecznych, w których będę opowiadał o tym, co dzieje się tu i teraz.

— Podobno jeden z kandydatów na bohaterów kolejnych odcinków „Szkmatulki z Hongkongu”, bardzo utalentowany aktor i wspaniały aparycyjnie Janusz Borkowski, który w swoim 22-letnim życiu przeżył kilka dramatycznych historii, mogących się kwalifikować na pomysły filmowe, przedłożył panu te propozycje?

— Tak. Jeżeli te opowiadania, które Janusz Borkowski spisuje dla potrzeb filmu, okażą się problemami i kłopotami, jakie ja odczuwam i znaczą coś w tym kraju, w tym społeczeństwie, to wezmę je jako temat na kolejny film. Wierzę bowiem w historie, które napisało życie.

— A główną rolę, samego siebie zagra Janusz Borkowski?

— Oczywiście.

— Nie zamierza pan reżyserować w teatrze?

— Chyba bym nie umiał.

— Co jest najtrudniejsze w zawodzie młodego reżysera?

— Wszystko.

— Ale Pan z natury jest optymistą?

— Wolę widzieć czarno, aby się po prostu miło rozczarować.

— Co w najbliższych planach?

— Czy ktoś w Polsce jest w stanie powiedzieć co stanie się za tydzień?



## KONKURS NA REPORTAŻ

### KRAJOBRAZY I PROFILE

Redakcja „Walki Młodych” przy współudziale Zarządu Głównego ZSMP, Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Młodzieżowej Agencji Wydawniczej ogłasza doroczny konkurs z cyklu „Krajobrazy i Profile”.

Ubiegłorocznej edycji towarzyszyło hasło „Labyrinth polski”, a uzyskany drogą konkursu materiał składał się na skomplikowany obraz przewartości, dramatycznych nieraz wyborów i poszukiwania wyjścia z labiryntu. W tym roku proponujemy hasło:

#### SKĄD I DOKĄD

pragnąc w ten sposób zwrócić uwagę na doświadczenia, które już mamy za sobą i na przyszłość, którą dziś kształtujemy. Oczekujemy zatem na reportaże, które złożą się na krajobraz kondycji młodego pokolenia, jego oczekiwań, postaw, działań, barier, które napotyka. Oczekujemy na portrety ludzi aktywnych, którzy wiedzą SKĄD i DOKĄD idą, którzy odnaleźli swoje miejsce na ziemi, ale i tych, którzy nadal mają trudności w przewidywaniu urażeń, zawiedzionych nadziei i których cechują postawy wycofywania.

Konkurs rozpoczyna się w roku 40-lecia Ludowej Rzeczypospolitej, w okresie utrwalania się nowych rozwiązań w życiu publicznym, wdrażania reformy gospodarczej, postępującej stabilizacji wewnętrznej. Jest to czas sprzyjający refleksji nad przebytą drogą, a zarazem czas decydujący o przyszłości.

Termin nadsyłania prac upływa 30 listopada br. Na konkurs można nadsyłać wyłącznie prace dotychczas nie publikowane o objętości do 15 stron maszynopisu w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem z dopiskiem na kopercie „Skąd i Dokąd”, pod adresem „Walki Młodych” 00-920 Warszawa, ul. Smolna 40.

Jury, którego skład zostanie podany w późniejszym terminie, rozdysponuje następujące nagrody:

I nagroda w wysokości — 30 000 zł  
dwie nagrody II po 20 000 zł  
trzy nagrody III po 10 000 zł  
oraz pięć wyróżnień po 5 000 zł.

Wyokość nagród może ulec zmianie, z tym, że łączna suma przyznanych wyróżnień nie będzie zmniejszona.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo wydrukowania w „Walki Młodych” oraz w wydaniu książkowym przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą utworów nagrodzonych i innych wytypowanych przez Sąd Konkursowy — za oddzielnym honorarium autorskim.

## 75 LAT KONSTANTYNOWSKIEGO STOWARZYSZENIA ŚPIEWACZO-MUZYCZNEGO IM. F. CHOPINA

8 grudnia 1908 roku grupa mieszkańców Konstantynowa w osobach: W. Sulński, bracia Z. i B. Kłosowie, S. Świerczyński, M. Lewandowski, S. Rędzikowski, K. Basiński, S. Jaskiewicz i W. Kanar był inicjatorami i organizatorami polskiego chóru „Zespołu Śpiewaczy”.

Warunki, w jakich działał chór, były niezwykle ciężkie. Zapisy w kronice stowarzyszenia w latach I wojny światowej są takie: „Pierwsze lekcje śpiewu prowadzone były wszędzie, gdzie tylko było można; na cmentarzu, w gospodzie, w kościele prywatnych domach, aby tylko nie paść na duchu, nie stracić zapału, wytrwać jak żołnierz na posterunku i nie dać się porwać burzy, jaka szalała na całym świecie i nad Polską”. Chór polskich śpiewaków istniał, śpiewał, choć im na głowę ciężka woda, choć im zimno było i wytrwał zaszczytnie aż do zwycięstwa.

W 1921 roku „Chór Polskich Śpiewaków” przyjął nazwę, która do dziś brzmi „Konstantynowskie Stowarzyszenie Śpiewaczo-Muzyczne im. F. Chopina”. W latach 1923-24 został ufundowany sztandar stowarzyszenia. W 1928 roku, zarząd zakupił plac przy ulicy Zgierskiej, pod budowę własnego lokalu, którego budowę rozpoczęto w 1933 roku, a rozbudowano w 1961 roku.

W okresie okupacji lokal zajęła niemiecka żandarmeria — wielu członków stowarzyszenia nie uniknęło więzień i przesładowań, a w obozach koncentracyjnych zginęli: Wiktor Wesołowski, Czesław Fisiak, Aleksander Jach, Ignacy Świerczyński i Stanisław Sprusiński.

W 1946 roku, po odzyskaniu lokalu, stowarzyszenie wznowiło oficjalną działalność i przeżywało okres ponownego rozkwitu. Chór występował podczas uroczystości narodowych i świąt państwowych, na akademiiach i innych spotkaniach. Bierze również udział w festiwalach pieśni chórnych, przeglądach zespołów instrumentalnych i wokalnych, centralnych i ogólnopolskich konkursach, turniejach chórnych.

Wyrazem uznania za udział i zajmowanie czołowych miejsc w tych imprezach są przyznawane chórowi dyplomy i nagrody. Stowarzyszenie jest inicjatorem i organizatorem Festiwalu Pieśni Chórnych woj. łódzkiego i tradycję tego festiwalu kontynuuje do dnia dzisiejszego.

W 1973 i 1977 roku chór wyjeżdżał na koncerty do Czechosłowacji, a na zaproszenie stowarzyszenia, Chór Studentów Wydziału Wychowania Muzycznego z Usti nad Labą przybył do Konstantynowa, reprezentując bogaty i urozmaicony program kompozytorów czeskich, radzieckich i polskich.

Od 1963 roku stowarzyszenie jest członkiem Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych Oddział w Łodzi.

W 1973 roku, w 70-lecie istnienia, dokonano fundacji nowego sztandaru, który godnie reprezentuje stowarzyszenie na wieńcu krzewienia i oświeblania kultury muzycznej i śpiewaczej.

W 1982 roku stowarzyszenie przystąpiło do Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych województwa łódzkiego.

## „KOBIECY LATAŁY NA SAMOLOTACH”

W swoim artykule I. J. Chojnacki stwierdza, że p. Anna Leska otrzymała w Rumunię rozkazem Naczelnego Wodza — nominację na podporucznika pilota czasu wojny. Jest to o tyle nieprawdą, że stopień por. pil. czasu wojny otrzymała w momencie mobilizacji do Eskadry Sztabowej Naczelnego Dowódcy Lotnictwa. W tygodniku „Skrzydła Polska” nr 10 z dnia 8.03.1981 roku red. Tadeusz Malinowski przeprowadził rozmowę z Panią Leską-Daab, w której Pani Leska stwierdza:

...Wtedy mój czas lotu na samolotach wyniósł około 23 godzin. Wykonywałam je sama bądź z oficerem łącznikowym (z piechoty). Posługiwałam się jedynie niewielkim dokumentem, który stwierdzał, że byłam podporucznikiem-pilotem czasu wojny.

A zatem, jeżeli w 1939 roku Anna Leska była por. pil. czasu wojny, to nie musiała być ponownie mianowana na ten stopień przez Naczelnego Wodza PSZ.

Kobiety służące w Pomocniczej Lotniczej Służbie Kobiet PLSK nie nazywano „wafkami” jak chce Autor, ponieważ to określenie odnosiło się do kobiet służących w WAAF. Polki były nazywane od skrótu PLSK „pestkami”.

Dalej Autor podaje, jakoby część ochotniczek kierowana była do Polish Technical Training School w Locking koło Sommerset. Takiej szkoły niestety nie było. Istniała RAF no 1 School of Technical Training w Halton, która od 31 lipca 1942 roku posiadała sekcję polską. Od połowy czerwca 1944 r. w polskiej sekcji szkolono kobiety. 9 lipca 1945 r. szkoła została usamodzielniona na lotnisku Cammeringham pod Lincoln i nosiła nazwę: No 16 School of Technical Training (Polish). W szkole tej od lipca 1942 r. przeszkolono 52 kobiety z PLSK.

W podrzędiale pt. „Polka na czele eskadry kobiecej ATA” czytamy:

„Od wiosny 1943 r. najdłuższą latającą w charakterze pilotki „ferry” w ATA por. pil. Anna Leska została dowódczynią (?sic!) eskadry kobiecej, w której latało osiem pilotek: pięć Angielek, Amerykanka, Argentynka i Chilijka. Anna Leska należała do tych pilotek, które rozpoznały największą maszyną na lotnisku szkolne i bojowe podczas wojny. W wojnie na czterdziestu typach samolotów wylatała 1.241 godz. przeprowadzając ponad tysiąc dwieście samolotów, w tym 557 myśliwskich „Spitfire” różnych wersji, 100 dwusilnikowych De Havilland „Mosquito”, 75 amfibii „Walrus” oraz wiele innych maszyn dwusilnikowych, jak: „Wellington”, „Dacoty”, „Mitchelle” i „Hudsony”.

Redakcyjny wstęp w „Skrzydlatej Polsce” — przed wywiadem z Panią Anną Leską-Daab, red. Malinowski zaczyna w ten sposób:

...Od 1943 r. była dowódcą jednej z eskadr stacji kobiecej ATA w Hamble. Z trzech Polek rozprawiających samoloty pracowała najdłuższą i dostarczyła najwięcej samolotów... Ogółem rozprawiała 1.295 samolotów w tym 557 Supermarine Spitfire (od mk I—XVIII), latała na 93 typach samolotów oraz wodnosamolotów. Łącznie przebyła w powietrzu 1.392 godziny, w tym 1.241 godzin w okresie wojny. Latać przestała w 1955 roku. Za wyjątkowe wyniki w służbie otrzymała wiele odznaczeń polskich i angielskich, w tym Medal Królewski... Miała stopień porucznika pilota i przyznana rozkazem polską odznakę pilota wojskowego. Po zakończeniu wojny wyszła za mąż za Mieczysława Daab, oficera dywizjonu 300. Mieszka w Warszawie.

Lotnicy wiedzą kim był Mieczysław Daab i jakie były jego losy. Natomiast Autor, gwoździ popularyzacji spraw lotniczych — nie nie wspomina na ten temat. Dodam tylko — że por. obs. Mieczysław Daab brał udział w Wojnie Obronnej Polski jako obserwator eskadr rozpoznawczych 4 PL w Toruniu, a następnie po przybyciu do Anglii latał bojowo w 300 dywizjonie bombowym. Zestrzelony nad Niemcami w listopadzie 1941 r. dostał się do niewoli niemieckiej, z której wrócił po zakończeniu wojny do Anglii, a następnie w 1947 roku powrócił do Polski. Zmarł w Warszawie dn. 10.08.1980 r.

Ponieważ Autor w swoich polemikach uważa, że powodowany jestem jakąś osobliwą niechęcią do Niego i złośliwością, pozwalam sobie wyrazić uwagę ograniczyć do faktów, które i tak mówią same za siebie.

Nie wiem również, jaki związek z lataniem na samolotach miała Pani dr Wasilewska-Swidowa, wielka Polka i patriotka? Po pierwsze Pani dr Wasilewska-Swidowa nie zajmowała się haftowaniem sztandaru, po drugie nie stała na czele zespołu, po trzecie Siostry Benedyktynki nie pomagały w haftowaniu sztandaru. Prawda wyglądała w wielkim skrócie tak: w styczniu 1940 roku kpt. pil. Jan Hryniewicz wraz z dwoma podchorążymi: K. Karasewskim i J. Wojdą przy współudziale kpt. pil. Tadeusza Żeligowskiego (syn Generała) przekazali do Wilna tajną pocztą z Francji projekt sztandaru na ręce dr Wasilewskiej-Swidowej. Dr Swidowa porozumiała się z ks. dr Kazimierzem Kucharskim, który objął „dowodzenie” całą akcją. Postanowiono utworzyć zakamuflowany Komitet Towarzystwa Samopomocy Obywatelskiej, który pod przewodnictwem Pani Oskierczyny prowadził kwestę na sztandar. Po zdobyciu materiałów potrzebnych do wykonania sztandaru — część pracy wykonywały siostry Benedyktynki, natomiast hafty główne sztafował (Matka Boska Ostobramska i wizerunek św. Teresy wykonany został w zakładzie Pań św. Kazimierza przy ul. Mostowej w Wilnie). Pani dr Wasilewska-Swidowa była w okresie wojny polsko-radzieckiej 1920 roku znaną lekarką i wraz z oddziałami gen. Żeligowskiego przeszła wszystkie koleje losu tamtej wojny. Inicjatorka wielu czynów społecznych, bezinteresowna działaczka społeczna — znana była w całym Wilnie ze swej dobroci, szlachetności i wielkiego serca. Po zakończeniu wojny pełniła funkcję koordynatora wszystkich działań, spotykała się z pracownikami wywiadu, którzy w Berlinie zakupywali złoto i srebrne nici do haftu, którzy z przydziałów gestapo dostarczali biały i czerwony adamaszek.

W pogrzebie dr Wasilewskiej-Swidowej, który odbył się w Chełmży, udział wzięła delegacja Dowództwa Wojsk Lotniczych, która na grobie Wielkiej Polki i zasłużonej dla lotnictwa działaczki złożyła wieńiec z biało-czerwonych róż w formie szachownicy. Przemówienie pożegnawne w imieniu gen. dyw. pil. Raczkowskiego wygłosił por. pil. Moryc. Obecny na pogrzebie był również inicjator sztandaru — mjr pil. w st. spocz. Jan Hryniewicz i mjr pil. w st. spocz. Tadeusz Żeligowski. Obecny był również mieszkający w Polsce jeden z ówczesnych podchorążych, projektant i rysownik — mjr pil. rez. Kazimierz Karasewski.

Ze kobiety latały na samolotach — nie jest żadną rewelacją. Autor zapomniał widocznie, że w polskim lotnictwie wojskowym kobiety latały po dzień dzisiejszy. Ze wspomnę siostry Irenę i Wirginie Sosnowskie (Irena zakończyła służbę w stopniu pil. pil.), Bronisławę Halińską — instruktorka pilotażu w OSL Dęblin, czy Zofię Dziewiszek-Andrychowską — która w stopniu pil. pil. lata do chwili obecnej.

HUBERT KAZIMIERZ KUJAWA

## NA INNYCH ZASADACH

Nowa ustawa z 20 lipca 1983 r. o systemie rad narodowych i samorządów terytorialnych wychodzi naprzeciw oczekiwaniom mieszkańców miast i wsi. Rozdział 13 art. 153 i 154 ustawy wyraźnie precyzuje zakres działalności samorządu mieszkańców.

Samorząd Mieszkańców sprawuje funkcję opiniodawczą, konsultacyjną, koordynacyjną oraz kontrolną (art. 153 ust. 2) nad działalnością jednostek organizacyjnych związanych z warunkami życia mieszkańców. Ustanowiono między innymi obowiązek zasięgnięcia opinii samorządu mieszkańców w różnych jakże istotnych sprawach dotyczących planu społeczno-gospodarczego miasta, dzielnicy i gminy; planu zagospodarowania przestrzennego; innych projektów uchwał rad narodowych w części dotyczącej osiedla i sołectwa (art. 154, ust. 2) oraz propozycji przeznaczania lokali użytkowych i lokalizacji zakładów, których działalność może być uciążliwa dla otoczenia (art. 163 ust. 2 i art. 169 ust. 2).

Podniesiono do rangi ustawowej a zarazem rozszerzono na samorząd mieszkańców miast — prawo wniesienia do prezydium rady sprzeciwu wobec decyzji terenowych organów administracji i podległych im jednostek — naruszających istotne interesy mieszkańców (art. 156 ust. 1). Na prezydium rady spoczywa obowiązek podjęcia interwencji w danej sprawie. Jeżeli interwencja okaże się nieskuteczna wówczas prezydium będzie wstrzymywało realizację kwestionowanego rozstrzygnięcia i przedstawienia sprawy radzie narodowej celem podjęcia ostatecznej decyzji na sesji rady (art. 156 ust. 2).

W myśl nowej ustawy (art. 157 ust. 1 i 2) samorząd mieszkańców ma prawo do tworzenia swoich własnych funduszy, które będą się składały z wydziałonych przez rady narodowe środków finansowych, dobrowolnych wpłat z zakładów, organizacji i samych mieszkańców, jak również innych przedsięwzięć uzyskanych przez samorząd.

Warunki lokalowe, administracyjno-techniczne, finansowe — mają zapewnić właściwe terenowe organy administracji państwowej o właściwości ogólnej (art. 160).

Przedstawiłem jedynie niektóre ważniejsze artykuły i punkty wspomnianej ustawy, a resztę dopisze samo życie, praktyczna realizacja w terenie przez samorząd mieszkańców, instytucje i czynnikii wspomagające jego działalność.

W chwili obecnej zarysowują się pewne luki w odniesieniu do praktycznej realizacji poszczególnych punktów samej ustawy. Zanim jeszcze powstaną samorządy na nowych osiedlach w zasadzie plany przestrzennego zagospodarowania są w dużej mierze zrealizowane, zagospodarowywane. Podejmowane decyzje, opinie w oparciu o faktyczne potrzeby mieszkańców przez nowy samorząd — napotyka bariery nie do pokonania. Stąd również wpływa cała masa skarg, postulatów i wniosków niekiedy całkiem słusznych i uzasadnionych, lecz jakże trudnych w realizacji. Dotyczą one głównie działalności, lokalizacji placówek usługowo-handlowych niereaktywnych z odczuciem samych mieszkańców osiedla. Wpływają ujemnie na dalszą perspektywę rozwoju, integracji samych mieszkańców, inicjatyw społecznych w tym zakresie.

Nasuwa się zasadnicze pytanie: w jaki sposób uniknąć na przyszłość tego rodzaju decyzji nie konsultowanej z mieszkańcami.

Czasami bywają to drobne sprawy, jak np. niewłaściwe usytuowanie kiosku, przesłaniającego widoczność mieszkańcom danego bloku. Niekiedy dymiące kominy, wylęwy, nieprzyjemne zapachy występujące w obrębie zabudowy mieszkalnej. Niewłaściwy wystrój prywatnych zieleniaków — szpecących całe osiedla, ich przypadkowa lokalizacja. Bywają jednakże i poważniejsze problemy, sprawy wynikające z braku rozeznania i wyobraźni w dalszym perspektywnym rozwoju osiedla. Mam tu na myśli chociażby usytuowanie sklepów branży przemysłowej na ciągach komunikacyjnych zamiast sklepów z artykułami pierwszej potrzeby, do których zaliczamy w szczególności sklepy z artykułami spożywczymi, a nie przemysłowymi. Tego rodzaju placówki handlowe owszem są potrzebne, pod warunkiem, że mamy dostateczną ilość sklepów spożywczych, nabiałowych, rybnych, warzywno-owocowych. Artykułami przemysłowymi nie załatwia się potrzeby ludzi. Zwykle świecą one pustkami, bowiem i z zaopatrzeniem jest trudniej.

Zupełnym nieporozumieniem wydaje mi się usytuowanie sklepów meblowych, kiosków „Ruchu” na parterze wieżowców zamiast zlokalizować wolno stojące kioski „Ruchu”, a pomieszczenia przeznaczyć chociażby na drobne usługi, których brakuje na każdym nowym osiedlu. Niekiedy osiedla rozwiązały powyższe problemy w sposób właściwy ku zadowoleniu mieszkańców i użytkowników, inne nie. Nadal borykają się z piętrzącymi się trudnościami, drepając w miejscu.

Wiele jeszcze spraw i problemów pozostaje do rozwiązania, załatwienia na dziś i na jutro. Społeczność miejska i wiejska sama pragnie decydować o swoich sprawach, lecz bez właściwego zrozumienia, pomocy ze strony zainteresowanych czynników, instytucji — niewiele może zdziałać nawet najlepszy samorząd, komitet osiedlowy, domowy w oparciu chociażby o najlepszą ustawę.

W żadnym wypadku samorząd mieszkańców, komitet osiedlowy, domowy nie może być „sztydem” lub „tarczą ochronną” dla działalności nie mającej nic wspólnego z odczuciem samych mieszkańców. Powinni uzmysłowić sobie wszyscy bez wyjątku, że tylko i wyłącznie prawdziwe, aktywne zaangażowanie może ewentualnie przynieść jakieś korzyści na rzecz poprawy warunków mieszkalno-bytowych mieszkańców. A o to chyba nam głównie chodzi, o nie więcej.

WLADYSŁAW BISZEWSKI

## POWSZECHNE ZDZICZENIE OBYCZAJÓW!

Na kolonich letnich ze wspólnego garnka korzystają bezpłatnie — i nieźle żyją, całe rodziny „funkcyjnych”. Ajent okrada dzieci, okrawając porcje. Pierwsze miejskie pokolenie wstydzi się swoich rodziców na wsi, co nie przeszkadza na jesieni brać za darmo ziemniaki i wywozić rabanek. Zarzuty pod adresem „ich” nie przeszkadzają również w tym, że „Staśka kobyty siostry mąż” wynosi z zakładów, co się da, że szwagier korzysta z „dojścia” do lodówek i dywanów, przez co w systemie wymiennym jest zupełnie nieźle zaopatrzony. Ze babcia-emerytka wystaje w kolejkach i zakupione deficytowe towary natychmiast sprzedaje z zyskiem na rynku przy ul. Dolnej, co nie ma oczywiście nic wspólnego z narzekaniami na system, zaopatrzenie i prywatne! Ze decydent mając do wyboru załatwić pozytywnie lub negatywnie — na wszelki wypadek załatwia negatywnie, by nikt go nie posądził o zainteresowanie i „lewe” dochody. Ze lekarze mają swoich pacjentów, którzy opłacają się w dolcach („na papierosy to już mam...”), że personel karettek pogotowia rabuje mienie pacjentów.

I ci niewyżyci w swych zapędach nauczyciele, którzy w 1980 roku wbiłali nawet pierwszoklasistom do głowy „...jak długo jeszcze władza nie będzie spełniała naszych słusznych żądań?”

Dyrektorzy, którzy nie nie rozumieeli, nie rozumieją i nie będą rozumieeli, a którzy artystów o kilkudziesięciolietnim stażu scenicznym powiadają o przejściu na emeryturę zdawkowym piśmiem.

Ci kierownicy autobusów, zamykający drzwi przed nosem nadbiegających pasażerów, urzędnicy pokazujący, co też oni mogą, administracje domów, w których kompetencjach nie — zdaloby się — nie leży. Zarządzający cmentarzami, którzy żądają po 100 tys. zł za miejsce w „lepszej” kwaterze.

Wszyscy, żerujący na nieszczęściu ludzkim, patrzący jedynie na rękę potrzebującego i gotowi do minimum wysiłku za maksimum zapłaty.

To „oni” są wszystkim winni! Ja i moja rodzina — to tabu! Ze tam coś się kłedy przydarzyło? Przypadkiem! O czym tu mówić — to przecież zawinione przez „nich” okoliczności nas do tego zmusiły!

A przecież nie za darmo! Przecież ta zabawa przypomina „komórki do wynajęcia”; raz z tej, raz z drugiej strony stołu!

Jako naród jesteśmy zupełnie znośni. A to zrywy patriotyczne, a to „Polak potrafi”. Kraj katolicki, duma z papieża-Polaka. Co niedziela tłumy w kościołach, w dyskusjach pełne poparcie dla nieskazitelnej postawy własnej i swojej rodziny. Na niedzielę. A na co dzień, a rzeczywistość?

DAJ — DAJ, jeśli potrzebujesz — daj! Pieniądz wprawdzie zdevaluowany, lecz gorsza od tej — dewaluacja pojęć i postaw.

Kościół straszy wiecznym potępieniem za grzechy. Marksisci odwołują się do świadomości, system prawny też straszy, lecz widuć — są to „strachy na Lachy”, bo niewiele się zmienia. Ani u tych „kościelnych”, ani u tych „partyjnych”. Bowiem chodzenie do kościoła (często na pokaz dla sąsiadów), ani legitymacja samo przez się niczego nie załatwia, szczególnie — gdy sprawa o zwykłe, codzienne świństwa...

Czy więc nie ma ratunku?

Jest! W nas. Jeśli zachowaliśmy resztki rozsądku i własnej godności — to niezależnie od „orientacji” i poglądów — sedno ocen powinno być takie samo.

„Człowiek człowiekowi wilkiem...”

W. AFELT



24

12-letnia Andrea z Gardner w stanie Massachusetts poznała Dawida Partridge na zabawie sylwestrowej. Przedstawiła go jej siostrze, którą znała już dawno. Nad ranem Dawid i jego siostra zaproponowali Andrei, że odwiozą ją do domu. Dawid odwiózł najpierw siostrę, a potem zapytał Andreę czy może wstąpić do niej na kawę. „Miałam zaufanie do jego siostry, dlaczego więc miałam jemu nie ufać? — oowiadała później. — Przez cały wieczór był taki miły, taki uprzejmy”. Ale gdy tylko przekroczył próg mieszkania dziewczyny, zmusił ją do współżycia płciowego. Andrea postanowiła oddać sprawę do sądu. Okazało się, że został zwolniony warunkowo (odsładywał karę za gwałt) zaledwie na tydzień przed poznamiem Andrei. Kilku uczestników zabawy zeznawało w sądzie, że widzieli jak Andrea pła i długo rozmawiała z Dawidem. Sąd uniewinnił gwałciiciela. Ostatnio jednak znów stanął przed sądem pod zarzutem zgwałcenia 13-letniej dziewczynki. „Chce mi się płakać, gdy myślę o tej biednej małej i o tym co przeżyła” — mówi Andrea.

Cztery tysiące lat temu kodeks Hammurabiego utrwalił w kamieniu niewolniczy status kobiety i prawa babilońskie na nią złożone. Wiele innych stanach opracowuje się podobne ustawy. Na mocy ustawy wprowadzonej w 1975 roku w stanie Minnesota ofiara nie musi już udowodnić, że stawiała opór i nie potrzebuje potwierdzenia swych zeznań. Władze hrabstwa, na którego terenie dokonany został gwałt, muszą opłacić koszty badania lekarskiego. Ponadto wyrok jest teraz mniej subiektywny, gdyż kara jest proporcjonalna do charakteru zadanych obrażeń.

Co więcej, w stanie Minnesota i w wielu innych stanach wprowadzono przepisy o tzw. ochronie ofiary, na mocy których obrońcy gwałcieli nie mają prawa dochodzić jakie było dotychczasowe życie seksualne poszkodowanej kobiety. Dzięki temu kobiety nie są już narażone na upokorzenie przed sądem, nie muszą wysłuchiwać dowolnych ocen swej moralności. W wielu urzędach prokuratorskich powołano specjalne wydziały, które same przeprowadzają dochodzenie, oszczędzając poszkodowanej denerwujących rozmów i przesłuchań. W Filadelfii, gdzie mianowano w 1978 roku 11 okręgowych prokuratorów do spraw gwałtów, liczba wyroków orzekanych wobec gwałcieli wzrosła dwukrotnie od 1977 r. Podobnie jest w innych miastach. W Manhatta-

nie przeciętą wskaźnik wyroków za gwałt wynosił w ostatnich latach 80 procent, a w Los Angeles — 85 procent.

Bert Graham, przedstawiciel biura prokuratora okręgowego w Houston, stwierdza, że zaobserwował pewien zwrot w postawie sędziów.

— Dawniej sędziowie dość sceptycznie podchodzili do ofiar gwałtów. Zawsze starali się wykryć jakiś szczegół, który pozwoliłby ustalić, że w danym przypadku chodziło o zwykłą orgię, a nie o gwałt. Obecnie opowiadają się raczej po stronie skarżących.

## Home, sweet home...

Również policja inaczej traktuje ofiary gwałtów. Młodzi funkcjonariusze otrzymują odpowiednie instrukcje jak mają się ustosunkować do takich osób, a w wielu miastach utworzono specjalne brygady do spraw gwałtów, złożone przeważnie z kobiet.

— Zarzucono już dawną zasadę, że kobieta sama jest sobie winna — mówi detektyw z Seattle, Spencer Nelson.

Usprawniono także technikę w szpitalach, gdzie z powodu niebałstwa często traciło się okazje uzyskania ważnych dowodów. Ekspert z ośrodków kryzysowych ma wykłady w szkołach medycznych. W wielu szpitalach gromadzi się obecnie dowody w postaci włosów, części odzieży, wydzielin itp.

W całym kraju powstają zespoły terapii grupowej dla przestępców seksualnych, jakkolwiek eksperci nie są zgodni co do tego, czy chronić rezydualnie nadają się do leczenia. Klądzie się przede wszystkim nacisk na to, by gwałcieli uświadomili sobie jak dalece ponoszą odpowiedzialność za swe zachowanie, „Zawsze myślałem, że jestem dobrym chłopakiem — mówi 34-letni Walter, uczestnik grupy terapeutycznej w więzieniu w Lino Lakes w stanie Minnesota, który zgwałcił kobietę po nieudanej randce z inną. — Teraz nie mam złudzeń. Porządni chłopcy nie robią takich rzeczy”.

**D**zieci i młodzież stają się coraz bardziej agresywne w stosunku do dorosłych, w coraz większej liczbie współczesnych rodzin — jak obserwują psycholodzy — dochodzi do terroru psychicznego i rękoczynów dzieci przeciwko rodzicom. Zdaniem naukowców, winę za to ponoszą w znacznej mierze agresywne wzorce, jakich pełno w społeczeństwie, w którym rządzą przemoc, ale także niemały udział mają w tym „eksperymentalne” metody wychowawcze, lansowane w ostatnich 20-leciu.

W hamburskim tramwaju rozmawia dwóch 14-latków — uczniów — jak świadczą tarce na rękawach kurtek: „Kiedy odrabiam lekcje — mówi jeden — matka siedzi przy mnie ze szpicrutą”. „Bije cię?” — pyta drugi. „Zdarza się. A ojciec. Ten jak przytłoczy, to przestajesz czuć szczęście. Jak u dentysty...”. „Nie próbowałeś oddać?” „Co ty! Podnosił rękę na rodziców?”

Tego samego dnia w hamburskim sądzie dla nieletnich 14-letni Reinhart M. wyjaśniał, dlaczego jednak podniósł rękę na ojczyma. Nie mógł znieść jego „metod wychowawczych”. Dochodziło do awantur, obaj gozili sobie wzajemnie: „zabiję cię!” W wieczór sylwestrowy 1979 roku, gdy ojcym, pijany, znów znęcał się nad matką, Reinhart wsadził mu nóż w brzuch.

Wkrótce wyjdzie na wolność. Matka i jej mąż są gotowi przyjąć go z powrotem do domu, ale Reinhart nie chce. To on doprowadził mnie do tego. Przecież znowu będą awantury...”

Konflikty w rodzinie przejawiają się dziś już nie tylko w spuszczeniu lania synowi czy pobiciu żony. Coraz częściej są przypadki, że dzieci posuwają się do rękoczynów przeciwko rodzicom. Coraz częściej też zdarza się, że nie działają tylko — jak Reinhart — w obronie koniecznej, lecz uderzają pierwsze i to bez wyraźnego powodu.

Przejawy agresji przeciwko rodzicom są różne — od gróźb, aż do użycia broni. Oto kilka przykładów z praktyki psychologów i psychiatrów, specjalizujących się w problemach młodzieży:

— 15-latek za pomocą listów i pogroźkami wymusza od rodziców pieniądze na automaty do gry 17-letni chłopak ze złości na matkę porobił wszystkie meble i wyrzucił telewizor z okna trzeciego piętra.

— Ponieważ rodzice zamknęli mu motorower, 16-letni chłopiec kopnął matkę i schwył nóż na ojca. Innemu, 17-letniemu, zdarza się co kilka tygodni uderzyć matkę, ponieważ stale czyni mu wyrzuty i płacze.

— Kiedy 18-letniemu Dieterowi nie smakuje obiad, rzuca w matkę talerzem. 14-letni Hans strzelił do ojca, gdy strowował go przylapawszy na paleniu papierosów.

Według obserwacji zachodniobermberskiego psychologa, Karlheinz Kohla, bardzo wyraźnie nasila się ostatnio zjawisko agresji dzieci przeciwko rodzicom i to — jak twierdzi — „proporcjonalnie do rozszerzającej się emancypacji dziecka”. Jako główny psycholog w prowadzonym przez gminę ewangelicką w Berlinie Zachodnim internacie dla zagrożonej młodzieży, Johannes Stiff oraz jako biegły w sądzie dla nieletnich, Kohl spotyka się dziś z taką liczbą przypadków agresji wobec rodziców, która „jeszcze 20 lat temu byłaby nie do pomyślenia”.

Strach przed własnymi dziećmi skłania wielu rodziców do szukania pomocy w poradniach wychowawczych u psychologów i psychiatrów. Już prawie trzecia część ludzi zgłaszających się na poradę, przychodzi do nas dlatego, że rodzina nie może sobie poradzić z atakami ze strony dziecka — opowiada zachodniobermberski psycholog, Konrad W. Spral.

Działające niegdyś hamulce znacznie osłabły. Dzieci kopia, biją, znęcają się nad rodzicami i wywracają do góry nogami hierarchię w rodzinie — stwierdza psychiatra ds. młodzieży, Thomas von Villiez z uniwersyteckiej kliniki w Hamburgu. Olbrzymie nasilenie się agresji w formie rękoczynów, ale także w formie bardziej subtelnej presji psychicznej — stwierdza socjolog Hans-Peter Wolf, kierownik poradni rodzinnej w Marl. Próby terroryzowania rodziców występują już u wielu 10- i 11-latków.

O nowym rodzaju choroby społecznej, którą nazwali „syndromem bitych rodziców” („battered parents syndrome”) wspomnieli po raz pierwszy naukowcy amerykańscy. Psychiatrzy z Uniwersytetu Maryland, Henry T. Harbin i Denis J. Madden stwierdzili, że w obrębie czterech ścian rodzinnego domu maltretowane bywają nie tylko dzieci i żony. Coraz częściej ofiarami są rodzice. Powtarzają się przypadki rękoczynów lub przynajmniej groźby użycia siły wobec rodziców. Harbin i

Madden stwierdzili to we wszystkich warstwach społeczeństwa. Większość młodocianych agresorów mieściła się w przedziale wieku między 13 a 24 rokiem życia, ale znalazł się wśród nich także chłopiec 10-letni.

W 1979 roku, który — jak na ironię — był obchodzony jako „Międzynarodowy Rok Dziecka”, zespół socjologów amerykańskich — Murray Strauss, Richard Gelles i Suzanne Steinmetz — dostarczył licznych, mało pochlebnych przykładów z życia rodzinnego. „Za zamkniętymi drzwiami” („Behind Closed Doors”) — jak brzmi tytuł ich obszernego studium — rozwija się agresja, w której aktywnie uczestniczą wszyscy zainteresowani. Także dzieci i młodzież, które — obok kobiet — były dotąd tradycyjnie

solutną władzę. Ale nawet wówczas, gdy tyrania potomstwa przybiera drastyczne formy, rodzice bardziej niechętnie decydują się na szukanie pomocy poza kręgiem rodziny, Wykroczenie przeciwko czwartemu przykazaniu „czcij ojca swego i matkę swoją” stanowi bowiem nadal tabu, jeszcze silniejsze niż — do niedawna — problem znęcania się nad dziećmi i stosowania siły przez rodziców względem siebie wzajemnie. Podczas gdy tymi dwiema ostatnimi formami przemocy w rodzinie zajmowała się ostatnio spora liczba naukowców, to naukowe opracowania na temat „horroru” w wykonaniu dzieci są jeszcze bardzo nieliczne. Powodem tego — jak sądzi amerykański socjolog, Murray Strauss i jego koledzy — jest fakt, iż mi-

## Cóż za potwora wychowaliśmy!

upodlegoną eześcią rodziny, przejawiają tu coraz większą aktywność. Jak wynika z danych zgromadzonych przez wspomnianych socjologów, co najmniej 18 proc. wszystkich dzieci w wieku od 3 do 17 lat uderzyło już swego ojca lub matkę przynajmniej raz.

O dzieciach, których agresja zwraca się przeciwko rodzicom, traktuje również książka napisana przez małżeństwo psychoanalityków: Jean-Pierre’a i Laetitię Chartierów. W ciągu 10 lat praktyki lekarskiej, Chartierowie zarejestrowali 50 przypadków rodziców, maltretowanych przez swych nieletnich synów lub córki. Powodem zajęcia się tą analizą była — jak piszą — zwiększająca się częstotliwość występowania tego zjawiska, które „bynajmniej nie dotyczy tylko osobników chorych lub niezrównoważonych umysłowo”.

Zdaniem Chartierów, to właśnie w pozornie zupełnie normalnych, sympatycznych rodzinach ze średnich i wyższych warstw społeczeństwa, dziećmi nieradko przejmują ab-

nie czy kopanie. Ofiary, boleśniejsze niż sińce, odczuwają swoją bezsilność. „Nigdy dotąd przecież nie było między nami konfliktów — oświadcza wielu znanych rodziców, szukających rady u psychiatry czy psychologa. Thea Schoenfelder, kierowniczka katedry psychologii wieku dziecięcego i młodzieżowego na uniwersytecie hamburskim, w większości takich przypadków stwierdza, iż u ich podłoża leży „zdeprawowany system rodziny, ukryty za parawanem zasobnej, często nawet wykraczającej ponad przeciętny standard egzystencji mieszczańskiej”. Na zewnątrz wszystko wygląda pozornie gładko, ale w środku, w rodzinie rozpościera się emocjonalna pustka. Agresywne reakcje dziecka należy — zdaniem pani psycholog — traktować jako sygnał niebezpieczeństwa.

Wina za to, że wiele dzieci staje się istnymi potworami, za to, że wywierają one coraz silniejszą presję na swych rodziców, psycholodzy obciążają także coraz to nowe metody wychowawcze, jakie lansuje się na całym świecie od lat sześćdziesiątych naszego stulecia. A więc — importowaną z USA teorię „społeczeństwa przyswajającego”, następnie nieudaną kopię antyautorytarnej koncepcji angielskiego pedagoga Alexandra S. Neilla, a wreszcie — lansowaną ostatnio przez modnych teoretyków sztuki wychowania, jak np. Ekkehard von Braunmühl, „antypedagogikę”.

Wielu rodziców i dzieci jest już zmęczonych tymi licznymi koncepcjami — stwierdza von Villiez. Zamiast ciepła uczuć, wiele dzieci styka się już wyłącznie z metodami wychowawczymi. Ojcowie i matki, którym brakuje odwagi, aby kierować się własnymi wyobrażeniami o wychowaniu dzieci — kurczowo chwytają się modnych w danym momencie in-tod pedagogicznych. Rzekomo postępowi rodzice dają swoim dzieciom nieograniczoną swobodę i „przekupują” je wartościami materialnymi — stwierdza psycholog, Konrad Spral. Jego zdaniem, w takich przypadkach agresja jest skutkiem nieuniknionym.

Korzeni nowej agresywności dzieci wobec dorosłych nie należy jednak oczywiście szukać wyłącznie w rodzinie. Dzieci i młodzież dorastają w społeczeństwie, które premiuje agresywne formy zachowania. Już najmłodszy wiek, że silniejszy wygrywa, że większa siła przebiega daje w życiu większe szanse — stwierdza badacz problemu agresywności nielet-

W Lino Lakes wprowadzono terapię grupową w 1979 roku. Co tydzień bierze w niej udział około 30 przestępców seksualnych. Czytają książki i artykuły traktujące o problemie gwałtu, oglądają filmy, które ukazują reakcje ofiar. Od czasu wprowadzenia programu, tylko czterech spośród ówczesnych 96 więźniów trafiło ponownie do aresztu za przestępstwa seksualne.

Prowadzi się także badania w celu sprawdzenia skuteczności leku Depo-Provera, który ma zmniejszyć poziom testosteronu u przestępców seksualnych. W Western State Hospital nagrywa się na taśmie opowiadania pacjentów o różnych zbrodniach seksualnych. Podczas odtwarzania nagrania, w momencie gdy pacjent doznaje zaspokojenia płciowego, zapis się zmienia i zamiast odgłosów upojenia, słychać jakieś straszne dźwięki. Statystyki wykazują, że 78 proc. spośród uczestników tego programu nie popełniło później żadnego przestępstwa seksualnego. Jednakże kierowniczka programu Maureen Saylor niezbyt optymistycznie ocenia efekty tej terapii.

— Wielu spośród tych ludzi to jednostki nieuleczalne. Żadna kobieta nie może być zabezpieczona przed gwałtem.

Ron, który właśnie skończył kurację w Miami, nie jest pewien czy długo będzie odczuwał jej dobroczynne skutki.

— Gdy widzę światło w oknie, zaraz wyobrażam sobie jak mógłbym się tam dostać. To jest walka, którą będę toczył przez całe życie.

Większość ekspertów twierdzi, że daleko jeszcze do przesyłania problemu, mimo nowego ukierunkowania terapii i większego zrozumienia dla ofiar. Dawne stereotypy nie znikają tak szybko. Autorzy studium opracowanego na uniwersytecie medycznym w Południowej Karolinie twierdzą, że wciąż jeszcze nie można ustalić, czy „prawdziwy gwałt” odpowiada stereotypowi społecznemu. Jak mówi Dean Kirkpatrick, psycholog z tegoż uniwersytetu, „prawdziwy gwałt to np. zgwałcenie zakonnicy idącej na nieszpory niedzielne. Kiedy jednak ma się do czynienia z ofiarą, która przed zgwałceniem piła albo znała napastnika, łatwo jest zająć postawę negatywną”.

Niedawno sędzia Christy Berkos ze stanu Illinois, wydał łagodny wyrok na notorycznego gwałciiciela Brada Liebermanna. W wywiadzie prasowym sędzia tak oto uzasadnił swą sentencję: „Liebermann wyrządził kobietom krzywdę, ale na szczęście nie spowodował u nich uszkodzeń fizycznych. Nie obcinał im np. piersi”. Fakt, że sędzia stanowy mógł tak potraktować zjawisko gwałtu świadczy, że mimo nowego podejścia do zagadnienia dawne przesady kulturowe są jeszcze wciąż żywe. „To co robimy w naszym społeczeństwie, czy to w zakresie fotografii, filmu czy języka, służy dewaluacji picia — mówi psycholog Groth. — Sugeruje to nam, że seks może stać się narzędziem degradacji innych ludzi”. Taka właśnie moralna nonszalancja sprawiła, że w Stanach Zjednoczonych upowszechniła się przemoc, zarówno w kręgach prywatnych, jak i na forum publicznym.

(„TIME”)

nich — Hans-Dietrich Dann.

Z drugiej strony, dorosli w ostatnich czasach znacznie stracili w oczach młodzieży ra wiarygodności, jeśli idzie o podejście do współczesnych problemów społecznych i politycznych. Młodzież reagują na to postawą odmowy i agresji, często właśnie we własnej rodzinie.

Zjawisko konfliktu pok lef nie jest oczywiście czymś nowym, co pojawiło się na świecie dopiero teraz. „Dzisiejsza młodzież jest z gruntu zepsuta, bezbożna i leniwa” — pisał 3.000 lat temu na kamiennych tabliczkach pewien mieszkaniec starożytnego Babilonu. Grecki poeta Hesjod, żyjący siedem wieków przed naszą erą, twierdził, że współczesna mu młodzież jest „nieznośnie bezwstydną... pełna przekory” i nie ma zupełnie szacunku wobec starszych. Również Rzymianin Seneka narzekał na młodzież, która — jak pisał w swym dziele „Controversiae” jest „leniwa i ospała”, a ponadto „ulega zgubnym nalogom”.

Przez całe wieki starsze generacje uskarżały się na zachowanie młodzieży, traktując ją jako gorszą część społeczeństwa, która musi przejść „twardą szkołę”, aby „wyjść na ludzi”. W ostatnich dziesięcioleciach jednak postawa dorosłych pokoleń wobec młodych zaczęła się zmieniać. Zamiast autorytarnych metod wychowania zaczęto coraz częściej głosić równouprawnienie dzieci i rodziców.

Jednakże w rodzinie, we własnych czterech ścianach, zmian tych na ogół zbytnio się nie odczuwa. Podobnie jak w minionych stuleciach, dzieci są nadal zdane na łaskę i niechęć rodziców. Nawet dziś, kiedy ustanowiona zastąpiła sformułowanie o „władzy rodzicielskiej”, łagodniejszym, mówiącym o „rodzicielskiej trosce”, władza wychowawców pozostaje właściwie praktycznie nieograniczoną.

Rodzice nadal wykorzystują swe domniemane prawa w zaskarżającym nieraz stopniu. Wiedzą coś o tym prawnicy i lekarze sądowi. Maltretowanie dzieci jest najczęstszą formą stosowania przemocy w rodzinie. Według oceny prof. Elsbeth Trube-Becker, specjalistki z dziedziny medycyny sądowej z Düsseldorfu, jeszcze dziś co najmniej w co drugim domu rodzinnym stosuje się chłostę lub inne kary cielesne.

(„DER SPIEGEL”) c.d.n.



**Z**asadzono ich przed moim, najdłuższym w Łodzi blokiem oraz na przyległych parkingach — chyba za setkę. Jako ukoronowanie tak zwanego procesu inwestycyjnego, dla „odnowienia” lub powiększenia terenów zielonych, dla „odnowienia” życia i powietrza, dla pociechy oka i serc ludzi.

Przed samym domem — świerczki, dalej kasztany na zmianę z jarzębą czy czarną topolą. Oprócz tego — multum krzaczków rozmaitych, setki metrów kwadratowych trawy.

Nawet to wszystko zaczęło rosnąć, a co powiemy usiłowali przed swymi oknami wzbogacić zieleni innymi krzaczkami i kwiatami.

W pierwszej kolejności ubywało świerczków. Potem „wypadło” trochę kasztanów i jarzębiny. Dziś — po 4 latach od chwili nasadzeń — stan świerczków równa się 1 (półuschnięty), krzewy można policzyć na palcach, a uschniętych wcześniej lub uschniętych drzew oraz wystających z ziemi kikutów — nie chce nawet liczyć.

Polacy, jako całość — bardzo szkodzą przyrodzie. Dzieciom wystawiamy jełonek świadectwa urodzenia, tysiaki leśnice produkują miliony sadzonek, wyższe uczelnie — wysyłają fachowców z branzą. Staramy się organizujemy, apelujemy, uczestniczymy itp.

**NIC JEDNAK NIE ZASTĄPI TEGO ZWYKŁEGO, CODZIENNEGO, POZYTYWNEGO STOSUNKU DO PRZYRODY!**

Za swoich najpierw zabrakło się czworonogi. Już drugi raz w życiu wynurzałem zastrzegam, że nie jestem ich przeciwnikiem, a tylko wspomnienie o 12-letnim collie, którego musiałem uspić — powstrzymuje mnie przed ponownym nawiazaniem takiej przyjaźni. Nie rozumiem wszakże sytuacji, gdy szalejąca ze szczęścia pies (bo wyszedł na dwór) obsiada pod okiem swego pana rzeszę świerczków. A świerczek — po kilkumiesięcznym powtórzeniu takiej operacji — po prostu usycha. Wiem, wiem! Świerczki w ogóle źle się przyjmują. Ale to nie oznacza, aby pomagać w ich zagładzie!

Pociechy lubią grać w piłkę. A w piłkę najlepiej gra się na trawniku. Na trawniku rosną krzaczki. Piłka wpada w krzaczki, krzaczki są deptane, potem zdeptane do szpetu! Pod okiem mam, szczęśliwych, że pociechy są blisko. Nie ważne, że o kilkadziesiąt metrów dalej jest teren, na którym można hasać do woli, nie niszcząc niczego.

Nie powiem oczywiście, że usytuowanie drzew wewnątrz parkingów może zachwycać zmotoryzowanych. Trzeba na pewno uważnie manewrować, a jeszcze gdy zmotoryzowany współtowarzysz jest pobawiony wyobraźni i zadowolony, że sam zaparkował — zastawia przejazd, drzewka wręcz przeszkadzają!

No... nie mówię, że specjalnie, ale przypadkiem: a to zdarza się z boku, a to z tyłu... Coś tam trzeszczy, coś się przechyla... Nic to! Jeszcze na tej obojczyce zieleni zostawimy plastikową

## Drzewa

butelkę po oleju silnikowym, jeszcze wyrzucił niedopałki z popielniczki, a korzystając z dobrodziejstwa ciepłej wody wymyślił naszą maszynę detergentną i brudna wola — hej — rozleje się aż pod te nasze ukochane drzewka!

Jeśli zaś między wejściem do klatki schodowej a m.p. (mówiąc stylem wojskowym) naszego ukochania znajduje się trawnik — to wydepczemy wąziutką ścieżkę, naszą własną...

Muszę, gwoli prawdzie zastrzec, że te biedne nasze drzewa i krzaczki nie są maltretowane wyłącznie przez tych, którym mają służyć! O nie! One są maltretowane niejako od „statu nascendi”, od samego momentu nasadzeń, dokonywanych przez wyspecjalizowane przedsiębiorstwa.

Pytam kiedyś naszego, sympatycznego zresztą, gospodarza domu, czemu schną kasztany, skoro on je przecież podkłada? I otrzymuję odpowiedź, będącą świadectwem mojej sklerozy: „Panie, a na czym one mają rosnąć? Na tej garści ziemi podręcznej od początku? A potem na gruzie i cegłach, przysypianych z wierzchu na całym terenie, jako pozostałość po rozbiórkach i budowie?”

I rzeczywiście! Zapomniałem! Jest to wspólny wynik budowlanych i „zielonych” przedsiębiorstw. Pierwsi zostawiają teren gładki i „wierzchu”, druzdy „nasadzają” bez względu na możliwości i wyniki, za które odpowiadają w ciągu jednego roku!

A nasze drzewko ma prawo i obowiązek rosnąć przynajmniej kilkadziesiąt lat!

Jak dotychczas — najbardziej zadowoleni są ci, którzy hodują króliki. Bo trawa i mlecz — udają się wszędzie.

Ongiś kmiędź rąbał lasy, wypalał pieńki — bo poszerzał areal dla trójpolowki. Ludzi przybywało, lasy się kurczyły. Smolarze, węglaarze, rozwój miast (część lasu Zubardź przeznaczona była na budowę domów w osadzie Bałuty Nowe). Palono drewnem, rozwijał się przemysł, potrzebujący „celulozy”.

To wszystko jeszcze mogę zrozumieć. Trudniej mi zrozumieć, dlaczego nasze drzewa (i nie tylko) podają ofiarę chemii (patrz — inwestycje zwiarskiej „Boruty”), podają mimo sprzeciwu obywateli — łódzkiej i wojewódzkiej — rad narodowych. Las w „Chelmach”, gdzie jeszcze lat temu... dziesięć bierałem grzyby, piosyłem króliki i zające, w strachu zresztą przed „Schupem”...

Zupełnie natomiast nie rozumiem, dlaczego sami, indywidualnie podcinamy gałązki, na które siedzimy? Niech nie obrażają się w tym momencie niektórzy, jeśli powiem, że wzdarda dla zieleni w ogóle trwa chyba do trzeciego pokolenia przybyszów ze wsi, osad i małych miasteczek, którzy „przyrody” mieli pod dziurki w nosie, a dla których piękne — to wyasfaltowane i wybetonowane, jako symbol nowoczesności! Dopiero później przychodzi opamiętanie, a przynajmniej przyjęcie powinno! Tymczasem większość z nas pozostaje zafascynowana kranem z wodą gazem, samochodem... A drzewo? Wiadomo — jak ktoś posiada, to może wyrośnięć.

Nie rozumiem! Tak jak i ten stary robotnik z zasyżanej rozmowy o synie: „Panie, że on się uczyć nie chce — to rozumiem, bo mnie się też nie chciało i dlatego dziś obracam łopata. Ze nie słucha — to też rozumiem, bo i ja nie słuchałem i dostawałem od ojca. Ale — że żyć nie chce — tego nie rozumiem!”

I rzeczywiście! Trudno zrozumieć zachowanie przeciwne instynktowi samozachowawczemu!

P.S. Oczywiście — większość z moich sąsiadów przepraszam. Ale nie wszystkich!

**W. AFELT**

NR 46 (1337) XXVI 12 LISTOPADA 1983 R.

**ODGŁOSY 13**

## JAK ON JĄ KATUJE

Obok naszej kamienicy na ul. Przejazd 12 mieściła się w podwórzu, niska, parterowa, 3-izbowa oficynka z werandą, zamieszkała przez Izraelitę-pończoszniaka, jego żonę i pierworodnego syna Wiktusia, który był moim rówieśnikiem.

Pończoszniak od rana do nocy pracował na swojej ręcznej maszynie. Pomagała mu żona naciągająca wykonane pończoszy na drewniane prądko, dzięki czemu nabierały właściwego kształtu. Wiktuś był ich oczkiem w głowie. Na Wiktusiu dmuchano i chuchano. Wiktuśowi nie wolno było biegać (aby się nie przegrzał) i uchwajać Boże przeziębiał. Wiktusio-

**KAROL TOMPOREK**

# Ulice mego dzieciństwa

wi nie wolno było grać w piłkę, bo by mógł się przewrócić. Wiktusiovi nie wolno było lazić po drzewach, bo mógłby spaść i złamać nogę, Wiktusiovi... nie wolno było niczego.

I może dlatego Wiktuś był niebiał, który stał się przeziebiał, rozbił nos, łamał nogę i rękę, nabawił chorób zakaźnych i wszelkich innych plag, podczas gdy pozostała nasza dziecięcina, pozostawiona samopas, brudna, rozczochrana i rozburmaniona oraz chrońnicznie niedożywna, chowała się zdrowo, rosnąc raczej z górą niż w dół. Kiedyś pończoszniak poszedł ze swoim towarem do odbiorcy. Gdy wracał, sportrzącił coś, od czego stanęły mu włosy na głowie. Mianowicie jego bożyszcze Wiktuś, jak linoścok, balansował na drewnianym płocie wesołym na 3 metry.

Było piekło. Pończoszniak wywołał żonę na podwórko, oskarżając ją palcem na ten cyrkowy popis, a potem publicznie zaczął karcić żonę okładając ją gazetą. Inne Izraelitki wychylone z okien przyglądały się temu zgrozzone, kiwając współczująco głowami i mówiąc do siebie:

— Ojś pani, jak on ją katuje!

Zanosiliśmy się śmiechem z wyrafinowanego „okrucieństwa” starego Birnbauma, kończącego się z reguły tym, że w pewnym momencie Birnbaum łapał się za serce, chwytając larpczywie powietrze do ust, jak ryba i po chwili z drżącymi stawami się łagodnie karconym przez żonę, kładącą mu zimne kompresy. Swoją drogą byłoby dobrze, gdyby tak mój Stary wymierzał nam „sprawiedliwość” nie po cieplem, a rulonem gazety.

## SYNOWIE STAREJ HAJI

Stara Haja handlowała w przybudówce wodą sodową, kwaszoną mi ogórkami i cukierkami po 1 grosz. Miała ona dwóch synów: Dawida i Majera — rzadkich gości w domu. Najstarszego Majera pamiętam jak przez mgłę z krótkich wizyt w domu, między jedną odsiadką a drugą. Układny Dawid, też notorycznie złodziejaszek, imponował mi swoim żywiołowym, wesołym traktowaniem życia i

chyba lubiłem go nawet. Sympatię moją utracił bezpowrotnie, gdy któregoś dnia podszedł do mnie z wyciągniętą ręką życzliwie wołając:

— Kopę! lat! Jak się masz kolego!

— Cześć, jakoś leci — odpowiedziałem poważnie, na jego salonowe potraktowanie mnie jak dorosłego.

Dawid pochwycił moją rękę, serdecznie ją uściśnął, po czym przyłożył ją do własnego tyłka i stęknął potężnie pierdnął raz, drugi i trzeci. Odszedł potem spokojnie, pozostawiając mnie osłupiałego i znieważonego. Nienawidziłem go za to przez parę dni, a przeszedł mi dopiero wtedy, gdy sprzedałem „dowcip”, w taki sam sposób traktując Wiktusia.

Straciłem kiedyś w ten sposób złotówkę wręczoną mi przez matkę na kupno 2 bochenków chleba. Był to jedyny i ostatni przypadek, niezbędne „frycowe”, które przyszło mi zapłacić za wkupienie się w świat ludzi dorosłych i nauczyło mnie nieufności do życia. W profesji obu synów Majerowej nie było w naszym środowisku atmosfery potępienia. To co robiło było tylko ich sprawą. Sprawa nabierała posmaku skandalu tylko wówczas, gdy synkowie okradali... własną matkę. Wtedy pomstowiano Majerowej na synów (a żeby was szlag trafił, żeby was auto przejechało!!!) znajdowały współczującą aprobatę i o dziwo — sprawdzili się. Któregoś dnia Dawida przejechało auto wiozące samego Poznańskiego, jednego z największych łódzkich fabrykantów. Złamanie nogi i drobne potłuczenia opłaciły się jednak Dawidowi, bo Poznański wypłacił mu odszkodowanie oraz dał stać gośc w swojej fabryce.

Od tej chwili z Dawida zrobiło się państwo. Zaczął się ubierać jak lord i nawet pomagać zaczął własnej matce. Podobno odwiedzał także brata odsiadującego kolejny wyrok.

## STRAZIACI I DEMONSTRACI

Tuż po moim urodzeniu do III Oddziału Straży dotarła technika w postaci czerwonych samochodów z cysternami i drabinami.

Straż mnie fascynowała od maleńkości i wcale o niej dowiedziałem się od matki. Jeszcze nie tak dawno, już po moim urodzeniu, siłę pociągową w straży stanowią konie. Podobnie jak strażacy również i konie znajdowały się w ciągłym stanie gotowości, stojąc w swych bokсах w pełnej uzbrojeniu, nie przywiązane do koryt najcięższym nawet sznurkiem.

W podwórzu, rzędem, jeden obok drugiego, stały strażackie wozy bojowe z podniesionymi do góry dwuramiennymi dyszlami. Były to beczkowsy, pompy na podwoziach, wozy z drabinami. Wrota stajni zawsze były na oścież otwarte. Dyżurny stra-

żak-telefonista odbierał wiadomość o pożarze, naciskał przycisk alarmowy i w jednej chwili, bez względu na porę dnia czy nocy, w obrębie jednostki zaczynało się piekło. Strażacy zjeżdżali ze swych syplalni po słupach, konie same wybiegały ze stajni i ustawiały się tyłem do wozów (a robiły to nieomylnie, każdy przy „swoim” wozie) strażacy sprzegli tylko dyszle i orczyki, wskakiwali do pojazdów i hajda! w drogę. Pierwszy wyjeżdżający wóz odbierał od dyżurnego strażaka informację o miejscu pożaru oraz wytyczoną marszrutę. III Oddział Straży Ogniovej sływał w całej Łodzi, jako najsprawniejsza jednostka strażacka z czego byłem dumny, jako jej najwierniejszy kibic. (Odnosi-

smakowała wymienienie, a w domu najprawdopodobniej czekały mnie „rzniatki”. Groziło mi, że ginęce na ulicy stanie się moim przyzwyczajeniem.

W których trzociamajowy dzień, na ul. Piotrkowskiej miała się odbyć manifestacja z udziałem samego Józefa Piłsudskiego. Tłumy przeciwników i zwolenników Piłsudskiego walczyły ulicą. Przejazd w kierunku Piotrkowskiej, wszyscy uzbrojeni w łaski. Dałem się ponieść gestniejącemu tłumowi i już na ulicy Piotrkowskiej straciłem orientację pędząc się pod nogami w niesamowitym ścisisku. Tłum falował, nad moją głową zalała burza okrzyków przyjaźnych lub wrogich, grzmiała orkiestra wojskowa. W zamieszaniu deptano po moich obutych w sandaiki nogach, przeciwko czemu zaproteutowałem gwałtownym przecięciem. Ktoś mnie wyłuskał z gąszczu nóg i posadził sobie na ramiona. Ta pozycja była całkiem znośna, a widowisko pasjonujące. Właśnie maszerowało wojsko. Histeria ogarnęła tłumy, kiedy środkiem szerepu ukazała się postać Piłsudskiego. Udowodniłem wówczas zasadność dewizy: Bogu świeczkę i diabłu ogarek, bo kiedy rozhisteryzowany tłum krzyczał — „niech żyje dziadek”, „niech żyje Józef Piłsudski” — dałem się i ja krzyżać — „niech żyje Piłsudski”. Kiedy trzymający mnie na ramieniu mężczyzna i jego towarzysze krzyżali — „Precz z Piłsudskimi!” i potrzaskali nad głowami łaskami, solidaryzowałem się z nimi, krzyżając, jak najgłośniej to samo. Poszły w ruch łaski, zwolennicy Piłsudskiego starli się z jego przeciwnikami. Rozkołysany tłum przemleczął się to w jedną, to w drugą stronę, cofając lub atakując. Z wysokości ramion trzymającego mnie mężczyzny widziałem pod sobą tysiące wirujących łasek jak gigantycznego jeża. Czuję się jak na skraweczku kry poruszanej przez gwałtowne wiry. Zrobiło się gorąco dosłownie i w przenośni. Mój przypadkowy opiekun, postawił się do najbliższej bramy, postawił mnie na ziemi i ze słowami: — Nie wychodź na ulicę — wyskoczył sam na zewnątrz włączając się do walki. W bramie zajęły się mną jakieś kobiety, a później doprowadziły do domu.

Żuł jako 5-letni berbecz miałem również znajomych w dzielnicowym komisariacie Policji Państwowej. A zaczęło się to w ten sposób, że w wigilię jakiegoś święta, kiedy wszyscy zaabsorbowani byli przygotowaniami, mnie znużona zabawa na podwórku, wobec czego postanowiłem udać się do parku Sienkiewicza. Niestety, zmyliłem drogę i w efekcie rozbechałem się bezradnie. Do komisariatu zaprowadził mnie jakiegoś starszego pana i wylądowałem przed samym panem komisarzem. Jego życzliwa indagacja dała niewiele. Znałem tylko swoje imię i nazwisko, nic poza tym. W efekcie w komisariacie spędziłem parę godzin, opychając się czekoladą, zafundowaną przez komisarza, którego zadowolony z moją zdolnością szybkiego adoptowania się do nowego środowiska. W każdym razie, gdy późnym wieczorem zjawił się ojciec z moim płaszczkiem pod pachą, a komisarz zapytał czy znam tego pana — zaprzeczyłem.

Przyczyna była prozaiczna. Tutaj, w komisariacie było bardzo interesująco, czekolada

## KIEDY WRACAM NA ULICE MEGO DZIECIŃSTWA

Stało się tradycją, że ile razy przyjeżdżałem do Łodzi, a zdarzało się to co najwyżej raz w roku, odwiedzałem przy okazji stare, znajome mi z lat dzieciństwa, kąty w Śródmieściu i na Widzewie. Z największym jednak sentymentem przychodziłem na ulicę Przejazd 12 (dla mnie zawsze się tak będzie nazywała, choć dzisiaj mówią: Tuwima) oglądając chałupę, w której się urodziłem i dziedziniec, w którym spędziłem najszcześniejsze lata dzieciństwa. Lata miały, Łódź stopniowo się zmieniała, znikły rudery, a w ich miejsce powstawały nowocześniejsze kamienice. Zmieniła się również ulica Przejazd. Co roku, z uczuciem irracjonalnego żalu, żegnałem bezpowrotnie okrucieństwo wspomnień związane z moimi dawnymi zabawkami, których namię zabrakło. Tak zniknęła któregoś dnia narożny parkan okalający ulicę Przejazd i Sienkiewicza, za którym kiedyś znajdowały się korty tenisowe. Teraz był tu skwer i parking. Zniknęły zabudowania III Oddziału Straży Ogniovej. Trwała tylko po drugiej stronie ulicy drewniana chałupa, mój dom rodzinny, stara, ale wydawałoby się, wcale niezniszczalna. Czyżby? Oto przyszedł dzień, w którym na widok domu serce moje zabrzmiło żarliwym Requelem. Staruska umierała. Stałem jak wryty pod umierającą stroną i patrzyłem na jej agonie. Miała już zerwane poszycie dachu. Trzymaliśmy się jeszcze tylko zmuszające krokwie. Robotnicy klnąc zrywał fakturę ścian działowych mieszkania, w którym kiedyś przyszedłem na świat i z którym wspomnień mojego dzieciństwa. Przez dziurę w stropie parteru rzucono w dół powyrwane deski podłóg pokrytych warstwą farby olejnej.



Tu stał rodzinny dom autora wspomnień

Foto: Mirosław Zajdler



# W kręgu fantastyki

## Zapis czwarty

Do czterdziestopiętrowego gmachu XIII Laboratorium od strony południowo-wschodniej przylegał niski oszklony pawilon Działu Fitypsychologii. Każdy, kto znalazł się tam po raz pierwszy, z trudem ukrywał zdumienie, jako że wyposażenie działu diametralnie odbiegało od standardowego obrazu pracowni naukowych. Zamiast białych laboratoryjnych stołów, monitorów i skomplikowanej aparatury badawczej większą część pawilonu zajmowała ciepłarnia, w której długimi rzędami, na dobrze nawożonej glebie, rosły pomidory, seler, pietruszka i wszelkie inne jarzyny, jak u podmiejskiego „badylarza”. Głośniki dyskretnie ukryte w zieleni bez przerwy nadawały muzykę, przy czym w zależności od pory dnia i nocy można było posłuchać Musorgskiego, Bacha, negro spirituals, a nawet „Stabat Mater” Pendereckiego. Całości dopełniała kilka stolików i wygodne fotele rozmieszczone w różnych punktach szklarni. Dopiero po uważnym zbadaniu otoczenia przybysz dochodził do wniosku, że to skrzyżowanie niezłe prosperującego gospodarstwa rolnego z kąpielnią rekreacyjnym jest jednak przybytkiem nauki. Każda jarzyna opłataną była cienką jak pajęczyna siecią przewodów, które biegły do drugiej części pawilonu. Tam, na dziesiątkach taśm i dysków magnetycznych, rejestrowano wszystkie reakcje roślin: każde drgnienie liści, przecięcie łodygi, wzrost i zamieranie. Danych było miliony i tylko główny komputer laboratorium jakoś sobie radził z ich porządkowaniem, i dopiero informacja syntetyczna wyświetlana na ekranach monitorów stanowiła materiał do rozważań i wniosków dla pani doktor Owsianko, która kierowała tym działem.

ANDRZEJ MERCIK

# Salatka jarzynowa (Z Raptularza XIII Laboratorium)

W początkowym okresie, jak to zwykle bywa w dziewiczych obszarach nauki, praca Działu Fitypsychologii polegała głównie na zbieraniu materiału doświadczalnego. Było to zajęcie pasjonujące, gdyż każdego niemal dnia dokonywano istotnych, a nieraz zadziwiających odkryć. Jednym z najbardziej sensacyjnych było odkrycie znacznego indywidualizmu roślin, nawet w obrębie tego samego gatunku. Jak wykazały precyzyjne pomiary, rytm aktywności dobowej u wszystkich pomidorów był podobny, ale nie jednakowy. Na przykład Chudy John — takie imię nadano rachitycznemu pomidorowi rosnącemu w szóstym rzędzie na lewo od drzwi — koło południa wykazywał krótkotrwały spadek aktywności. „Zapadał w poobiednią drzemkę” — jak mawiała doktor Owsianko — w przeciwieństwie do Grubej Franki rosnącego o dwa rzędy dalej, który w tym czasie intensywnie poruszał łodyżkami liści, jakby wachlował się dla ochłody.

Wprowadzenie do eksperymentu elementów dodatkowych, a w szczególności muzyki, przyniosło dalsze rewelacje. Najbardziej muzykalne były seler. Czajkowskiego wręcz uwielbiały; przy koncercie fortepianowym a-moll ich korzenie prostowały się nieco i nadywały, zwiększając swoją powierzchnię o około siedem dziesiątych promila, a liście drżały w takt melodii. Ale i tu, bez trudu, można było zaobserwować indywidualne gusty. Kastor i Polluks — były to dwa selerzy zrośnięte w dolnej części korzenia — poza Czajkowskim, którego ubóstwianie stanowiło charakterystyczną cechę całego gatunku, chętnie słuchały „Bolera” Ravela, ale tuż obok rosł Bartek wolał muzykę rock.

Mniej więcej po roku obserwacji, kiedy już doktor Owsianko nie miała najmniejszej wątpliwości, że warzywa z jej plantacji posiadają bogate życie wewnętrzne, którego wtedy jeszcze przez ostrożność nie nazywała „psychicznym”. Dział Fitypsychologii wkraczał w następny etap badań — porozumienia z roślinami.

Pani doktor podeszła na przykład do dorodnej marchewki i mówiła: „zaraz cię zjem”, a jarzyna natychmiast reagowała panicznym strachem, co można było stwierdzić, obserwując epileptyczne drgania krzywych na ekranie oscyloskopu. Wkrótce okazało się, że nie trzeba nic mówić — wystarczyło pomyśleć coś nieprzyjemnego pod adresem którejkolwiek rośliny, aby wprawić ją w szamotaninę drgania liści, łodyg, a nawet korzeni. Na zamiary pozytywne warzywa również reagowały, tylko że objawiało się to błogim spokojem, więc było trudniej uchwytne.

Rada naukowa laboratorium do wyników tych doświadczeń podeszła raczej sceptycznie. Owszem, wszyscy zgadzali się, że koincydencja czasowa między wyrażającą jakiś zamiar myślą eksperymentatora a reakcją rośliny jest znaczna, ale interpretacja zmian kształtu wykresów budziła poważne wątpliwości.

— A może marchewka lubi być zjadana — powiedział doktor Żużel po wysłuchaniu referatu Owsianki.

Pogląd ten podzielał prawie wszyscy zarzucając pani doktor antropomorficzne podejście do roślin i omal nie doszło do wykreślenia problematyki fitypsychologicznej z listy tematów badawczych laboratorium. Na szczęście ostry sprzeciw Bezmogowa, przy neutralnej postawie Fusa, uratował dział Owsianki przed likwidacją.

Ten nieprzyjemny incydent wywołał również

nlemie reperkusje. Naukowcy, dotychczas nie wykazujący zainteresowania psychologią warzyw, zaczęli tłumnie odwiedzać szklarnię. Pół biedy gdy ograniczali się do zwiedzenia działu i kilku złośliwych uwag kierowanych głośnym szeptem w stronę pani doktor. Niestety, znaleźli się również tacy, którzy z sadystyczną wręcz lubością opowiadali bezbronnym przecież jarzynom, co zaraz z nimi zrobią, delektując się widokiem palpitacji wykresów oscyloskopowych. W efekcie pogodnie w swej naturze rośliny zaczęły popadać w stresy; stanów kornplentnych załamaniu udało się uniknąć tylko dzięki zamknięciu szklarni przed osobami postronnymi. Prawo wstępu mieli jedynie naukowcy zaopatrzeni w specjalne przepustki, podpisane przez dyrektora.

Doktor Owsianko pracowała niemal bez wytchnienia szukając dowodów, które mogłyby przełamać sceptycyzm rady naukowej, ale prawdopodobnie na następnym posiedzeniu nie zdolałaby obronić swych eksperymentów, gdyby nie pomoc Fusa. Docent, będący znakomitym elektronikiem, w krótkim stosunkowo czasie skonstruował dekodery tłumaczący zmiany wykresów oscyloskopowych na język potoczny tak, że po podłączeniu głośnika można było porozmawiać, a nawet toczyć dyskusje z roślinami. To oczywiście w sposób diametralny zmieniło pozycję Działu Fitypsychologii w hierarchii XIII Laboratorium i pchnęło badania milowymi krokami w przód.

Atmosfera ironii, jaka otaczała panią doktor, zmieniła się w aureolę chwały; o jej warzywach zaczęły wręcz krążyć legendy. Twierdzono na przykład z całą powagą, iż rozmowy naukowców z roślinami nie ograniczają się do towarzyskich pogawędek, że ich tematyka była również najciekawszą problematyką filozoficzną z teorią bytu włącznie. Ktoś puścił plotkę, a nie uczyniło jej nawet oficjalne dementi Działu Fitypsychologii, że jedna z cebul obda-

rzona była niezwykłym talentem poetyckim i na spotkaniu autorskim uraczyła słuchaczy tak wzruszającym poematem, iż wszyscy ikali jak bobry.

Na ten stan rzeczy padł jednak wkrótce głęboki cień. Owsianko, pulchna kobieta o zaokrąglonej sylwetce, zaczęła gwałtownie mizernieć. Jej twarz z filuternymi doświadczeniami na policzkach wydłużyła się, a podkrążone oczy świadczyły o alarmująco złym stanie zdrowia. Pierwszy zwrócił na to uwagę docent Bezmogow, ale wszelkie jego próby wyjaśnienia przyczyn choroby drażniły organizm drogiej mu osoby speszły na niczym. I dopiero gdy Fus również zainteresował się zdrowiem kierowniczki Fitypsychologii, obaj z Bezmogowem poszli do szklarni z twardym postanowieniem wyjaśnienia sprawy.

Doktor Owsianko przyjęła ich w zacisznym kąciaku, gdzie rosły buraki ćwikłowe. Błada, wychudła w niczym nie przypominała teraz korpulentnej osobki, za którą niejednym pracownik laboratorium oglądał się z zainteresowaniem, ukradkiem oczywiście, żeby nie narażać się na gniew Bezmogowa. Siedziała w głębokim fotelu — jak się później okazało, była zbyt słaba, aby stać — i bolesnym uśmiechem powitała gości.

— Przeżycie, siadajcie panowie — ruchem dłoni wskazała wolne fotele.

Fus usiadł, ale Bezmogow nie skorzystał z zaproszenia; nerwowo przechadzał się po dróżce między rzędami roślin.

— Moja droga! — powiedział prawie ostrym tonem — Wszyscy zauważyliśmy, że w ostatnim czasie dzieje się z tobą coś niedobrego. Pytałem cię o przyczynę nagłego pogorszenia twojego zdrowia — nie odpowiedziałas mi nic; namawiałem cię na wyjazd do sanatorium, nie zgodziłaś się na to. A ponieważ tak dłużej być nie może — ciągnął Bezmogow — nie zważając na słabe protesty pani doktor — włącz przysiężny dzisiaj z panem dyrektorem, aby definitywnie rozwiązać ten problem.

— Ależ mnie nic nie dolega — powiedziała Owsianko bliska płaczu, gdy wreszcie docent dopuścił ją do głosu.

— Nic?! — zaperzył się Bezmogow. — Więc spójrz w lustro; jak ty wyglądasz, moja droga!

Pani doktor opuściła głowę i zaczęła cicho pochlipywać. Fus poruszył się niespokojnie w fotelu i z wyrzutem spojrzął na docenta.

— Proszę nie płakać — zwrócił się łagodnie do Owsianki — to nic nie pomoże. Jeśli stan pani zdrowia jest wynikiem jakiejś krepującej panii niedyspozycji, nie musi nas pani w to wtajemniczać; proszę pójść do lekarza.

— Ja nie jestem chora. Tylko... — pani doktor mówiła cicho, wycierając łzy spływające jej po policzkach — tylko ja nie mogę jeść.

Obaj mężczyźni przyjrzeni się jej uważnie. Dopiero teraz uświadomili sobie, że zabiedzony wygląd Owsianki nie był wynikiem choroby, a zagłodzenia. Od dawna już pani fitypsycholog przestała odwiedzać stołową laboratorium, od uczestnictwa w przyjęciach wydawanych przy różnych okazjach wymawiała się niedyspozycją, a jeżeli już zjawiała się na jakimś bankiecie, piła tylko wodę mineralną.

— Ale dlaczego pani nie je? — spytał Fus.

— Ja kocham rośliny — Owsianko znów się rozpłakała. — Rozmawiam z nimi, coraz lepiej poznaję ich uczucia. Nie mogę przecież, po osiem godzinach przebywania wśród moich ja-

ryz, zasiąść do talerza gotowanych ziemniaków i marchewki z groszkiem; czułabym się jak kanibal.

— Moja droga — wtrącił Bezmogow — takie są prawa biologii. Od zarania dziejów rośliny odżywiają się substancjami zawartymi w glebie, a my roślinami.

— Najwyższy czas, aby to zmienić — rozległo się z głośnika na ścianie.

Docent podskoczył jak oparzony.

— Kto się wtrąca do naszej rozmowy?!

— To Onufry — pani doktor wskazała dorodnego buraka, podłączonego siecią przewodów do dekodera.

— Onufry...! — Bezmogow spojrzął na grządkę takim wzrokiem, że wszystkie buraki aż podkulily liście.

— Proszę cię, Henryku — Owsianko delikatnie ujęła docenta za rękę — nie strasz ich. To bardzo wrażliwe rośliny.

Bezmogow sapnął ze złością przez chwilę, a potem podjął przerwany temat.

— Nasz sposób odżywiania został ukształtowany przez przyrodę w toku ewolucji...

— Ale przecież wy, ludzie, twierdzicie z dumą, że potraficie zmieniać przyrodę — znów wtrącił Onufry. — Ba, niektórzy z was sądzą, że mogą przyrodą rządzić.

Docent zgrzytnął zębami, ale wybuch jego gniewu przyhamował Fus.

— A co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? — zapytał Onufrego.

— Możecie sobie zaszczepić chlorofil do komórek skóry i wtedy przestaniecie wreszcie na nas zerować.

— Mamy się zniżyć do waszego poziomu?!

— Albo wnieść się na nasz poziom; to zależy od punktu widzenia.

Po tych słowach, dyrektor też się zdenerwował, lecz burak rzekł pojednawczo:

— Proponuję, abysmy przestali prawie sobie impertynencje i zaczęli szukać dróg porozumienia; ostatecznie jesteśmy ze sobą spokrewnieni.

— Na szczęście jest to pokrewieństwo bardzo odległe — zauważył Bezmogow z jadowitą uśmiechającą.

— Bjochemicy nie są tego tak bardzo pewni — łodowatym tonem odparł Onufry; widocznie docent poruszył jakąś wyjątkowo drażliwą dla buraka sprawę, bo ten dodał jeszcze: — A co do rozumu — bo zdaje się, że o to przede wszystkim nam chodzi — nie będziemy się teraz licytować, ale przyjmijcie do wiadomości, iż są rośliny, które nie tylko intelektem, również techniką przerastają was o całą epokę.

— Nas...?! — wrzasnął docent urażony do głębi tym stwierdzeniem. — Jak śmiesz w ogóle czynić takie porównania, ty prymitywna biomaso!

Ten okrzyk definitywnie przekreślił możliwość ugody. Onufry potrząsnął liśćmi i rzekł mentorskim tonem:

— Nazwa gatunkowa herba sapiens zapewne nie wam nie mówi, ale o małych zielonych ludzikach, które odwiedzają Ziemię, słyszałeś z pewnością. To są właśnie wysoko rozwinięte rośliny, tyle że z innej planety. Tak, tak, moi państwo, zepchnęliście nas w klasyfikacji na margines świata istot żywych, a przecież w gruncie rzeczy jesteśmy jego arystokracją. Pomijając już taki drobiazg, że nasz ród sięga w pradzieje Ziemi znacznie głębiej niż korzenie waszej zwierzęcej społeczności, zwróćcie uwagę na fakt, że przecież to my byliśmy i jesteśmy nadal siłą napędzającą ewolucję. Przecież to dzięki nam mogły istnieć i rozwijać się gatunki świata zwierzęcego z wami włącznie. Nie zaprzeczycie chyba, iż gdyby nie nasz altruizm, gdyby nie nasze dobrowolne oddanie się wam na żer, was by po prostu nie było. Inną rzeczą jest, że gdybyśmy przewidzieli zwyrodnienie, jakiemu uległ wasz szczep, iż nie tylko nas będziecie pożerać, ale również waszych zwierzęcych krewniaków, zapewne poszlibyśmy tą samą drogą co herba sapiens i stworzylibyśmy własną cywilizację. Lecz my, przez wrodzoną skromność, ustąpiliśmy wam miejsca. Dobrowolnie zrzekliśmy się korony świata istot żywych, a co wy teraz z nami robicie...?!

— burak w miarę prawionej przez siebie tyrady rozpałał się coraz bardziej; miał teraz prawie taki sam kolor, jak uszy trojga słuchających go przedstawicieli gatunku homo sapiens. — Zatrnujcie glebę, wodę i powietrze, tuczycie nas ohydnymi nawozami sztucznymi, prowadzicie zbrodnicze eksperymenty, które nazywacie uszlachetnianiem gatunków roślin! Wy nas chcecie uszlachetniać...?!!

Fus gwałtownym ruchem szarpnął przewody łączące Onufrego z głośnikami i zapadła cisza. Po kilkunastu minutach Bezmogow powiedział z zalem:

— Coś ty narobiła, moja droga. Jeżeli wyniki twoich badań dotrą do wiadomości społeczeństwa, to każda gospodyni nie tylko nad cebulą, ale nawet nad koszykiem kartofli będzie płakać rzewnymi łzami. Ludzie o bardziej czułych słuchaniach, podobnie jak ty, nie tkną nawet kawałka chleba. To przecież oznacza koniec naszej cywilizacji!

Znów zapadła cisza, a potem dyrektor wstał z fotela, podniósł dekodery i z całej siły cisnął nim o ziemię; dla całkowitej pewności kopnął jeszcze rozszpanane szczałki i powiedział:

— Z dniem dzisiejszym przerywamy badania w dziedzinie fitypsychologii. Proszę natychmiast zniszczyć wszystkie notatki i wymazać pamięć komputera — a gdy pani doktor posiusznie skinęła głową, dodał: — Moja żona i ja czuliśmy się zaszczepieni, gdybyście państwo zechcieli przyjąć dzisiaj do nas na kolację.

— Z przyjemnością skorzystamy z tego zaproszenia — szybko powiedział Bezmogow, jakby obawiał się, że Owsianko może odmówić, ale pani fitypsycholog również przyjęła zaproszenie z zadowoleniem.

— Jeżeli pańska żona nie będzie miała nic przeciwko temu — rzekła z uśmiechem do Fusa — chętnie pomogę jej przy przyrządzaniu potraw. Znam przepis na wspaniałą salatkę jarzynową.

e.d.n.

## Lipa w Dzierżoniowie

W dniach 27–30 października br. odbyła się w Dzierżoniowie od dawna zapowiadana i oczekiwana przez fanów impreza. Mowa tu oczywiście o Dniach Fantastyki, które w zamierzeniach organizatorów miały być ogólnopolskim spotkaniem miłośników tego typu literatury czy filmu, okazją do bezpośrednich spotkań z twórcami oraz do udziału w atrakcyjnych imprezach. Reklamowane szeroko Dni znalazły sobie wielu organizatorów, wśród nich — władze miasta, redakcja „Fantastyki”, PSMF. Wydawać by się mogło, że impreza wypadnie wspaniale i zaproszeni goście powrócą do domów zadowoleni.

Tymczasem okazało się, że Dni nie spełniły nadziei fanów. Mimo szumnej reklamy i organizatorskiego rozmachu, dzierżoniowska impreza była tylko nieudaną kopią dawnych konwentów w Warszawie, Łodzi i Krakowie. Środowisko fanów wie doskonale komu i czemu służy organizujący je OKMFISF, ale przynajmniej należy bezstronnie, że w Dzierżoniowie brakowało intymnej atmosfery prawdziwego fanonku, która obecna była na tamtych imprezach.

Głównym zarzutem jest rozbieżność na szereg drobnych imprez, które mogłyby równie dobrze odbyć się oddzielnie. Rozbicie to spowodowało, że Dni można by nazwać konwentem prezesów, redaktorów i dyrektorów, a nie fanów. Trzy oddzielne hotele, oddalone od siebie o kilkanaście kilometrów (nie wspomnę już o różnicach w ich standardzie); oddzielnie dla szarych miłośników SF, twórców i Ważnych Gości, nie sprzyjały miłej atmosferze. A przecież nie tak dawno, na konwencie w Krakowie, zarówno fani, jak i Bardzo Ważne Osobistości mieszkali razem w akademikach AGH (Bob Shaw obok Jasia Kowalskiego, John Brunner — prezydent Euroconu, obok Krzysia Nowaka) i nikt nie narzekał.

Szczególnie rażący był brak ciekawych imprez towarzyszących i przeznaczonych dla przybyłych z całej Polski fanów. Część z nich, jak na przykład prezentacja słuchowisk SF, czy wycieczka do Jaskini Niedźwiedziej nie odbyły się wcale, inne — np. kiermasz wydawnictw SF, pokazy video — zorganizowano „na odczesnego”, w wyraźny sposób lekceważąc gości. Na kiermaszu hość książek wystarczyła na kilkanaście minut, a wydawnictwa Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki były tak drogie, że ceny firm polonijnych to przy nich drobiaż. Prezentując filmy video nie zadano o lektora i — bez podania przyczyn — nie pokazano wszystkich zapowiadanych filmów. Zgodnie z planem odbyła się tylko wystawa grafiki i malarstwa SF, spotkanie z redakcją „Fantastyki” oraz Krzysztofem Borunim, który nie zawiązał jeszcze nigdy swoich czytelników. Jego wykład — „Problemy parapsychologii” oraz eksperyment kryptograficzny były naprawdę udane.

W ramach Dni Fantastyki odbyło się też posiedzenie polskiej stacji Euroconu oraz Walny Zjazd Delegatów PSMF.

Przez cały czas trwania konwentu (nazwano go POLCON '83) oraz innych wymienionych już imprez, towarzyszyły nam ekipy telewizyjne. Najlepiej to dowód taniego efekciarstwa, rozdumuchiwania i sztucznego podnoszenia rangi Dni przez organizatorów. Spotkanie w Dzierżoniowie było imprezą na pokaz, w której miłośnicy fantastyki wykorzystani zostali jako tło. Jedynym plusem była możliwość wzajemnych kontaktów fanów oraz to, że Dni w ogóle się odbyły. Był bowiem pod każdym względem lepszy jest od niebytu.

MARKO M. MUROWANIEC

## Kronika

Na mapie zorganizowanych ośrodków ruchu fanów pojawił się nowy fan-club. Powstał on niedawno w Piotrkowie Trybunalskim. Spotkania miłośników sf odbywają się w środy o godz. 17.00 w Klubie „Jaskółczy” Piotrkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Belzackiej. Fan-club prowadzi kol. [nieczytelne] secki.

Przypominamy, że Poznański Oddział PSMF „Orbita” wraz z Wydawnictwem Poznańskim i redakcją miesięcznika „Nurt” ogłosił ogólnopolski, otwarty konkurs literacki na utwor o tematyce fantastycznej i fantastyczno-naukowej. Oryginalne prace (mogą to być opowiadania, zbiory opowiadań, powieści lub utwory sceniczne), należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu pod adresem: Poznański Oddział PSMF, Osiedlowy Dom Kultury „Orbita”, os. Kosmonautów 118, 61-641 Poznań. Każdy tekst sygnowany musi być godłem, pod którym w dołączonej i zaklejonej kopercie, kryć się będą dane o autorze. Termin nadsyłania prac mija dnia 31 maja 1984 r. Organizatorzy konkursu poza publikacją najlepszych prac z zapewnieniem honorariów autorskich, przewidują nagrody pieniężne. Szczegółowych informacji zasięgnąć można pod zamieszczonym wyżej adresem oraz telefonicznie pod numerem 20-12-22 w Poznaniu.

R. S.



# 1 Zdarzenia i zwierzenia

## Nalepiński

Nazwiska Tadeusza Nalepińskiego nie znajdziemy w „Słowniku pisarzy polskich”, nie ma tego nazwiska ani w antologii poezji polskiej z lat 1914-39, ani w antologii Młodej Polskiej... Krótka notka przypomina go tylko Wielka Encyklopedia Powszechna. Ostatnia książka Nalepińskiego ukazała się w 1939 roku — w 21 lat po śmierci poety. Zapomnianego poety.

W listopadzie tego roku mija 65 lat od jego śmierci. Żył krótko — urodził się w Łodzi w 1885 roku — zmarł w Bernie w listopadzie 1918 roku. Miał 33 lata.

Poeta nie był ośmiewającym. Jego pierwszy zbiorek 30 wierszy „Gaśnienie” nie zapowiadał wybitnego talentu... A jednak warto przypomnieć tego pisarza — nie tylko dlatego, że pochodził z Łodzi i nie tylko dlatego, że minęła rocznica jego śmierci... Być może, gdyby nie przedczesna śmierć, polska literatura zyskałaby świetnego eseisty.

Otóż Nalepiński jako 22-letni młodzieniec wydał niezwykle interesującą rozprawę pt. „On idzie” — w której ujawnił rozległą znajomość psychiki rosyjskiej i rosyjskiej literatury. Dał w tej książce obraz przemian, jakim podlegała w ciągu wielu dziesiątków lat rosyjska myśl filozoficzno-polityczna od słowianofilów, aż po Gorkiego.

W roku 1907 książka ta przeszła zupełnie bez echa. Było to poważne rozczarowanie, czy nawet klęska młodego autora, który po swojej publikacji wiele sobie obiecywał.

Z rozprawą Nalepińskiego wiąże się pewna dość istotna ciekawostka, o której nikt nie wiedział do czasu, gdy wygrzebał ją z archiwów Edwarda Kozikowski („Łódź i piórno” — 1972). Otóż rozprawa „On idzie” była pracą dokorską Nalepińskiego (w wieku 22 lat!), przyjęta na Uniwersytecie w Pradze przez ówczesnego profesora filologii Tomasa Masaryka. Tak jest! — późniejszego prezydenta Czechosłowacji.

Trzecią z kolei książką Nalepińskiego był tom wierszy „Fantazja polska”. I one nie zainteresowały krytyki, ani nie stały się ulubioną lekturą miłośników poezji. Były to wiersze o porychwał twórczych i — jak pisze Kozikowski — „doprawdy nie wiadomo czemu pozostały w cieniu innych daleko słabszych książek — przemilczane i zapomniane”.

Na parę miesięcy przed wybuchem pierwszej wojny światowej, ukazuje się kolejna książka Nalepińskiego — tym razem jest to tom noweli „Śpiewnik rozdarty”. Stanowiły one zapowiedź przemian, jakie zaczęły się dokonywać w piśmarzu. Wczorajszym indywidualistą — stawał się społecznikiem. „Śpiewnik rozdarty” przyjął entuzjastycznie na łamach „Świata” Adolf Nowaczyński, pisząc, że „nowele Nalepińskiego należy czytać choćby dlatego, aby za rok czy dwa lata, gdy wyjdzie z druku najciekawsza polska powieść psychologiczna tym nazwiskiem podsygnowana — nie było się zaskoczonym, że się jego nowel nie czytało”.

Rzeczywiście nowele Nalepińskiego zapowiadały wybitnego prozaika — ale zarówno artykuł Nowaczyńskiego, jak i „Śpiewnik rozdarty” przeszły znow bez echa. Zbliżała się wojna — za kilka tygodni miały paść pierwsze strzały w Sarajewie.

Wojnę spędził Nalepiński częściowo w Legionach (walcząc m.in. pod Michowem i Kielcami) — potem jednak wyje-

chał do Włoch, gdzie czynnie zajmował się publicystyką na tematy polskie. Kiedy w 1916 roku powstało w Bernie polskie biuro prasowe, zaangażowano tam Nalepińskiego. Czynił jednak starania o powrót do Warszawy. W końcu niemieckie władze okupacyjne wyraziły zgodę, gdy miało się ku końcowi wojny. Wtedy to szalała w Europie grypa zwana „hiszpanką” — zachorował na nią także Nalepiński. 11 listopada dowiedział się o wskrzeszeniu Polski — dwa dni później 13 listopada choroba zmogła wywieziony organizm.

Żył los prześladował go także po śmierci. Na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej ukazał się staraniem Funduszu Kultury Narodowej tom opowiadań poetyckich „Ave Patria”, napisanej dwadzieścia lat wcześniej na parę miesięcy przed śmiercią. Niestety cały nakład tej książki znajdował się w magazynie mieszczącej się w domu przy zbiegu ulic Sienkiewicza i Zgoda. Dom ten spłonął jako jeden z pierwszych w czasie oblężenia Warszawy — a wraz z nim cały nakład ostatniej książki Tadeusza Nalepińskiego.

Dziś od jego śmierci minęło 65 lat. Jego mogiła w Bernie — mogiła pisarza wielkich i niespełnionych nadziei — już nie istnieje.

## JERZY WILMAŃSKI

# 2

## Pegaz pod nowym dżygitem

Televizyjny „Pegaz” — jak tylko sięgam pamięcią — jest dziurym — w permanencji — koniem do bicia. Jedźdźli na nim, jak na tyłej kobylicy, felietoniści i szydercy, prześmiewcy i dowiecniści. Bo też zawsze, mimo skrzydeł, nie latał wysoko — jakby cierpiąc na lek przestąpienia. Krytykowane tę audycję za stołeczny partykularyzm, za szarżę na wyważone wrota, za fałszywe hierarchie. Prawda, że bywał „Pegaz” przedmiotem rozmaitych eksperymentów, że trenerzy do ściągali, to popuszczali cugle, że stosowali różnej wielkości kołskie okulary, a i z ostrogami począł sobie bez wyczucia.

Ze pomimo marców, grudni, sierpniów i jeszcze raz grudni, potem lipców, nie padł, wciąż biegł, można się zdziwić skąd w „Pegazie” tyle uporu i samozaparcia. Pamiętamy jednak, że już dostawał zadyszkę, że wydawało się, iż jego czwartki są policzone. Sprawiono mu wówczas nową uprząż i oddano do dyspozycji zaprawionym w kulturalnych gonitwach dżokejem. Krzysztof Teodor Toeplitz i jego ekipa spowodowali, że „Pegaz” stał się niemal sensacyjnym tematem dnia. Ludzie zaczęli przyznawać się, że oglądają telewizję, z czego by wynikało, iż tamten pomysł został przez telewizję zaakceptowany. Na dobrą sprawę nie zdążyliśmy go bodaj do końca posmakować, a szkoda. Niedostatecznie jasne pretensje paru osób, które zdecydowały się w „Pegazie” wystąpić, a potem miały za złe, że salon KTT potraktował ich bez należytego uszanowania, a więc pretensje tych paru osób pomysł ugrobiły. Zresztą dziwić musi ówczesna nagłość

reakcji szefów TvP, którzy nie czekając na opinie widzów, znów odstawił skrzydlatego konia do rezerwowego boksu.

Wtedy rzeczywiście pomyślałem, podobnie jak większość widzów, że na „Pegazie” postawiono kreskę, że oto przetranszowano go na rychłą rzec. Obcięto racje barwnej taśmy, prowadzano po manowcach, a czas emisji przesunięto na godzinę, kiedy nawet inteligenci poprawiają pod głowami jasek.

Powie ktoś o przyczynach obiektywnych. Pewnie, że i tak były, bo przecież — dodać ów ktoś — taka jest publicystyka kulturalna jaka jest kultura. Nie całkiem zgoda na tę opinię. Według mnie brakło redaktorom „Pegaza” przedsiębiorczości, inicjatywy, bystrości oka i pióra. Jakby zgodził się na — urabianą tu i tam — o cenę, że „inter arma silent musae”. Przecież rozbrzmiewały filharmonie, teatry zalecały się premierami, biegaliśmy po księgarniach, czasem po kinach, nikt nie zamknął galerii i muzeów. A „Pegaz” dogorywał lub czekał nie wleźć do ko.

Jedno jego redaktorów może tłumaczyć: nerwowa atmosfera nowych porządków i perturbacje organizacyjne. Zmienił się szefowie, upadły stowarzyszenia i związki twórcze, krążyło widmo bojkotu i straszny brak pieniędzy. Był to jednak kontekst, który nie doprowadził do żadnej katastrofy, nie przerwał w gruncie rzeczy ani na moment żywotności polskiej kultury. Miewała ona i w tych miesiącach, o których powiadałem „inter arma”, swoje wielkie dni. Nie umiano ich pokazać w odpowiednim blasku.

I coś jeszcze może — jak myślę — objaśniać ów stan wycofania. A mianowicie ten niesłychany boom narad, zebrań, dyskusji o teraźniejszości i przyszłości naszej kultury. Telewizja zamiast ją prezentować opowiadała o tych naradach, transmitując je i upowszechniając z uporem godnym lepszej sprawy (jak lubią mawiać felietoniści). Podał się też mania także „Magazyn kulturalny” łódzkiej Tv. Sprzentował nam naradę, podczas której dowiedzieliśmy się, że najambitniejszym planem aktualnego szefa Wydziału Kultury jest organizacja sejmiku, czyli kolejnego festiwalu retoryki na temat co by było trzeba zrobić, żeby zrobić! To tak jakby piekarze zamiast piec chleb zaczęli sejmikować, jak do tego pleczenia się zabierać, co też niestety się zdarza. Mnie, zjadacza chleba, wcale i wcale to nie interesuje. Gadajcie, jeśli trzeba, o tym w gabinetach — ja proszę o chleb. „Pegazie” nie fascynuj się zatem naradami — dawaj chleb!

Ale jak się rzekło, a co wszyscy widzieli w ostatni czwartek „Pegaz” ma nowego dżygita. Wprawdzie to dopiero początek, ale oderwaliśmy się od gazety, która donosi o to o pokojowej krucjacie USA na Grenadę i zaczęliśmy słuchać profesora Jerzego Adamskiego. Co było widoczne, a raczej stylizowane — lubi on mówić i jeśli to sobie w czas uswiadomi, możemy w przyszłości ilcyć na wcale ciekawą audycję. Już z tej pierwszej wynikało, że będzie tam miejsce i na ironię (ładny był ten montaż fasady pałacu Ujazdowskiego z wnętrzem Centre Georges Pompidou i wystarczy za całą dyskusję na temat absurdu projektu jaki wokół Ujazdowa powstał), i na krytykę, ale także i na rzetelną informację nie tylko o stolicy. Na marginesie: mówi mi właśnie ktoś, że w stolicy boczni się na prowincję — stołeczni kulturotwórcy spoglądają bowiem — z bronią u nogi — jeden na drugiego, a ci, tam najwyżej, nie w świecie te kultury twórcy. Tacy bezczelni!

Nie wiem co się dżygitem dzieje. Nieważne. Bomba poszła w górę, a ja tego jeżdźca obstawiam.

GRZEGORZ GAZDA

# 3 Gdyby Buchwald był Polakiem

## Przesłuchanie rodzinne

Zdobycie Grenady przez wojska inwazyjne USA ucieszyło wszystkich miłujących prawdziwą demokrację Amerykanów. Senator Sparks również wpadł w dobry humor, stracił go jednak, gdy wezwano go na przesłuchanie rodzinne.

Przesłuchania rodzinne — wzorowane na przesłuchaniach prowadzonych przez komisję senacką — zostały zainicjowane przez samego senatora Sparksa, który pragnął od małego wdrażać potomstwo w zawołaność służby publicznej. Potem — zasypany lawiną kłopotliwych pytań — zniechęcił się wprawdzie do tej zabawy, polubił ją jednak dzieci, a te umiały postawić na swoim.

— Czy duża jest Grenada? — zapytał siedmioletni Mike, najmłodsza latorośl rodu.

— Raczej nie, synku. — Czyli zrobiłście tak, jak stałe robi Robert, nałajac się małego — oświadczył Mike i spróbował złożyć nogę na nogę, ale zaraz uciekł z nimi na fotel, bo starszy o dwa lata Robert kopnął go w kostkę.

— Nieładnie jest być słabszych — powiedział surowo senator. — Chyba — dodał zorientowawszy się, iż palną głupstwo — że ten słabszy próbuje nas zaczepiać.

— Więc Grenada próbowała nas zaczepiać? — zapytał chętnym bliźniacy John i Fitzgerald.

— Oczywiście! Nie gwarantowała bezpieczeństwa naszym obywatelom, a pełni demokracji własnym, co stanowiło jawne wyzwanie dla szczytnych ideałów amerykańskich.

— To jest przesłuchanie rodzinne, a nie cyrk w telewizji! — wtrąciła szesnastoletnia Mary, dziewczyna i kłopotliwa dziecko, które niekiedy z biblią w ręku naklaniało ojca do prawdomówności, to znów potrafiło straszyć, że przepię się z pierwszym lepszym Murzynem i urodzi senatorów kolorowe wnuki. — Na takie prezydentkie gadanie nie dali się przecieć nabrać nawet nasi sojusznicy!

— Ach, ci sojusznicy — westchnął senator. — Udają świętoszków, ale ciekawe, jakie mieliby miny, gdyby Kuba właśnie ich próbowała okrzyć, tak jak próbuje okrzyć nas.

— I co, już okrzyła? — zmartwił się bliźniacy.

— No nie, ale się stara — wyjaśnił senator. — Jak wiecie budowała na Grenadzie lotnisko, a tego nie robi się bez powodu.

— Wobec tego ja zająłbym Kubę! — krzyknął Robert i ponownie spróbował kopnąć Mike'a, ale trafił w fotel i skrzywił się z bólu.

— Wszystko we właściwym czasie — powiedział senator — musimy po prostu poczekać, aż Kuba da nam dobry powód.

— Ja nie daję powodu, a Robert i tak mnie kopie — poskarżył się Mike. — Nie podobają mi się to wszystko.

— Mnie także — poparła brata Mary. — Albo tata przysięgnie na biblię, że to prawda z tym okrzykiem i z tą Kubą, albo ja przebiegnę z Murzynem...

— Tylko nie z Murzynem! — krzyknął senator. — Prawda jest o wiele straszniejsza, musicie jednak przyrzec, że nie zdradzicie jej nawet na torturach.

Mike, który nie lubił niczego przyrzekać, a jeszcze bardziej nie lubił tortur, oddał się. Poszedł bawić się w ograniczoną wojnę atomową, którą wolno mu było toczyć jedynie

w pokoju gościnnym i na przyległych korytarzach, ale nigdzie więcej.

— Więc tak — zaczął senator, gdy młode wyszedł — nasz człowiek będąc przejazdem w Grenadzie czystym przypadkiem znalazł pewną książkę. Jakieś stare wiersze o Maurach, Almonzorze i Hiszpanach, którzy — uważajcie — usiłowali zdobyć Grenadę. Ale ten Almonzor ich oszukał. Udał, że się poddaje, ucałował wodza Hiszpanów i zaraził go dżumą.

— Mój! Głupi! — powiedział John i Fitzgerald.

— Właśnie! Po co takie mójne i głupie wiersze próbować tłumaczyć na angielski, zdziwił się nasz człowiek. I nagle pojął, że spotkał się z przemyślnym szefem. Almonzor — to kubański agent przeszkolony w Bulgarii. Wódz Hiszpanów — prezydent Reagan. Cały wiersz — instrukcja dla agenta, który miał przygotować się do bakteriologicznego zamachu.

— No, a pocałunek? — spytała Mary, która na tym akurat znalazła się dobrze. — Przecież prezydent nie musiałby całować się z jakimś tam Almonzorem.

— Och — wzruszył ramionami senator — to są czysto techniczne szczegóły. Przyzyszczy, że Almonzor pocałowałby Fidela Castro, Fidel Castro — Gromykę, Gromyko — Mitterranda, Mitterrand — panią Thatcher, a ta dopiero — prezydenta. Almonzor, Fidel i Gromyko dostaliby potem odtrutkę, ale inni już nie. Zajmując Grenadę zdusiłmy spisek w zarodku; obecnie nasi ludzie szukają Almonzora, a wydzieleną grupą znawców literatury — autora wiersza. Podobno to jakiś Słowianin, choć są też przypuszczenia, że Łątwin.

Zapanowała cisza. — Tylko pamiętajcie, dzieci — dorzucił senator — że wtedy dopiero przedstawimy całą sprawę publicznie, gdy będziemy mieli żelazne dowody w rękę. Aż do tej porę żadne słowo nie może wyjść z tego pokoju!

Nieszczęście — wyszło, Mike, który dawno już założył podsluch w gabinecie ojca, z dzieciną lekkomyślnością sprzedał całe nagranie za trzy paczki gumy do żucia. Pozostało więc jedynie przedstawić bliżej uczestników rozmowy, do czego autor czuł się upoważniony, ponieważ zna i ogromnie lubi cała rodzinę senatora Sparksa.

## Za A. Buchwalda — JERZY P.

P.S. Piłnym czytelnikom tej i sąsiedniej kolumny wyświadczym, że Buchwald nie przewalał hibernacji, a przekazał tekst drogą telepatyczną.

# 4 Sport

## „Piłkarze na Żuławach!”

Ten okrzyk: „Piłkarze na Żuławach!” jest wyrazem skrajnej dezaprobaty kibica, który po fatalnych meczach polskich piłkarzy miłość do nich zamienił na nienawiść. Uległ emocjom, nie pomyślał i palną głupstwo. Skoro bowiem ktoś potraktuje jego okrzyk poważnie i spełni życzenie, wtedy piłkarze będą kopać ziemię na Żuławach, a kto będzie kopał piłkę na hoku? Należy zatem krzyżać do działaczy i trenerów, aby wzięli swych pupilków do galopu i zaczęli ich uczyć tego wszystkiego, co każdy piłkarz powinien umieć, jeśli chce dobrze grać w piłkę nożną.

Drużyna, która wbiega na

boisko może mecz wygrać; może go przegrać i może zrehabilitować. Zależy to od umiejętności piłkarzy, od ich przygotowania, od kondycji, dyspozycji psychicznej i... od przeciwnika. Już Kazimierz Górski mawiał, że tak się gra, jak przeciwnik pozwala, a podejrzewam, że tę prawdę odkryto długo przedtem, nim Kazimierz Górski zaczął sam grać w piłkę, a później uczył tego innych. Pamiętajcie o tym wszystkim, co powyżej wyuściłyśmy, nie można mieć do piłkarzy pretensji, że mecz przegrali. Nie można tylko wówczas, jeśli dobrze grali, umiejętnościami dorównywal przeciwnikowi, byli w dobrej formie, ale przeciwnik po prostu był lepszy i wygrał. Oby tak zawsze było. Bywa, niestety, inaczej.

Piłkarze RTS Widzewa nęli niegdyś dumnie miano „drużyny eksportowej” i rzeczywiście dokonywali cudów na obcych i własnym boisku, kiedy podejmowali zagraniczne zespoły. Aż miło było patrzeć. Wiem, nie trzeba mi tego ani przypominać, ani powtarzać. To już nie ta drużyna. Zgoda. Odeszli starsi, przyszedł młodszy.

Nie mam więc pretensji do Widzewa, że przegrał w Pradze, że odpadł z dalszych rozgrywek, bo to się może zdarzyć najlepszemu zespołowi. Ale mam — i chyba większość kibiców podziela moje zdanie — ogromne pretensje o poziom, o sposób, w jaki rozegrano mecz w Pradze. Mówiło się niegdyś o „widzewskim charakterze”. I co, i gdzie pozostawiał się ten charakter? To było naprawdę smutne, ba, wręcz żalotne widowisko. Ta bezradność, ościłość, beznamiętność piłkarzy z Widzewa.

Ludwik Sobolewski powiedział po meczu w Pradze, o czym donosił w „Expressie Ilustrowanym” Michał Strzelecki:

„Piłka nożna w Widzewie nie kończy się na dzisiejszym meczu. Za rok powinno być lepiej!”

Za rok musi być lepiej. Ale, żeby było lepiej, wszyscy muszą się wziąć do roboty. Jeśli chce się grać na zagranicznych boiskach, to nie można tam szokować bezradnością i fatalną kondycją.

I wcale nie jest dla Widzewa usprawiedliwieniem, że cała polska piłka nożna przeżywa kryzys. Wprawdzie juniorzy zakwalifikowali się do ćwierćfinałów mistrzostw Europy, ale jedna jaskółka jeszcze wiosny nie czyni. Ich starsi koleżdy kompletnie się skompromitowali. Nawet ostatniego meczu z Portugalią — już tylko dla honoru — nie potrafili wygrać. Pokazali jeszcze raz, że po trzeciej drużynie świata pozostały tylko wspomnienia i marzenie, że może za kilka latnych lat znów pojawi się nadzieja, że znów zaczniemy coś znaczyć w europejskim i światowym futbolu. Póki co, oddajmy sobie filmy z serialu „przeżyjemy to jeszcze raz”.

Teraz, kiedy już po wszystkim, możemy zrobić sobie smutny bilans. W 1983 roku polska reprezentacja rozegrała 5 oficjalnych spotkań: 17 kwietnia w Warszawie, gdzie zremisowała z Finlandią po samobójczym strzale Pawła Janasa; 22 maja w Chorowie z ZSRR, gdzie też zremisowała, po samobójczym strzale R. Wójcickiego; 7 września zremisowała w Krakowie w towarzyskim meczu z Rumunią; 9 października przegrała w Moskwie z ZSRR; 23 października przegrała we Wrocławiu z Portugalią. Trzy remisy i dwie przegrane — to żalotny bilans byłej trzeciej drużyny świata.

Jan Frandefort w „Tempie”, wylizując przyczyny słabości naszej piłki nożnej wymienił ich wiele, ale wydaje mi się, że dwie są najistotniejsze, a inne już tylko z nich wynikają: brak zdolnego narybku i daleka od nowoczesności baza szkoleniowa. Widzew przecież też pozyskał kilku młodych, zdawałoby się zdolnych piłkarzy, ale jakże kiepsko wykształconych. Bez szkolenia, moim panowie, daleko nie pojedziemy. A przecież wybieramy się na Żuławki.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowski (tirażowa), Ołechowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryński, Janusz Szymański (biuro graficzne), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Białecki, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gądołek, Witold Kasperkiewicz, Włodzisław Krzeminski, Dariusz Miłerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panaszewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Ogłoszenia”, ul. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 639 44, sekretarz redakcji 639 99. Redakcja nie zainicjuje zgłoszeń, nie zwraca, nie przysyła, nie odpowiada na listy. WYKONANIE PRACOWNIARSTWA I DLA OSÓB PRACOWNIARSTWA — instytucji i zakładów pracy; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i powiatowych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wsielisk opłaca prawnym w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorem; osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłaca prawnym w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłaca prawnym w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorem. Wpłaty dokonują używając „bankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kółportu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 90-058 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie. Nr 1153 201045 139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwrotną jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumerat na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnym — do dnia 1 kwietnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wdawać Ruchem: Biuletyn Wydawnictwa „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk: Pracownia Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 37672. Zam. 2091, L-9.



## O tym, że tylko z pozoru łatwo odróżnić kobietę od mężczyzny

Wielki strach towarzyszył Porwaszowi w drodze do Novotelu, gdzie umówił się na spotkanie z doktorem Nieglowiczem. Ale zaledwie ujrzał rozjarzone majowym słońcem białe pudło hotelowe z rozległym parkingiem, basenem, szerokimi oknami restauracji i czerwonym napisem Grill, natychmiast wyobraził sobie cudowną miękkość hotelowego tapczanu, smak dobrze wysmażonego befsztyku, piękne dziewczęta przy barze — i strach minął bezpowrotnie, a nawet poczuł radosne podniecenie. Przy sobie miał Porwasz sześć tysięcy złotych, które otrzymał od doktora za obraz z Klobukiem (sześć jest liczbą doskonałą), w hotelu zamierzał z doktorem spędzić dzień lub dwa i to nie na pracy, rozmyślaniach czy dysputach o życiu i świecie, lecz na przyjemnościach, odniósł więc wrażenie, że strach i niepokój, które były jego udziałem w Skirolawkach, teraz pierzchnęły jak zły sen. Zaprawdę, miał rację Nieglowicz, wykrywając u niego depresję większą, gdyż wystarczyło wyjechać z owianej mgłami wioski, wychylić nosa z przepastnych lasów, a wracała radość i chęć do życia.

Novotel znajdował się o trzy kilometry od miasta, między jeziorem i wysokim nasypem linii kolejowej. Obok przebiegała ruchliwa szosa. Nie zamierzał Porwasz czynić żadnych zakupów w mieście ani kręcić się po ulicach — skoro i tutaj — ze względu na dużą ilość przejeżdżających pociągów i samochodów, obecność licznych gości hotelowych — mógł poddać się zbawiennej terapii. Z zadowoleniem stwierdził, że gazik Nieglowicza stoi już na parkingu przed hotelem — doktor bowiem wyjechał nieco wcześniej, aby zrobić w mieście zakupy. „A może już flirtuje z jakąś dziewczyną”, pomyślał Porwasz z zazdrością, a także i odrobina niechęci, gdyż jak każdy mężczyzna ze Skirolawek, nawet jeśli rozstał się z wielkimi ambicjami, nie bez zawisłości odnosił się do legendy, która otaczała doktora w związku z jego łatwością obcowania z kobietami.

Było już po południu. Doba pobytu w hotelu kosztowała drogo, czas tu spędzony kapłal pieniędzmi, jak źle dokręcony kran. Tedy szybko zaparkował Porwasz swój wózek obok samochodu doktora i z malutkim neserkiem w ręku pośpieszył do szklanych drzwi, które usłużnie przed nim otworzył portier w brązowej liberii Bogumił Porwasz umiał się zachować w takich sytuacjach, dlatego ledwie raczył musnąć wzrokiem portiera, baczenie natomiast zerknął w stronę baru i kawiarni, stwierdzając, że nie widać tam pięknych kobiet. Nie objawił jednak swego rozczarowania, śmiałym gestem położył neser na kantorku recepcji i poprosił o pokój.

— Czy życzy pan sobie z widokiem na jezioro czy też na nasyp kolejowy? — zapytała ufarbowana młoda kobieta w brązowym uniformie.

Sezon turystyczny jeszcze się nie rozpoczął, w hotelu było dużo wolnych pokoi, i sprawiała jej przyjemność, że może być uprzejma.

— Z widokiem na jezioro? Nigdy! W żadnym razie! — Porwasz nie potrafił opanować rozdrażnienia.

— Widok jest naprawdę bardzo piękny. Przy brzegu kołyszą się trzciny — zachęcała.

— Nigdy! Słyszysz pani?! — coraz bardziej irytował się Porwasz. — Zadnych jezior, zadnych trzciny. Chcę widzieć przejeżdżające pociągi. Dużo pociągów. Jak najwięcej. Niech tomorrow kołami gwiżdżą, brzęczą, turkoczą. Chcę widzieć szosę z setkami samochodów. Muszę wdychać spaliny.

Urwał i opanował swoje zdenerwowanie. Mogła wziąć go za wariata i w ogóle nie dać pokoju Nonszalancko oparł się łokciem o kantorek i wyjaśnił, obracając w żart swoje poprzednie słowa.

— W Paryżu mieszkam na strychu i przez trzy miesiące widziałem tylko ślepa ścianę sąsiedniego domu z zaciękami wilgoci. Widok ten przeniosłem potem na płótno, bo jestem arty "a malarze". Za to płótno dostałem mnóstwo pieniędzy. Teraz niestety mieszkam na wsi. Proszę mi wybaczyć, że się tak uniosłem, ale ludzie na wsi są znerwieni. Ciesza, samotność, odosobnienie, widok jeziora i kołyszących się trzciny bardzo źle działają na system nerwowy. Zresztą mój przyjaciel, doktor Nieglowicz, lepiej to pani wyjaśni. Zdaje się, że się tu zatrzymał w którymś pokoju?

— Ach, pan doktor Nieglowicz — uśmiechnęła się flirtownie. — Znam go. Często u nas bywa w sezonie zimowym. Ale on nie jest nerwowo, chociaż mieszka na wsi.

— Nie wiem jak to robi, że nie jest nerwowo — wruszył ramionami malarz Porwasz. Data mu klucz do pokoju 223 i poinformowała, że doktor zajmuje pokój 319.

W niedużym pomieszczeniu z białymi meblami Porwasz niedbale rzucił na obszerny tapczan swój neser i zbliżywszy się do okna, stwierdził z zadowoleniem, że widzi wysoki, pokryty murawą nasyp kolejowy, po którym przejeżdżała właśnie lokomotywa spaliniowa z kilkunastoma wagonami towarowymi. Łoskot kół przyjemnie zabrzmiał w uszach Porwasza, a widok przesuwałych się wagonów skupił całą jego uwagę. Zaprzagnął, aby lokomotywa zagwizdała donośnie albo chociaż zatrąbiła basem, lecz nic takiego nie nastąpiło. Z prawdziwym żalem obserwował jak brudne wagonny nikną za rama okna i nad nasypem widać już tylko puste niebo.

Wszedł do łazienki i zatrzymał się przed ogromnym lustrem nad umywalką. Najpierw oplukał ręce, potem wilgotną dłoń przyłożył do swojej bujnej czarnej włosów. Zmierzył się ostrym spojrzeniem i uznał, że prezentuje się

okazale. Był jak zwykle ubrany w czarną, obcisłą koszulę, stebnowaną białymi nitkami, na biodrach miał szeroki pas z błyszczącą klamrą. Czarne sztruksowe spodnie dokładnie opinały mu uda, nawet mało spostrzegawcza kobieta musiała zauważyć, w której nogawce trzyma swą męskość. Jeszcze tylko rozpiął trzy górne guziki koszuli, aby światło ujrzało czarne pukle jego włosów na piersiach i tak przysposobiony udał się o piętro wyżej, do pokoju doktora. Lecz na półpiętrze, gdzie stała nikłowana popielniczka na wysokiej nóżce i z półki na ścianie zwiisał z doniczki wieczne zielony bluszcz, przystanął, zaskoczony nagłym powrotem uczucia strachu. Raptem wyobraził sobie, że za godzinę lub dwie pozna jakąś dziewczynę i dojdzie do owych gestów, które będzie musiał wykonywać, aby osiągnąć rozkosz. Niemal czuł na swych ustach wargi tej dziewczyny. Nie wiadomo dlaczego wydały mu się wstrętne, jak wspomnienie dotknięcia wielkiego, nagłego ślimaka. Zarazem jednak wyobrażenie tej chwili powodowało bolesne pulsowanie w nogawce spodni, bo przecież już miesiąc minął od dnia, gdy pożegnał Aldonę i nie miał od tego czasu żadnej kobiety. Strach więc minął równie nagle, jak się pojawił.

Doktor siedział w fotelu i czytał gazetę.

— Pan także wynajął pokój z widokiem na nasyp kolejowy — stwierdził z zadowoleniem Bogumił Porwasz, podchodząc do okna.

— Jest tańszy od pokoju z widokiem na jezioro — wyjaśnił doktor. — W naszej wiosce krążą legendy o moim bogactwie, ale nie muszę chyba przed panem ukrywać, że jestem prawie tak samo ubogi, jak pisarz Lubiniński.

— Ach, tak? — zmartwił się Porwasz. — W takim razie niewiele tu zdołamy. Hotel jest diabelnie drogi. I wszystko tu zapewne drogo kosztuje. Nawet dziewczyny.

— Chyba nie sądzi pan, że interesuje mnie miłość za pieniądze? — zdumiał się doktor.

— To się tak tylko mówi — machnął ręką Porwasz i rozpoczął nerwową wędrowkę po pokoju. — Miałem w życiu wiele kobiet, doktorze. W Londynie żyłem nawet z mulatką. Dlatego nlech pan wierzy mojemu doświadczeniu: ze wszystkich rodzajów kobiet te są najlepsze, które biorą pieniądze. Cieszę się, że posłuchałem pana rady i przyjechałem tutaj. Czuję w sobie przypływ sił witalnych i ogarnęła mnie radość życia. Jaka szkoda, że mamy tak mało pieniędzy!

Doktor złożył gazetę i wstał z fotela, stwierdzając z żartobliwą powagą:

— Odnoszę wrażenie, że w ostatnim czasie pracował pan za dużo, a jadł za mało — powiedział. — Czy nie nęci pana talerz dobrej zupy, smażony szynek, odrobina pieczarek? Muszę panu również przypomnieć, że nie tylko zachęcałem pana do wyjazdu z wioski, ale nade wszystko zalecałem postawę pokory wobec życia i świata. Cóż nam przyjdzie z sił witalnych i radości życia, jeśli będziemy je trwonić wraz z pieniędzmi? Wstrzemięźliwość bywa niekiedy lepszą od używania, głodnemu lepiej obiad smakuje. Kto je zbyt łapczywie i niedokładnie gryzie pokarmy, ten po jakimś czasie zapada na chorobę wrzodową. Więcej pokory, przyjacielu.

To mówiąc, nałożył doktor na siebie wycięty w serduszek sweter z moherowej wełny. Poprawił kołnierzyk białej koszuli. I tak zeszli obydwoje po miękkim chodniku aż do holu, minęli go i znaleźli się w części, gdzie był bar kawowy i Grill, a za szklaną ścianą widać było błękitną połąkę jeziora. Malarz niemal ze wstrętem odwrócił od niego spojrzenie i skierował je na bar, w którym z sufitu spływało żółtawe światło kulistych lamp i mieniły się barwne reklamy zagranicznych papierosów.

W barze było pustawo. Tylko dwuosobowy stolik pod szklaną ścianą zajmowała dojrzała kobieta i młoda dziewczyna odwrócona plecami do wejścia.

Tutaj usiadł — zdecydował Porwasz wskazując stolik, skąd można było widzieć obydwoje kobiety.

Po sekundzie pojawił się kelner w czarnym fraku, z czarną muszką pod szyją i podał im dwie karty. Porwasz zajął za swojej — i wtedy po raz pierwszy poczuł ukłucie w skroniach. Nie znalazł bowiem potrawy tańszej niż kilka tub dobrej farby.

Doktor zamówił befsztyk z rusztu, dobrze wysmażony z frytkami i surówką z porów, kapusty kiszzonej — białej i czerwonej. Porwasz zraziki po myśliwsku z kaszą gryczaną, gdyż okazały się trochę tańsze od befsztyka. Wciąż raził Porwasza widok pustych stolików i stolików barowych. Brakowało mu gardłowego śmiechu podnieconych dziewcząt, cisza jak miotłem bila go w skronie. Miał złudzenie, że za szklaną ścianą dobiega go szelest trzciny rozkołysanych nad brzegiem jeziora. Jaki bez smaku, wlepiwszy oczy w owe dwie kobiety pod oknem, a potem, gdy zapłaciły rachunek i wstały z krzesełek, na chwilę niemal przykleił swój wzrok do ich pośladków.

Były to najpewniej matka i córka, tak wyraźne było podobieństwo w ich rysach — u młodej wyrazistych, a u starszej jakby trochę rozmiękczonej przez tłumaczki policzków. Starca miała niski wzrost i ogromny biust, uwydatniony przez obcisły sweterek-bluzeczkę, młodsza zaś, chyba siedemnastoletka, zdawała się swoją małą główką sięgać sufitu. Obszerny sweter fałdował się na niej, nie ukrywając jednak, że zawiera płaską klatkę piersiową. Nogę miała chude i długie, w wytartych dżinsach, które wrzynały się między małutkie pośladki.

Ku radości Porwasza nie opuścił lokalu, ale przeniósł się na wysoki stolik barowy, zamawiając kawę.

Ta młodsza jest naprawdę piękna — stwierdził malarz.

Doktor jednak zdawał się być zajęty wyłącznie żuciem swojego befsztyka. „Zariok” — pomyślał o nim z pogardą malarz Porwasz. Bo jemu przeszła już ochota na jedzenie. Wyobraził sobie, że ta młoda dziewczyna jest naga pod swetrem, oczami malarza widział jej zębra na wiatle klatki piersiowej, małe piersi z drobniutkimi malinkami sutek. Przedstawił swoim oczom nagie, długie dziewczęce nogi, po których można by godzinami przełączać dłońmi od kostek aż do pachwiny. Niemal ogarnął go zapach potu młodego ciała. A gdy dziewczyna

wspierała się łokciami o bar, wygięła plecy w pałąk i wysunęła zza krawędzi stołka małeńki tyłek, Porwasz westchnął.

— Miałem w swoim życiu mnóstwo kobiet. Pamiętam w Londynie pewną mulatkę, która odznaczała się bardzo niskim głosem i śpiewała w dość eleganckim lokalu na Picadilly Circus. Najbardziej podniecały mnie jej bujne owłosione pośladki i intymne chwile, w których mi mówiła: „połóż się, mój mały, a zrobię ci przyjemność”.

— Tak, tak — pokławił siewającą głową doktor Nieglowicz. — Medycyna zna różne przypadki.

— Co pan ma na myśli?

— Wielu mężczyzn opowiada, że miało mnóstwo kobiet, ale tak na dobrą sprawę tylko niewielu potrafi odróżnić kobietę od mężczyzny.

— Cóż też pan wygaduje, doktorze? — oburzył się Porwasz. — Co do mnie, już na pierwszy rzut oka odróżniłem kobietę od mężczyzny. I niechże mi pan wierzy, miałem ich w swoim życiu ogromne ilości.

— Wierzę panu, panie Porwasz. Ale tak na dobrą sprawę nie ofiarowuję mi pan na to żadnych dowodów. Rzecz w tym, że, jeśli się nie mylę, celem pana przyjazdu tutaj była swoista terapia duchowa. Doradzałem panu więcej pokory wobec życia i świata.

— Miałem w życiu mnóstwo kobiet — powtórzył z uporem malarz. — Były to kobiety białe, czarne, mulatki. Jedną z nich, ta właśnie z owłosionymi pośladkami, mówiła do mnie: „połóż się mały, a zrobię ci przyjemność”.

— Rozumiem pana — zgodnie przytaknął doktor. — A jednak jako pański terapeuta muszę zwrócić uwagę, że mężczyzna jest jak spragniony wędrowiec na pustyni. Dookoła fatamorgany i miraży, nigdzie zaś nie widać źródła, z którego napiliby się wody. A jakże łatwo trafić na źródło zatrute albo zgola wyschnięte? Zaprawdę powiadam panu, że tysiące niebezpieczeństw czyha na mężczyznę i niekiedy tylko jego głupota, niewiedza lub brak wykształcenia powodują, że jakoś brnie przez ową pustynię zwaną życiem. Przypomina ślepcę, który nieświadom niebezpieczeństwa beztrudno wędruje tuż nad przepaścią, i o dziwo, czasem potrafi dojść do celu. Częściej jednak spada w dół i ginie. Świat usłany jest szkieletami mężczyzn, którzy szli za wezwaniem swego pożądanego.

— Miałem w swym życiu mnóstwo kobiet. — powtórzył Porwasz, ale doktor przerwał mu lekceważącym machnięciem ręki.

— Tylko z pozoru kobietę łatwo odróżnić od mężczyzny. W istocie rzeczy, jak się włączyć w zagadnienie, to niekiedy odróżnić ją od mężczyzny jest niezwykle trudno, a nawet zaryzykowałbym twierdzenie, dokonać tego nie sposób.

— Chce mi pan wmówić, że to nie były kobiety?

— Ach, nie. Proszę mnie nie chwytąć za słowa. Powiadam jeno, że tylko z pozoru kobietę łatwo odróżnić od mężczyzny, stąd tytuł mężczyzny przechwala się, że posiadał tak mnóstwo kobiet. Dla większości ludzi, panie Porwasz — a są to ludzie nie byle jacy, ale przetrzyni literaci piszący książki, filologowie, profesorowie uniwersyteckie, a także prawnicy — ważne jest to, co dany osobnik ludzki ma zapisane w metryce albo w swoim dowodzie osobistym. W istocie rzeczy, kierując się takimi wskazówkami popełniamy fatalny błąd. Bo jak powstaje ów zapis metrykalny? Oto rodzi się nowa istota ludzka i położna informuje rodziców: „urodziła się dziewczynka”. Zachwycony tatuś podnosi pieluszkę swojej nowo narodzonej dziewczyny, widzi rozkoszną szparczkę między nogami i ile ma sił w nogach biegnie do Urzędu Stanu Cywilnego, aby zapisać, że oto urodziła się dziewczyna płci żeńskiej.

— Tak się dzieje — przytaknął malarz. — I to jest fatalna, panie kolego. Bo przecież każda istota ludzka ma chromosomy. Słyszał pan o nich?

— Uczylem się w szkole.

— A właśnie. I oto owe chromosomy, gdy urzędnik stanu cywilnego zapisuje, że urodził się osobnik płci żeńskiej, aż się ze śmiechu za brzuchy trzymają, jeśli takie chromosomy, panie Porwasz, w ogóle mają brzuchy. Mało tego, panie Porwasz. One nie tylko nie mają brzuchów, ale nawet nie posiadają sumienia. I bywa tak, że po dwóch, trzech albo czterech latkach u owej istoty określonej jako „płci żeńskiej”, niania lub babunia dostrzeże mały penis, kięlkujący z owej rozkosznej szparki. Albowiem owe chromosomy, panie Porwasz, przestały chichotać i zabrały się do swojej wrednej roboty. Pół biedy, jeśli w porę zauważy się coś takiego i pobiegnie do lekarza, gorzej jest, gdy niania albo babunia nikomu o tym nie pisnie ani słowa. A jeszcze gorzej, panie Porwasz, gdy owe wstrętne chromosomy czynią swą krecią robotę w sposób dla oka niewidoczny. Lekarza, panie Porwasz, niewiele interesuje pięć metrykalna ludzkiego osobnika. Dla lekarza, panie Porwasz, ważna jest „płci chromosomalna”. A cóż może pan powiedzieć o płci chromosomalnej owej mulatki z owłosionymi pośladkami? Albo co może mi pan powiedzieć o chromosomach owych dwóch pań, które siedzą na stołkach w barze? Jakaż mają pięć chromosomalną?

— Myślę, że właściwą — zachichotał malarz Porwasz. — Wskazują na to biuściki tej starszej i delikatne rysy twarzy u młodszej, choć przyznaję, że dupkę ma ona jak u mężczyzny.

— Ech, panie Porwasz. Mężczyzna jest jak wędrowiec na pustyni, dookoła tylko miraży i fatamorgany. Wspomniałem panu, że owe chromosomy nie tylko nie mają brzuchów, ale i sumienia. Niestety, jeszcze gorzej pod tym względem bywają gonady, o których pan zapewne nawet i nigdy nie słyszał.

— Jakoś rzeczywiście nie słyszałem — przyznał Porwasz.



Rys Janusza Szymańskiego Glanc

C.d.n.